

Bardzo dobry fachowiec

Zygmunt
Zeydler-Zborowski

Ali-Baba

Zygmunt Zeydler Zborowski

**BARDZO DOBRY
FACHOWIEC**

ROZDZIAŁ I

Człowiek, który siedział za kierownicą czarnego cadillaca, wyglądał na bogatego turystę. Aparat fotograficzny w futerale z jaszczurczej skóry, ciemne okulary w potężnej oprawie, ubranie z błękitnego tropiku i jasnoblonde czupryna, nietypowa dla mieszkańców słonecznej Italii. Na siedzeniu obok leżał rozłożony plan okolic Rzymu z oznaczoną czerwonym ołówkiem trasą.

Ktoś podróżujący w celach turystycznych zachowuje się jednak zupełnie inaczej: nie spieszy się, podziwia malowniczy krajobraz, zatrzymuje się w miejscowościach, przez które przejeżdża, zwiedza zabytki... Właściciel cadillaca natomiast skupił całą swą uwagę na prowadzeniu wozu. Jechał z dużą szybkością, nie zwracając najmniejszej uwagi na barwne wzgórza, na gaje kasztanowców ani na wznoszące się nad horyzontem Góry Albańskie. Nigdzie się nie zatrzymywał, nic nie zwiedzał, niczym się nie interesował. Naciskał gaz.

Palestrina - ulubione miejsce letnich wyczasów patrycjuszki i cesarzy rzymskich. I tutaj także nie zatrzymał się, żeby choć rzucić okiem na ruiny starożytnej świątyni czy te na katedrę Sant Agapito. Dopiero kilkanaście kilometrów za miasteczkiem zwolnił, spojrzał uważnie na plan i skręcił w prawo w boczną drogę.

Na końcu ocienionej drzewami alei była brama. Masywne, z kutego żelaza sztachety pozwalały dojrzeć soczystą zieleń parku. Po obu stronach bramy leżał wysoki, gładki mur, zakończony u góry drutem kolczastym.

Podróżny wysiadł z wozu i pchnął ciężką, nabijaną potężnymi ćwiekami furtkę, umieszczoną po prawej stronie bramy. Nie była zamknięta na klucz.

Po wysypanej żwirem alejce, wzdłuż której ciągnęły się krzaki wspaniałych róż, ruszył energicznym krokiem ku niewielkiemu pałacykowi zbudowanemu w

pseudomauretańskim stylu. Białe, błyszczące w słońcu ściany zdobiła winna latorośl i kwitnące glicynie.

Przybysz po paru marmurowych stopniach wszedł na ganek i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzył wysoki, czterdziestokilkuletni mężczyzna. Zaczynał tyć. Letnia marynarka z jasnego tergalu opinała się na wystającym brzuchu. W owalu ciemnej, oliwkowej twarzy dominowały duże, brązowe oczy, spoglądające na pozór łagodnie i dobroduszenie. Rysy rzymskiego imperatora zaczynały się zamazywać w narastającym tłuszczu.

- Mister Rolson, jak sądzę - powiedział, uśmiechając się na powitanie. Mówił wyraźnie, bez pośpiechu, miękim, spokojnym głosem. Właściciel płowej czupryny skinął głową, nie zdejmując przeciwsłonecznych okularów.

- Chciałbym się widzieć z panem Marsano.

- To właśnie ja - zapraszający gest towarzyszył tym słowom.

- Proszę, niech pan wejdzie. Dziwi pana zapewne, że sam otworzyłem drzwi, ale na dzisiejsze popołudnie wyprawilem z domu służbę. Lepiej, żeby nikt pana tutaj nie widział.

Rolson nie odwzajemnił powitalnego uśmiechu. Jego twarz pozostawała nieruchoma, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- Lubię mieć do czynienia z doświadczonymi ludźmi - stwierdził obojętnie.

Przeszli przez duży, prawie pusty hall i znaleźli się w bibliotece, która robiła wrażenie kaplicy. W oknach kolorowe witraże, na ścianach obrazy o tematyce religijnej.

- Woli pan rozmawiać ze mną po angielsku czy po włosku? - spytał Marsano.

- To nie ma znaczenia. Jak pan sobie życzy. Swobodnie mówię po włosku.

- Skąd pan tak dobrze zna nasz język?

- Moja matka pochodziła z Sycylii.

- Co za zbieg okoliczności. Ja także jestem Sycylijczykiem.

- Wiem.

- O, widzę, że jest pan dobrze poinformowany. To mi się podoba. Ludzie dobrze poinformowani wzbudzają we mnie

zaufanie. Proszę, niech pan siada. Napije się pan czegoś? Whisky? Martini? Gin?

- Dziękuję. Nigdy nie pijam alkoholu, jeżeli nie wymagają tego moje interesy.

Signor Marsano wykonał gest pełen aprobaty.

- Brawo. To także mi się podoba. Dostanie pan w takim razie sok pomarańczowy. Stoi tutaj w dzbanku. Niech pan sobie naleje.

Usiedli w stylowych, niezbyt wygodnych fotelach i dopiero teraz Rolson zdjął ciemne okulary, odsłaniając oczy.

Na widok tych oczu Marsano drgnął. Jasnoniebieskie, jakby wypłowiałe, pozbawione tęczy, zimne, okrutne.

Rolson nalał do wysokiej szklanki pomarańczowy sok i umoczył w nim wargi.

- Od kogo dostał pan mój telefon? - spytał.

Signor Marsano zdołał już opanować przykre wrażenie. „Trudno wymagać, aby ten człowiek miał spojrzenie niewinnego jagnięcia”, pomyślał i uśmiechnął się.

- Bardzo żałuję, ale nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości. Ja pana nie pytałem, od kogo pan się dowiedział, że pochodzi z Sycylii.

Rolson poważnie skinął głową.

- Mi seusi - powiedział. - Moje pytanie było rzeczywiście nie na miejscu.

Mogę pana zapewnić, że osoba, z którą o panu rozmawiałem, całkowicie zasługuje na zaufanie - pospiesznie wyjaśnił Marsano. - Otrzymałem o panu jak najlepsze referencje i dlatego zdecydowałem się zaprosić pana do siebie i tak wszystko zorganizowałem, żebyśmy mogli spokojnie pomówić.

- Może więc pomówimy - zaproponował Rolson. - Najbardziej odpowiadają mi rozmowy na konkretne tematy.

- Zastanawiałem się przed chwilą, jak to się dzieje, że pan, będąc synem Sycylijki, jest takim jasnym blondynem - powiedział niespodziewanie Marsano. Zimne spojrzenie tych błędnych oczu działało na niego niepokojąco.

- Mój ojciec był Irlandczykiem - wyjaśnił Rolson.

- A pan jest obywatelem amerykańskim.

- Tak, mam obywatelstwo amerykańskie. Mogę jednak uchodzić za obywatela jakiegoś innego kraju, jeżeli wymagają tego moje sprawy zawodowe. Mówię biegle po niemiecku, po francusku, a także po rosyjsku, chociaż ten ostatni język sprawia mi nieco kłopotu.

- A dokumenty? Paszport?

- To nie jest żaden problem.

Singor Marsano napełnił koniakiem kieliszek i przez chwilę przyglądał mu się pod światło.

- Podobno przeprowadził pan ostatnio jakąś udaną akcją w Syrii - powiedział wolno, nie patrząc na swego gościa.

Rolson poruszył się niecierpliwie.

- Jeżeli chodzi o sprawę natury politycznej, to nasza rozmowa jest całkowitą stratą czasu - oświadczył stanowczo. - Nie mam najmniejszego zamiaru mieszać się do polityki.

- Niech pan będzie spokojny. W tym przypadku nie chodzi o politykę - zapewnił Marsano. - To moja prywatna sprawa, ściśle prywatna.

Amerykanin pociągnął spory łyk pomarańczowego soku. Spojrzał pytająco.

- E alora...?

- Czy byłby pan skłonny pojechać na jakiś czas do Polski?

Rolson nieznacznie wzruszył ramionami.

- Wszędzie można pojechać. Wszystko zależy od tego, w jakim celu i za ile.

- To jest zadanie ściśle wchodzące w zakres pańskiej specjalności. A jeżeli chodzi o honorarium, będzie ono wysokie, bardzo wysokie.

- Czego się pan po mnie spodziewa? Marsano końcem języka zwilżył grube, zmysłowe wargi. Wyczuwało się w nim wahanie. Sprawa, którą miał powierzyć temu człowiekowi, była poważna. Wprawdzie informacje, jakie o nim zebrał, okazały się najzupełniej zadowalające, ale jednak...

- Jeżeli nie ma pan do mnie zaufania, to może skończymy tę niepotrzebną rozmowę - zniecierpliwził się Rolson. Postawił szklanekę na stoliku i wstał.

- Nie, nie, niech pan nie odchodzi - powiedział pospiesznie Marsano. - To nie jest kwestia zaufania, ale...

- Ale co?

- To wszystko jest dosyć skomplikowane. Proszę, niech pan siada. Zaraz wyjaśnię...

- Chyba już najwyższy czas - mruknął Rolson i usiadł. - Lubię rozmowy krótkie i rzeczowe. Nie jestem zwolennikiem towarzyskich pogawędek. Więc o co właściwie chodzi?

- Chodzi o zlikwidowanie kogoś, kto przebywa obecnie w Polsce.

- Mężczyzna? Kobieta?

- Mężczyzna.

- Polak?

- Z pochodzenia Polak. Ma obywatelstwo włoskie. Był moim osobistym sekretarzem. Ufałem mu całkowicie.

- Dlaczego panu zależy na zlikwidowaniu tego człowieka? - spytał Rolson i sięgnął po dzbanek z sokiem pomarańczowym.

Marsano odetchnął jak ktoś, kto za chwilę ma skoczyć z trampoliny do głębokiej wody.

- W sposób nikczemny nadużył mego zaufania, skradł dokumenty, których opublikowanie byłoby dla mnie bardzo niewygodne.

- Których opublikowanie mogłoby pana skompromitować - sprecyzował Rolson. - Zaczynam rozumieć. Ukradł dokumenty i teraz pana szantażuje.

- O właśnie! - wykrzyknął Mairsano, rad, że jego rozmówca dopomógł mu w wyjaśnieniu sprawy. - Ten łajdak otworzył sobie konto w banku szwajcarskim i każe mi na nie wpłacać co miesiąc pokaźną kwotę. Mniejsza zresztą o pieniądze, ale nie mogę żyć w nieustannym zagrożeniu. Właśnie rozpoczynam karierę polityczną. Będę kandydował do parlamentu Pan rozumie, że w tej sytuacji...

Rolson utkwiał spojrzenie w obrazie przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem. Jego nieruchoma twarz i jasne, niebieskie oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu.

- Czy miałbym tylko zlikwidować tego człowieka, czy także odzyskać dokumenty, o których pan wspomniał? - spytał.

- Ależ oczywiście, że musi pan odzyskać te dokumenty!
- To komplikuje sprawę. Ile pan przeznaczą pie niędzy?
- Sto tysięcy dolarów i pokrycie wszystkich kosztów.

Rolson odstawił na stolik szklankę z sokiem.

- Musi pan sobie poszukać kogoś tańszego, signor Marsano.
- Sto tysięcy dolarów to dla pana za mało? Ależ to ogromna suma.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Rolson uśmiechnął się.

- Jak dla kogo. Ja jestem bardzo drogi, signor Marsano.
- Więc ile?
- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy plus koszt. Marsano zachłysnął się koniakiem. Kaszłał przez chwilę, wreszcie odetchnął głębiej i powiedział:

- Santa Madonna! Ależ to majątek, Amerykanin wzruszył ramionami.

- Ja przecież pana nie namawiam. Niech pan sobie poszuka kogoś innego.

- To nie takie proste.

- Ja wiem, że to nie takie proste: właśnie dlatego moje usługi są bardzo kosztowne. Jestem fachowcem, signor Marsano, dobrym fachowcem. Jeżeli jednak ta kwota przekracza pańskie możliwości finansowe, to nie mamy o czym mówić. Żegnam.

Marsano powstrzymał go ruchem ręki.

- Niech pan nie odchodzi. Zgadzam się. Jeżeli pan mi to załatwi, zapłacę dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Zawsze inkasuję honorarium po wykonaniu zlecenia - powiedział Rolson i wyjął z kieszeni papierosy. - Omówimy szczegółowo, jak ta kwota ma zostać zabezpieczona. A teraz słucham. Kim jest ten człowiek, który pana interesuje?

Marsano poprawił się w fotelu. Powzięta decyzja uspokoiła go.

- Jak już wspomniałem, ten człowiek przez parę lat był moim sekretarzem osobistym.

- Nazwisko?

- Henryk Moderski.

- Wiek?
- Trzydzieści parę lat. Dokładnie nie wiem.
- Cy ma pan jego fotografię?
- Oczywiście. Kazałem zrobić kilka odbitek.
- Kiedy wyjechał do Polski?
- W zeszłym miesiącu.
- Czy pan dokonał już jakiejś wpłaty na jego szwajcarskie konto?

- Tak. Dwa tygodnie temu.
- Czy to konto otworzył na swoje nazwisko?
- Nie. Na nazwisko niejakej Margot Bassin. Rolson zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Działa jak dobry fachowiec - powiedział z uznaniem. Marsano niecierpliwie strzepnął palcami.
- Wyksztąpił się u mnie. Łajdak. Na pewno porozumiewa się telefonicznie z tą dziwką.

- Pan ją zna?
- Nie. Nigdy jej nie widziałem ani o niej nie słyszałem.
- Może warto by się i nią zainteresować? Marsano skinął głową.

- Myślałem już o tym, ale co to da? Tych dokumentów na pewno nie ma i w ogóle wątpię, czy Moderski ją wtajemniczył we wszystko.

- To prawda - przytaknął Rolson. W tej chwili nie należy się zbytnio rozpraszać. Ten Polak jest dla nas najważniejszy. Chciałbym się od pana dowiedzieć, o jakie konkretnie dokumenty chodzi.

Marsano podniósł się, podszedł do biurka i z szuflady wyjął czarną plastikową teczkę. Następnie zbliżył się do Amerykanina.

- Tutaj jest wykaz tych dokumentów. Oczywiście nie mogę go panu dać. Sądzę, że pan ma dobrą pamięć i zapamięta to bez trudu.

Rolson, nie wstając, wyciągnął rękę.

- Dobra pamięć jest ściśle związana z moim zawodem - powiedział.

Przez dłuższą chwilę milczał. Rolson uważnie studiował maszynopis. Wreszcie skończył i położył teczkę na stole.

- Dziękuję. Może pan to spalić. Te dokumenty są warte więcej niż ćwierć miliona dolarów. Robi pan dobry interes, signor Marsano, bardzo dobry interes.

- Kiedy pan chce jechać?

- Jak najprędzej.

- Ma pan zamiar odbyć tę podróż pod własnym nazwiskiem?

Amerykanin uśmiechnął się.

- Czy jest pan pewien, że obecnie występuję pod własnym nazwiskiem.

- Pardon. Czym ma pan zamiar jechać? Samolot? Pociąg? Statek?

Rolson wierzchem dłoni pogładził mocno zarysowany podbródek.

- Polecę samolotem do Paryża, a do Warszawy pojedę pociągiem.

- Dlaczego chce pan lecieć do Paryża? - zdziwił się Marsano.

- To chyba proste. Moja osoba nie powinna nikomu kojarzyć się z Italią. Nie sądzi pan?

- Oczywiście. Ma pan najzupełniejszą rację. Czy potrzebne są jakieś dodatkowe informacje?

- Tak. Chciałbym się jeszcze dowiedzieć czegoś bliższego o pańskim byłym sekretarzu.

- Co pana specjalnie interesuje?

- Absolutnie wszystko. W takiej sytuacji każdy szczegół może być pomocny. Potrzebna mi jest szczegółowa charakterystyka tego człowieka. Muszę poznać jego wygląd fizyczny i cechy psychiczne.

Marsano pokiwał głową.

- Rozumiem. Może więc zaczniemy od jego walorów fizycznych. Wzrost sto osiemdziesiąt pięć centymetrów. Waga ponad osiemdziesiąt kilogramów. Szatyn, oczy szare, włosy gęste, nieco falujące. Nos prosty. Kości policzkowe lekko wystające. Usta wąskie. Zresztą obejrzy pan sobie to wszystko na powiększonej fotografii. Wysportowany, zna boks, dżudo,

doskonale pływa, jeździ konno, uprawia narciarstwo. Nie muszę dodawać, że ma ogromne powodzenie u kobiet.

- Lubi kobiety?

- Bardzo. Ale raczej nie traktuje tych spraw nazbyt uczuciowo.

- Pije?

- Umiarkowanie.

- Ma jakieś nałogi?

- Chyba, jedyny jego prawdziwy nałóg to hazard. Poker, ruleta, wyścigi.

- Dobrze, że doszukaliśmy się chociaż jednej skazy na tym wizerunku wspaniałego mężczyzny - uśmiechnął się Rolson. - Inteligentny?

- Wybitnie inteligentny, bystry, sprytny...

- W takim razie zapewne oczekuje mojej wizyty i przedsięwzięmie wszelkie możliwe środki ostrożności.

- Co pan ma na myśli?...

- Nie tak trudno jest ufarbować włosy, zapuścić brodę, nawet zmienić nazwisko... Jestem przekonany o jednym: pański były sekretarz jest pewien, że pan nie zostawi go w spokoju.

- Czy sądzi pan, że może go pan nie odnaleźć? - zaniepokoił się Marsano.

Rolson przestał się uśmiechać. Jego twarz była teraz pełna napięcia. Wyciągnął szyję i poruszył nozdrzami jak myśliwski pies wietrzący zwierzynę.

- Nie sądzę, żebym nie odnalazł tego człowieka - powiedział wolno kładąc nacisk na każdym słowie. - Ma pan do czynienia z dobrym fachowcem, signor Marsano, z bardzo dobrym fachowcem. Nie mam zamiaru robić sobie reklamy, ale obecnie niewielu jest fachowców mojej klasy. Czy pański były sekretarz ma jakieś znaki szczególne?

- Zaraz... zaraz... chwileczkę...

- Marsano przesunął dłonią po czole. - Niech sobie przypomnę. Ależ tak! Ma dosyć szeroką bliznę pod prawą łopatką. Pchnięcie nożem.

- Mniej więcej jakiej długości ta blizna?

- Chyba jakieś trzy, może cztery centymetry. To był duży nóż.

- Nie wie pan, w jakich okolicznościach został zraniony pański sekretarz?

- Nie wiem. Nigdy nie chciał mówić na ten temat. W ogóle to człowiek bardzo skryty. Niechętnie mówi o sobie. Nieraz próbowałem coś z niego wydusić. Nic z tego.

- I nie opowiadał panu nigdy o swojej rodzinie?

- Nigdy.

- Ani o swoich przyjaciółach mieszkających w Polsce?

- Także na ten temat nic od niego nie słyszałem. Rolson westchnął i wyjął nowego papierosa. - Teraz napiłbym się kropelkę koniaku - powiedział.

Marsano sięgnął po butelkę.

- Czeka pana niełatwe zadanie, mister Rolson.

- W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

- Zadanie jest tym trudniejsze, że nie może pan liczyć na nawiązanie ściślejszego kontaktu z polską policją - mówił dalej Marsano, napełniając kieliszki. - O ile słyszałem, dojście do porozumienia z tamtejszą policją, czy też - jak to oni nazywają - milicją jest prawie niemożliwe.

Rolson umoczył wargi w koniaku.

- Z każdym można dojść do porozumienia. To tylko kwestia wysokości sumy. Zresztą mam nadzieję, że Polacy pomogą mi zupełnie bezinteresownie. To gościnny słowiański naród. Za powodzenie naszej sprawy, signor Marsano - dodał po chwili, podnosząc kieliszek.

*

Zawodowy morderca.

Prawie już nie pamiętał jak to się zaczęło. Tyle lat przeszło, tyle się zdarzyło.

Z pedantyczną dokładnością pakował swoje rzeczy w pokoju hotelowym na via Nazionale. Na dnie walizki wyblakła fotografia, oprawiona w zwykłą drewnianą ramkę. Twarz niemłodej już, ale jeszcze bardzo przystojnej kobiety. Z pożółkłego papieru patrzyły smutne duże, ciemne oczy. Nigdy się nie rozstawał z fotografią matki. Jeździła z nim po całym

świecie: Ameryka Południowa, Australia, Niemcy, Francja, Anglia, Włochy...

Nie lubił wspomnień. Prawie nigdy nie wracał myślą do przeszłości. Rozważania nad tym, co było, uważał za stratę czasu, za coś, co osłabia psychiczną odporność człowieka, działa destrukcyjnie. Każdy epizod traktował jako zbyteczny balast i jak najspieszniej starał się go pozbyć ze świadomości. Przeszłość cenił wyłącznie jako źródło doświadczeń, z którego mógł czerpać wiedzę o życiu i ludziach, które pomagało mu w doskonaleniu kwalifikacji zawodowych. Ale czasem...

Postawił fotografię matki na małym stoliczku, oparł ją o telefon, wyciągnął się na tapczanie i zapalił papierosa...

Hałaśliwe podwórko na peryferiach Chicago. Gromada rozwydrzonych, rozkrzyczanych wyrostków. Jasnowłose, mocno zbudowany chłopiec wodzi rej wśród rówieśników. Boją się go. Jest silny, zdecydowany, umie się bić, jego ciosy są celne, skuteczne. Nawet najsilniejsi i najodważniejsi nie mają ochoty z nim zadzierać, wycofują się z każdej konfliktowej sytuacji. Wiedzą, że Eddie zawsze idzie na całego i nigdy nie ustępuje. Niejeden już się boleśnie o tym przekonał.

Z czasem podwórko staje się za ciasne dla pełnego energii i sił witalnych chłopaka. Coraz częściej Eddie odwiedza swego ojca, który pracuje jako barman. Właścicielem knajpy jest odstawiony na boczny tor gangster Federico Amalfi. Drobne transakcje narkotykami, sutenerstwo, hazard, najrozmaitsze mętne interesy. Wszystko jednak na małą skalę. Ot, jeden z wielu podejrzanych lokalików, rozsianych gęsto na przedmieściach wielkiego miasta, miasta, w którym kiedyś królował Al Capone.

Tutaj Eddie zetknął się ze światem przestępczym; powoli nasiąkał atmosferą knajpy Amalfiego. Słuchał nie kończących się gangsterskich opowieści, owianychurokiem bohaterstwa i wielkiej przygody. Był świadkiem pijatyk, bójek i awantur, do których bardzo niechętnie wtrącała się policja. Zdarzały się nawet strzelaniny.

Ojciec - barman nie troszczył się o wychowanie dzieci. Uważał, że spełnia swoje obowiązki zarabiając na życie i

utrzymując rodzinę we względnym dostatku. Nigdy przecież nie cierpieli głodu i dzieci mogły chodzić do szkoły, jeżeli chciały. Był dumny ze swojego najstarszego syna i chętnie go widział w knajpie. Chwalił się przed klientami jego nad wiek rozwiniętymi mięśniami i ogromną sprawnością fizyczną. „Ten da sobie radę w życiu”, mawiał macając bicepsy chłopaka.

Pewnego dnia synem barmana zainteresował się stary bokser Harry Tompson. Zaczęły się treningi. Eddie był pojętnym uczniem i opanowywał tajniki boksu z błyskawiczną szybkością. Plany przyszłego asa ringu zostały jednak pokrzyżowane niespodziewanym wypadkiem.

Eddie zabił pijanego marynarza. Sprężynowym nożem. Na oczach wszystkich. Właściwie nie wiadomo o co poszło. Jeden cios i koniec. To była pierwsza jego ofiara. Miał wtedy szesnaście lat.

Musiał uciekać. Krył się. Policja dopadła go jednak w jakiejś melinie. Sąd dla nieletnich i dom poprawczy.

Potem ucieczka, praca na farmie. Tutaj nauczył się doskonale jeździć konno i władać lassem. Nie zaniedbywał boksu. Trenował z kowbojami w chwilach wolnych od pracy. Przeważnie zwyciężał. Był szybki, silny, zdecydowany, miał błyskawiczny refleks.

Na farmie pojawił się Meksykanin o drapieżnej, sępiej twarzy. Później okazało się, że to ukrywający się przed policją rewolwerowiec. Nie brał się do żadnej pracy. Miał dużo pieniędzy. Zapłacił farmerowi za mieszkanie i wyżywienie i wałęsał się po okolicy.

Z nudów uczył Eddiego strzelać. Uczeń był pojętny. W stosunkowo krótkim czasie przyswoił sobie technikę mistrza, a nawet go prześcignął. Za zarobione dolary kupił w miasteczku pistolet i naboje. Teraz strzelanie stało się jego pasją. Sztukę tę doprowadził do perfekcji. Zapragnął spróbować swych sił. Czekał tylko na okazję.

Okazja nadarzyła się prędzej niż przypuszczał. Jeden z kowbojów - Tom Hawkins zaczął zalecać się do jego dziewczyny. Eddie zastrzelił go.

I znowu musiał uciekać. Ukradł farmerowi konia, siodło, zabrał swojego colta i pojechał przed siebie.

Długo wałęsał się po kraju. Próbował zaczepić się to tu, to tam, ale nigdzie dłużej miejsca nie zagrzeł. Stała, systematyczna praca nie odpowiadała mu. Nie mógł wytrzymać szarej, monotonnej codzienności.

Konia i siodło przegrał w karty. Za ostatnie pieniądze kupił bilet kolejowy i wrócił do Chicago. Zateęsknił za matką.

Sprawa zabójstwa marynarza należała już do przeszłości. Ojciec - bairmam przyjął marnotrawnego syna z otwartymi ramionami. Matka płakała ze szczęścia. Rodzeństwo patrzyło z podziwem na najstarszego brata, który nożem wykończył faceta.

Mimo że policja już się nie interesowała tamtą sprawą, trzeba było jednak uważać. Eddie nie pojawiał się w knajpie Amalfiego.

Któregoś wieczoru ojciec, wróciwszy z pracy do domu powiedział:

- Federico chce z tobą mówić. Ma zdaje się jakąś robotę dla ciebie.

Spotkali się na drugi dzień. Stary gangster spytał bez żadnych wstępów:

- Umiesz posługiwać się bronią?

- Nawet zupełnie dobrze - pochwalił się chłopak.

- Takiś pewny siebie? Choć, pokaż co potrafisz.

Pojechali za stare, rozwalające się baraki, gdzie wywożono śmiecie. Amalfi wyjął z kieszeni pistolet. Eddie uważnie obejrzał broń i skrzywił się.

- Wolę bębenkowy - powiedział. - Ale spróbuję tym.

Próba wypadła tak, że gangster zdumiał się.

- Ależ ty strzelasz jak stary rewolwerowiec! - wykrzyknął. - Zrobisz karierę, jestem pewien, że zrobisz karierę. Mam dla ciebie propozycję. Można zarobić tysiąc dolarów.

Tysiąc dolarów to była duża suma. Eddie zainteresował się.

- O co chodzi?

- Mój przyjaciel chce zlikwidować jednego faceta. Chodzi o to, żeby go załatwił ktoś nie związany z gangiem. Poszedłbyś na to?

- No chyba. Za tysiąc dolarów?

To było pierwsze morderstwo, które Eddie wykonał na zamówienie.

Potem już się to jakoś samo układało. Jeden zleceniodawca polecał go drugiemu. Powoli zyskiwał sobie opinię solidnego fachowca, który nie spartaczy roboty. Jednocześnie zarobki rosły. Zaczynał się cenić. Chciano go wciągnąć do gangu, ale odmówił. Wolał być zupełnie niezależny, swobodny. Działał zawsze sam. Nigdy nie dobierał sobie pomocników. Najchętniej posługiwał się pistoletem z tłumikiem, nie gardził jednak i trucizną, jeśli to było korzystniejsze w danych okolicznościach.

Zabijanie ludzi przychodziło mu z niezwykłą łatwością. Nigdy nie odczuwał tak zwanych wyrzutów sumienia, nigdy nie miał chwili wahania. Po prostu naciskał spust albo wsypywał do kieliszka cyjanek potasu. Potem inkasował honorarium i natychmiast zapominał o całej sprawie. Czasem nawet się dziwił, że to takie proste.

Kiedy opanowywał go nastrój refleksyjny, zagłębiał się w wygodnym fotelu i, popijając coca-colę lub sok pomarańczowy (alkoholu prawie nigdy nie używał), rozmyślał. A tok tych rozmyślań biegł zawsze tym samym, ustalonym torem: „Zabijam, bo mi za to dobrze płacą. Dzięki temu jestem niezależny, wolny, nie muszę siedzieć po całych dniach za biurkiem, nie muszę wysłuchiwać gderania różnych dyrektorów, ministrów, prezesów. To przecież żadna strata, jeżeli się zastrzeli jakiegoś tam faceta, który przeszkadza drugiemu facetowi. Jestem zawodowym mordercą. To prawda. Ale czym różni się morderca w czasie pokoju od żołnierza w czasie wojny? Właściwie niczym. Rezultat działalności obydwóch jest identyczny. Takie jest życie. Tak jest urządzony świat”.

Bardzo rzadko rozmyślał na te tematy, ale jeżeli bywały w jego życiu takie chwile, to właśnie tego rodzaju argumentacja uspokajała go całkowicie.

Był ambitny. Już nie wystarczały mu zlecenia małych, trzeciorzędnych gangsterów. Chciał wyruszyć w szeroki świat, mieć do czynienia z najwyższymi sferami, używać życia na dużą, międzynarodową skalę. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi podnieść swoje kwalifikacje. Przede wszystkim więc dobre maniery i znajomość języków. Ale na to potrzeba było dużo pieniędzy.

Dwie udane akcje w Kalifornii i w Teksasie przyniosły prawie dziesięć tysięcy dolarów. Z takim kapitałem można było zacząć edukację.

Oszczędnie gospodarował pieniędzmi. Na niemieckim frachtowcu popłynął do Europy. W Niemczech Zachodnich spędził dwa lata, w Paryżu trzy. Potem Monte Carlo. Szczęście w grze mu dopisywało. Wygrał trzydzieści tysięcy dolarów. Pojechał do Włoch, gdzie nawiązał szereg interesujących znajomości z przedstawicielami sycylijskiej mafii. Przez cały ten czas pilnie uczył się języków. Opanował biegle w mowie i piśmie francuski, niemiecki, podszlifował włoski, którego uczyła go matka. Zaczął bywać w domach bogatych kupców, przemysłowców, zaprzyjaźnił się w Wenecji z pewnym austriackim baronem. Powoli, bardzo powoli zyskiwał sobie opinię człowieka światowego, dobrze wychowanego, mile widzianego w towarzystwie. W karty grał ostrożnie, uważając żeby nie ogrywać ludzi, którzy mogą mu się na coś przydać. Z kobietami był jeszcze ostrożniejszy. Wiedział, że nic mu tak nie może zaszkodzić jak lekkomyślny romans. Ograniczał się więc do przelotnych przygód, które nie groziły żadnymi komplikacjami. Z damami z towarzystwa flirtował, prowadził „intelektualne” rozmowy, do których się starannie przygotowywał, ale nie dopuszczał do zbyt dużych poufałości. Intrygował.

Niezmiernie dbał o swą formę fizyczną. Trenował boks, dżudo, zapasy, strzelanie z pistoletu oraz z długiej broni, jeździł konno, pływał, grał w tenisa. Z żelazną konsekwencją unikał alkoholu.

Właśnie jego fundusze zaczęły się wyczerpywać, kiedy w Palermo otrzymał nowe zlecenie. Likwidacja Sycylińczyka

przebywającego pod przybranym nazwiskiem w Nowym Jorku. Zażądał czterdziestu tysięcy dolarów plus koszty. Zleceniodawca zgodził się bez większych targów.

Potem odwiedził Londyn na zlecenie pewnego francuskiego potentata finansowego, jakiś czas przesiedział w Paryżu, studiując na wszelki wypadek język rosyjski, aż wreszcie trafiła się duża skomplikowana akcja na Bliskim Wschodzie, której o mało nie przyplacił życiem. Tylko dzięki swej ogromnej sprawności fizycznej i błyskawicznemu refleksowi zdołał ująć Arabom. Wtedy przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie podejmie się akcji o charakterze politycznym. Ta było zbyt duże ryzyko. Co innego pojedynczy człowiek choćby nawet z doskonałą obstawą, a co innego mieć przeciwko sobie całą organizację państwową.

Na Bliski, Środkowy i Daleki Wschód powracał parokrotnie. Zlecenia specjalne otrzymywał od Hindusów, Japończyków i Syryjczyków. W swej karierze wielokrotnie zmieniał nazwisko i występował jako przedstawiciel najrozmaitszych zawodów. Miał na całym świecie przyjaciół, którzy nie mieli pojęcia, skąd czerpie znaczne dochody. W wielu bankach Europy i Ameryki pootwierał sobie konta, żeby nie mieć trudności w dysponowaniu pieniędzmi. Żył na szerokiej stopie, ale nie był rozrzutny. Jeśli to nie kolidowało z jego interesami, rezygnował z luksusowych hoteli i restauracji. We Włoszech przez szereg tygodni, a nawet miesięcy jadał w trzeciorzędnych trattoriach, dając mizerne napiwki kelnerom. Ale w razie potrzeby wydawał ogromne sumy na reprezentację. Wiedział, że te pieniądze oprocentują się bardzo korzystnie. Potrafił błyskawicznie, z dnia na dzień przedzierzgnąć się z bogatego, szastającego pieniędzmi utracjusza w skromnego urzędnika pocztowego, któremu nigdy nie wystarcza chudej pensyjki na przetrwanie do pierwszego. Był obdarzony przez naturę ogromnymi zdolnościami aktorskimi, które niezwykle pomagały w jego działalności.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, Eddie przyjrzał się uważniej swemu odbiciu w lustrze i powiedział nie bez dumy: -

No, przyjacielu, jesteś bardzo dobrym fachowcem. Pierwszy sort.

Śmierć matki odczuł bardzo boleśnie. To była jedyna na świecie istota, poza jego ulubionym buldogiem, z którą był związany uczuciowo. Wraz z matką zginął bezpowrotnie świat jego dzieciństwa. Z ojcem i z rodzeństwem nic go właściwe nigdy nie łączyło. Nie obchodził go ich los, nie chciał ich widzieć. Teraz, leżąc na tapczanie w pokoju hotelowym, patrzył na fotografię matki i żałował, że nie dożyła tej chwili, kiedy stał się bogatym człowiekiem. Kupiłby jej piękną willę na Lazurowym Wybrzeżu, otoczyłby ją służbą, zbytkiem. Nie zastanawiał się nad tym, co by odpowiedział, gdyby matka zapytała go, skąd bierze na to wszystko pieniądze.

Wstał, pieczołowicie ułożył fotografię na dnie walizki i zaczął się pakować. Nie był w najlepszym nastroju. Odczuwał coś w rodzaju tremy. To zdarzyło mu się po raz pierwszy. Nigdy nie był w Polsce i nie znał ludzi mieszkających w tym dalekim kraju, o którym dochodziły go najrozmaitsze, najbardziej sprzeczne wiadomości. Z Polakami stykał się czasem w Ameryce, ale te kontakty były bardzo dorywcze, a poza tym wtedy nie interesowała go Polska. Postanowił jak najprędzej zaopatrzyć się w książki, z których mógłby się czegoś dowiedzieć o terenie działania. Na razie wiedział tylko, że stolicą Polski jest Warszawa, że Polacy chętnie jedzą gotowaną kapustę i że z radością witają gości ze strefy dolarowej. Miał zamiar przyzwyczać się do gotowanej kapusty, a jeżeli chodzi o dolary, to wierzył, że z pewnością mu ich nie zabraknie.

Skończył pakowanie i zapalił nowego papierosa. Miał jeszcze sporo czasu, z którym nie wiedział co, robić. Mógł pojechać na lotnisko i tam zaczekać na i samolot odlatujący do Paryża, ale nie miał na to ochoty. Postanowił przejść się jeszcze po mieście i napić się kawy.

Tak był pogrążony w rozmyślaniach, że nie wiedział w jakim kierunku idzie. Zaczynał już konkretnie opracowywać plan zleconej mu akcji. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zadanie nie jest łatwe. Ale dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to była suma nie do pogardzenia. Ostatecznie tyle już

przeprowadził w swojej karierze podobnych akcji dlaczego akurat ta miałyby się okazać specjalnie trudna? Poważną komplikacją była sprawa odzyskania kompromitujących dokumentów. Samo zlikwidowanie faceta to drobiazg, ale dokumenty - trzeba to jakoś zgrabnie rozegrać. W tym wypadku nie wystarczał jeden celny strzał z pistoletu z tłumikiem.

*

Carboni zatrzymał magnetofon i triumfalnie spojrzął na swego gościa.

- No i co pan na to?

Dorettino przez chwilę przyglądał się w milczeniu swoim wpięłgnowanym starannie paznokciom. Jego łysa, spiczasta czaszka oraz dziwnie wydłużone uszy czyniły go podobnym do ogromnego nietoperza.

- Interesujące - powiedział wolno - bardzo interesujące. Mam nadzieję, że to nie mistyfikacja.

Co za pomysł? - Carboni poruszył się niecierpliwie i sięgnął po papierosa. - Nie ma mowy o żadnej mistyfikacji.

- Czy można wiedzieć, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tej taśmy?

Carboni uśmiechnął się.

- To bardzo proste. Marsano ma lokaja, któremu ja bardzo dobrze płacę. Giuseppe zainstalował w bibliotece mikrofon, przeciągnął przewody i nagrał tę rozmowę.

- Dobrze pomyślane - pochwalił Dorettino. - Ciekawe, o jakie dokumenty chodzi.

- Marsano ocenia je na ćwierć miliona dolarów. To duża suma nawet dla niego.

- Tak. To duża suma - powtórzył człowiek-nietoperz. Mówił wolno, z namysłem, jakby zastanawiał się nad każdym słowem. Ruchy miał także powolne, ale precyzyjne. Nie wyczuwało się w nim temperamentu południowca. - Jeżeli tak mu zależy na tych dokumentach - mówił dalej po chwili przerwy - to znaczy, że warto by je zdobyć.

- Z ust mi pan to wyjął - podchwycił z ożywieniem Carboni.
- Oczywiście, że warto zdobyć te dokumenty. Marsano byłby całkowicie od nas zależny. To byłaby inna rzecz.

Signor Doretino znowu zaczął podziwiać swoje paznokcie.

- Tylko czy to realna sprawa? Jak pan wie, jestem zwolennikiem finansowania wyłącznie realnych przedsięwzięć.

- Nie widzę w tym nic nierealnego! - wykrzyknął Carboni. - Nie przeczę, że impreza dosyć ryzykowna, ale gra warta świeczki. Uważam, że w tej sytuacji musimy pójść na pewne ryzyko.

- Jak pan sobie praktycznie wyobraża realizację takiego przedsięwzięcia, signor Carboni?

- Musimy posłać kogoś do Polski za tym Amerykaninem. To chyba nie ulega wątpliwości.

Łysa głowa poruszyła się nieznacznym, wahadłowym ruchem.

- Łatwo powiedzieć „posłać kogoś do Polski za tym Amerykaninem”. Gdzie pan znajdzie człowieka, który miałby odpowiednie kwalifikacje i któremu można by zaufać?

- Trzeba się rozejrzeć, zastanowić...

- Czuję, signor Carboni, że ma pan już kogoś upatrzonego.

- Może i mam.

- Czy zdradzi mi pan tę tajemnicę?

- Nina Gobetti.

- Ta młoda wdowa?

- Tak.

- Sądzi pan, że potrafiłaby przeprowadzić tego rodzaju akcję?

Carboni skinął głową.

- Nie tylko sądzę, ale jestem pewien. Już nieraz korzystałem z jej usług. W takim wypadku kobieta może działać o wiele więcej niż mężczyzna.

Doretino oderwał wzrok od paznokci i spojrzał na swego rozmówcę.

- Możliwe, że ma pan rację. Sprytna kobieta rzeczywiście w takich sprawach bywa cenną współpracownicą. O ile sobie

przypominam, to ta pańska protegowana jest przystojną kobietą.

- Una bellissima ragazza! - zawołał z zapalem Carboni. - Rzadko spotykana, bardzo oryginalna uroda.

Doretтино pokiwał głową.

- Tak, tak. Przypominam sobie. Spotkałem ją kiedyś u pana. Była wtedy razem z mężem. Co się z nim stało?

- Zginął w wypadku samochodowym.

- To się często zdarza. Dzisiaj młodzi ludzie prowadzą bardzo lekkomyślnie. Więc uważa pan, że ona by się nadała?

- Jestem przekonany, że potrafiłaby to załatwić. Musiałaby nawiązać kontakt z tym Amerykaninem i w momencie kiedy on zdobędzie dokumenty... Trzeba jej obiecać duże wynagrodzenie.

- Ale bardzo pana proszę, bez przesady - skrzywił się Doretтино. - Nie należy ludzi demoralizować.

- Kwota musi być atrakcyjna. Niech pan nie zapomina, że to misja bardzo trudna i połączona z poważnym niebezpieczeństwem. Ten człowiek nie zawaha się zlikwidować każdego, kto mógłby pokrzyżować jego plany.

- Oczywiście. Proponuję jednak, żeby pan ustalił honorarium w ramach zdrowego rozsądku.

- Możemy w ogóle zrezygnować z tej akcji - powiedział Carboni, który poczuł się urażony. - Wtedy nic nie będzie kosztować.

Doretтино zaprotestował energicznym ruchem ręki.

- O tym nie ma mowy. Zdobycie tych dokumentów to dla nas ogromna szansa. Niech pan nie zapomina, że Marsano ma zamiar kandydować do parlamentu. Nie jest wykluczone, że zostanie senatorem. I jeżeli wtedy będziemy go mieli w ręku... To dla nas lepsze, niż gdyby rozstał się z tym światem. Niech pan obieca tej dziewczynie sumę, jaką pan będzie uważał za niezbędną. Musi pan jednak pamiętać, że do tego dojdą niemałe koszty związane z całą imprezą.

Carboni zapalił papierosa. Opanował już wzburzenie i odezwał się głosem całkiem zrównoważonym:

- Może pan być zupełnie spokojny, że nie wydam ani jednego dolara więcej niż to będzie bezwzględnie konieczne. Przecież i mnie także zależy na tym, żeby nadmiernie nie nadwyreżać naszych wspólnych funduszków. Jednakże propozycja musi być taka, żeby mogła zainteresować tę dziewczynę. To musi być dla niej ogromnie atrakcyjne przedsięwzięcie.

- Czy jest pan pewien jej lojalności?

- Oczywiście. Mam do niej zaufanie. Na wszelki wypadek jednak przedsięwzięmę niezbędne środki ostrożności. Istnieją pewne układy, które pozwalają mi na trzymanie jej w szachu. Nie sądzę, żebym się musiał uciekać do tej ostateczności, ale, jak wspomniałem, na wszelki wypadek dam jej do zrozumienia, że prowadzenie podwójnej gry absolutnie nie leży w jej interesie.

Doretto leciutko zaklaskał w dłonie.

- Brawo. Zawsze podziwiam pańską umiejętność łączenia żywiołowego temperamentu z chłodną rozważą i z daleko idącym przewidywaniem.

Carboni gładko przełknął komplement. Skromnie schylił głowę.

- Troppo gentile.

Rozmawiali jeszcze dość długo, omawiając szczegóły planowanego przedsięwzięcia. Rozstali się w najlepszej zgodzie, jak starzy, dobrzy przyjaciele. Patrząc na nich nikt by nie przypuszczał, że jeden drugiego byłby gotów utopić w przysłowiowej łyżce wody.

Nazajutrz późnym popołudniem signor Carboni siedział na tym samym fotelu, na którym odbył rozmowę ze swoim wspólnikiem. Tym razem jednak zamiast niesympatycznego człowieka o uszach nietoperza miał przed sobą śliczną dziewczynę.

Zasługiwała w pełni na to określenie. Wysoka, o klasycznych kształtach, poruszała się lekko, sprężyste jak baletnica. Głowę o pięknym kształcie ozdabiały gęste jasnobłond włosy, z którymi kontrastowały ciemne, aksamitne

oczy. Z całej jej postaci emanowała wspaniała kobiecość, ale i siła, niezupełnie harmonizująca z urodą.

- Czy miałyby pani ochotę odbyć podróż do Polski? - spytał Carboni, przerywając przeciągające się nieco milczenie.

Spojrzała pytająco.

- Do Polski? W celach turystycznych?

- Nie tylko. Mam dla pani pewną interesującą propozycję...

Słuchała uważnie. Kiedy Carboni skończył mówić, spytała:

- Ile pan proponuje?

- Siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Wysunęła dolną wargę.

- Skromnie - powiedziała po chwili namysłu.

- Powiedzmy osiemdziesiąt, oczywiście plus koszt.

- A może zaokrąglilibyśmy do stu tysięcy? - zaproponowała spokojnym głosem.

Carboni uśmiechnął się.

- Jest pani zarówno czarującą kobietą, jak wytrawnym biznesmenem. Zgoda. Ustalmy na sto tysięcy.

- A gwarancja?

- Szczegóły omówimy - zapewnił pospiesznie. - O ile się nie mylę, pani zna język polski?

- Oczywiście. Bardzo dobrze. Moja matka była Polką.

- To zapewne po niej odziedziczyła pani te wspaniałe jasne włosy?

- Być może.

- A pani ojciec był Włochem?

- Tak. Neapolitańczykiem.

- Rozmawiamy o rodzicach pani tak, jakby nie żyli.

- Bo nie żyją. Moja matka umarła na uremię, a ojciec został zastrzelony.

- Zastrzelony?

- Tak. W Palermo.

- Kto go zastrzelił?

- Nie wiem. Komuś musiał przeszkadzać.

- A pani mąż zginął w wypadku samochodowym?

- Taka była oficjalna wersja.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Bo ja nie wierzę w ten „wypadek”. Gino był zbyt doświadczonym i bardzo ostrożnym kierowcą.

- Czy pani trochę nie demonizuje tej sprawy? Każdemu, nawet najlepszemu kierowcy może się przecież zdarzyć...

Energicznie potrząsnęła głową.

- Mam pewne dane po temu, żeby nie wierzyć, że to był wypadek. Zresztą nie mówmy już na ten temat.

- Jak pani sobie życzy. Zapewne czuje się pani bardzo samotna.

- Mam przyjaciół.

- Czy w Polsce żyje ktoś z rodziny matki pani?

- Nie wiem. Musiałabym się rozejrzeć. Nie utrzymywałam żadnych kontaktów z rodziną.

- Gdyby to było celowe, mogłaby pani nawiązać te kontakty. W tej chwili najważniejszy jest dla mnie mister Rolson.

- Ma pan może jego fotografię?

- Tak. Otrzyma ją pani. Lepiej jednak będzie, jeżeli pani dokładnie się jej przyjrzy, a następnie zniszczy. Nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego. Ten Rolson to dobry fachowiec.

Uśmiechnęła się.

- Co do tego nie mam wątpliwości.

ROZDZIAŁ II

Obudził się z uczuciem niepokoju. Całą noc męczyły go koszmarne sny. Był zadowolony, że to się wreszcie skończyło. Od pewnego czasu bardzo źle sypiał. Wieczorem długo nie mógł zasnąć, a rano wstawał nie wypoczęty, w fatalnym nastroju. Myślał nawet, żeby pójść do lekarza, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że żaden lekarz mu nie pomoże. Należało usunąć przyczynę zdenerwowania, a to było niemożliwe.

Wolno wyciągnął rękę i po omacku poszukał zegarka leżącego na stoliku. Za dziesięć szósta. Wiedział, że już nie zaśnie. Przewrócił się na wznak i patrzył w sufit. Nie chciało mu się wstawać. Po co? Co będzie robić? Codziennie zastanawiał się, jak wypełnić czas.

W pierwszym okresie absorbowaly go sprawy organizacyjne. Trzeba było załatwić pobyt, znaleźć mieszkanie, zobaczyć się z Anną... Teraz to wszystko miał już za sobą. Wynajął w Komorowie niewielką willę z garażem od urzędnika Ministerstwa Handlu Zagranicznego, który właśnie wyjeżdżał na placówkę. Załatwienie pobytu nie sprawiło mu większego kłopotu. Kupił kilka niezbędnych drobiazków i wreszcie znalazł gosposię, która zgodziła się przychodzić dwa razy w tygodniu, żeby posprzątać, zrobić zakupy, przeprać i ewentualnie coś ugotować. Najtrudniejszą sprawą była rozmowa z Anną. Długo nie mógł się na to zdecydować.

Rozstali się jako dzieci. On miał wtedy szesnaście lat, a ona dziesięć. Od czasu swej ucieczki na greckim frachtowcu nie widział jej. Początkowo pisywał czasem do rodziców, a potem, po ich śmierci, dostał parę listów od Anny. Korespondencja urwała się jednak zupełnie i od wielu lat nic o niej nie wiedział. Czy żyje? Gdzie mieszka? Czy wyszła za mąż?

Ostatni list był z Gdańska. Tam postanowił szukać swej małej siostrzyczki. Odnalazł ją nadspodziewanie łatwo. Po

prostu przy użyciu książki telefonicznej. W dalszym ciągu mieszkała w Gdańsku. Zmieniła tylko adres.

Nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą, ale miał trochę tremy. Zatelefonował z poczty. Anna oczywiście nie poznała go po głosie. Kiedy powiedział, kto mówi, w słuchawce zapanowało dłuższe milczenie. Była zaskoczona, może wzruszona. Rozmawiali krótko. Okazało się, że Anna wybiera się za dwa dni do Warszawy. Zaproponował spotkanie w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach. Powiedziała, że rodzice pochowani są w Gdańsku. Upierał się jednak przy tym kościele. Była trochę zdziwiona, ale zgodziła się. - Nie mów nikomu, że przyjechałem - powiedział na pożegnanie.

Umówili się koło ostatniej ławki po prawej stronie. Oboje przyszedli punktualnie. Ostatnie nabożeństwo żałobne dobiegało końca. Postali chwilę, nic nie mówiąc, i ruszyli za trumną wraz z rodziną nieboszczyka.

Dlaczego prowadzisz mnie na cmentarz? - spytała cicho.

Bo to najlepsze miejsce do spokojnej rozmowy.

Dzień był upalny. Szerokie konary drzew chroniły przed natrętnymi promieniami słońca. Mimo gorąca cmentarna ziemia pachniała wilgocią.

Wysunęli się z żałobnego orszaku i skręcili w boczną, zupełnie pustą aleję. Przed starym, zaniedbanym grobem znaleźli żelazną ławkę. Usiedli.

Dopiero teraz Henryk przyjrzał się siostrze. Nie, nie poznałby jej. Na ulicy minąłby ją obojętnie. Mała, jasnowłosa Ania znikła bezpowrotnie. Miał przed sobą dorodną, dwudziestokilkuletnią kobietę o energicznej twarzy i zdecydowanym spojrzeniu leciutko skośnych, ciemnych oczu. „To dziwne, że szatynka - pomyślał. - Miała takie złote włosy”.

- Zrobiła się z ciebie ładna dziewczyna - powiedział.

Uśmiechnęła się.

- Właśnie miałam zamiar stwierdzić, że wyrosłeś na bardzo przystojnego mężczyznę. Byłeś chłopakiem, jak cię ostatni raz widziałam.

Pokiwał głową.

- Miałem szesnaście lat.

- Dawno przyjechałeś?

Nie odpowiedział. Postanowił od razu wyjaśnić sytuację.

- Posłuchaj Aniu. Chcę, żebyś wiedziała, że ja się teraz inaczej nazywam: Robert Konecki. Zapamiętaj. Robert Konecki. Twój brat Henryk Moderski zniknął. Wyjechał przed szesnastoma laty za granicę i wszelki śluch po nim zaginął. Nic o nim nie wiesz. Rozumiesz? Absolutnie nic. Nikt nie może się nawet domyślać, że wróciłem.

Spojrzała na niego badawczo i ściągnęła brwi.

- Uciekłeś przed policją? - spytała.

- Nie, nie uciekłem przed policją. Nikogo nie zamordowałem i nie ograбіłem żadnego banku.

- Więc dlaczego...?

Dotknął jej dłoni.

- Nie pytaj. To są moje prywatne sprawy. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Czy możesz mi przyrzec, że nikomu nic nie powiesz o moim powrocie?

- Jeżeli tak chcesz...

- Od tego zależy moje życie.

- To coś aż tak poważnego?

- Tak. Wiesz, że zawsze byłem skłonny lekceważyć niebezpieczeństwo, ale w tym wypadku... Zastanawiałem się, czy w ogóle się z tobą skontaktować.

- Możesz być pewien, że potrafię milczeć. Nikomu nic nie powiem.

- Dziękuję ci. A teraz pomówmy o tobie. Czym się zajmujesz? Czy wyszłaś za mąż? Masz dzieci?

- Powoli - uśmiechnęła się. - Nie pytaj o wszystko naraz. A więc tak: pracuję od wielu lat w dziennikarstwie. Pisuję felietony, reportaże, krótkie opowiadania.

- Piszesz pod własnym nazwiskiem?

- Pod pseudonimem.

- Znalazłem cię pod panińskim nazwiskiem. Wnioskuje z tego, że nie wyszłaś za mąż.

- Wyszłam za mąż, ale to było nieporozumienie. Od czterech lat jestem rozwódką. A co do panińskiego nazwiska,

to nigdy się z nim nie rozstawałam. Nawet jako mężatka używałam swojego nazwiska.

- Masz dzieci?
- Mam córkę. Joasia w tym roku idzie do drugiej klasy.
- To duża panna.
- Czas leci.
- Chciałbym ją kiedyś zobaczyć. Zmrużyła oczy.
- Czyżby zaczynały się w tobie odzywać uczucia rodzinne?
- Nie kpij. Wiem, że jestem nie całkiem w porządku.

Pomogę ci finansowo.

- Obejdzie się. Sama sobie doskonale daję radę.
- Jesteś na mnie cięta?
- Teraz już nie. Byłam. Spojrzał na nią z wyrzutem.
- Jesteś niesprawiedliwa. Nie wiesz, ile ja tam wycierpiałem. Życie w tym gangsterskim świecie nie jest łatwe.
- Nie musiałeś żyć w gangsterskim świecie. Mogłeś zostać z nami. Ale tobie było tu za ciasno. Wyruszyłeś w szeroki świat, robić karierę, zdobywać miliony.

- A co? Miałem siedzieć sobie tutaj i gnić na jakiejś dziadowskiej posiadce?

- Żyje tu trzydzieści milionów Polaków.
- Niech sobie żyją. Ja bym się tu udusił.
- Ty nigdy nie byłeś związany ani z nami, ani z Polską.
- Nie byłem - przyznał gniewnie. - I co z tego? Nie każdy może być pełnym poświęcenia patriotą. Zresztą czy musimy rozmawiać na ten temat?

Wzruszyła ramionami.

- Nie musimy. A jaki temat ci odpowiada?
- Nie wiem. Po tylu latach trochę trudno się porozumieć.
- Masz rację - odpowiedziała ze smutkiem. Podniosła się. - Chodźmy.

Spotkali się nazajutrz w ogrodzie botanicznym. I tym razem jednak rozmowa nie kleiła się. Anna zaczęła wspominać dziecięce lata. Potem mówiła o ich życiu, o rodzicach, o chorobach i o śmierci. Drażniło go to wszystko. Nie chciał słuchać tych opowieści. Siedział chmurny, zły.

- Kiedy się żegnali, - powiedział:

- Chciałbym ci dać tysiąc dolarów. Weźmiesz? Potrząsnęła głową.

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale nie wezmę.

Rozstali się w nie najlepszym nastroju. Leżał na wznak, patrzył w sufit i myślał o spotkaniu z Anną. Czuł się zawiedziony, rozżalony. Ale czego właściwie mógł się spodziewać po szesnastu latach? Kawał czasu. Każde z nich poszło własną drogą. Byli dla siebie dwojgiem zupełnie obcych ludzi. Wspomnienia z dzieciństwa wcale go nie bawiły, a o obecnej swojej sytuacji nie mógł z Anną mówić.

Wstał z tapczana i poszedł do łazienki. Podczas golenia wrócił niepokój, z którym się obudził. Doskonale zdawał sobie sprawę, że prowadzi bardzo niebezpieczną grę. Zbyt dobrze znał swego byłego szefa, żeby mieć pewność, - że Marsano nie zostawi tak tej sprawy. Wprawdzie wpłacał regularnie miesięczne raty na konto w szwajcarskim banku, ale w każdej chwili można się było spodziewać przyjazdu na teren Polski „specjalnego wysłannika”. A może już się pojawił? Może jest na tropie swojej ofiary? Trudno było przewidzieć, w jakim tempie rozwinie się akcja.

Tego rodzaju rozmyślania nie wpływały dodatnio ani na dobre samopoczucie, ani na spokojny sen. Metody, jakimi posługiwał się Marsano i jego klika, były jednoznaczne i nie można było się łudzić, że teraz wszystko odbędzie się inaczej. Bezlitosna walka na śmierć i życie. Chodziło tylko o to, żeby być szybszym, sprytniejszym, zmylić czujność przeciwnika, zdeorientować go, wreszcie wykończyć. Komu Marsano mógł powierzyć taką misję? Na pewno nikomu ze swojego najbliższego otoczenia. Musi to być ktoś zupełnie obcy, ktoś z zewnątrz, jakiś zawodowy morderca.

Czy przedsięwziął wszystkie środki ostrożności? Chyba tak. Zmiana nazwiska, wynajęcie mieszkania pod Warszawą, w cichej, nie rzucającej się w oczy miejscowości. Należało stosunkowo często zmieniać miejsce zamieszkania, ale także i nie za często. Zbyt duża ruchliwość może się rzucać w oczy. A gdyby wyjechać na jakąś odległą, głucho wieś i tam prze siedzieć te kilka miesięcy, dopóki szwajcarskie konto

dostatecznie nie urośnie? Ale na „głuchej wsi” pojawienie się takiego dolarowego turysty wzbudziłoby zrozumiałą sensację. Zainteresowaliby się tym wydarzeniem nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale i milicja. Niepotrzebny był ten ferrari. Ale co teraz z nim zrobić? Sprzedać - to znaczy zostawić za sobą bardzo wyraźny ślad. Poza tym trudno się obejść bez dobrego wozu. Człowiek przyzwyczajony do własnego środka lokomocji nie tak łatwo godzi się na korzystanie z taksówek, tramwajów czy autobusów. W tej sytuacji zresztą szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce może mieć zasadnicze znaczenie. Nie, nie można pozbywać się wozu. Należałoby go ewentualnie przemaalować. Trzeba by to jednak zrobić samemu. Jak najmniej śladów.

Życie stawało się nudne, coraz bardziej monotonne. Cóż z tych pieniędzy, jeżeli człowiek nie może się zabawić, pójść do lokalu, poderwać ładnej dziewczyny, pojechać z nią na wycieczkę. Bezczylnie siedzenie w Komorowie nie należało do przyjemności. Nie mógł jednak ryzykować. Musiał jakoś przetrwać ten rok, a potem... Ponad milion dolarów to suma która otwierała dużo różnych możliwości. Z takim: pieniędzmi można zacząć nowe życie, urządzić się w Stanach, w Brazylii, w Argentynie. Nietrudni będzie potem podwoić, a może nawet potroić kapitał. Liczą się tylko pieniądze. Bez nich człowiek jest zerem, popychadłem, szmatą.

Nie ulega wątpliwości, że signor Marsano wysłał kogoś do Polski. To niewątpliwie zawodowiec pierwszej klasy. Ciekawe, ile mu Marsano obiecał? Może sto tysięcy, może dwieście. Trudna impreza i ryzykowna. Polska to nie Stany Zjednoczone ani Italia. Ludziom przyzwyczajonym do gangsterskich metod trudno się poruszać po tutejszym terenie. Trzeba zastosować zupełnie inną technikę działania.

Co ten facet może wiedzieć o swojej ofierze? Marsano dostarczył mu fotografię oraz dokładny rysopis. Dobry fachowiec musi jednak brać pod uwagę takie możliwości, jak zmiana nazwiska, zapuszczenie brody, wąsów... Czy Marsano pamiętał o tej bliźnie na plecach? Należy założyć, że pamiętał.

A więc żadnych popisów pływackich, żadnych występów w basenach. Szkoda. Piękna pogoda. Lato w pełni.

Czy morderca jest już na terenie Polski? Pytanie to powracało natrętnie, obsesyjnie. Jak się o tym przekonać? Bo przecież żeby się bronić, trzeba poznać wroga. Należałoby go jakoś sprowokować, ale jak?

Ten facet miał nad nim ogromną przewagę. Był w posiadaniu jego rysopisu, fotografii, podczas gdy sam był wielką niewiadomą. Blondyn? Brunet? Wysoki? Niski? Tęgi? Szczupły? Tego typu zawodowcy są raczej ludźmi wysportowanymi, o dobrej kondycji fizycznej, ale również dobrze może to być niewielki, niepozorny człowieczek, znakomicie władający nożem i pistoletem. Jak go odnaleźć w tłumie turystów, handlowców, przedstawicieli przeróżnych organizacji odwiedzających Polskę?

Drugim ważnym problemem było zabezpieczenie dokumentów, które pragnął odzyskać signor Marsano. Dokumenty te nie tylko trzymały gangstera w szachu, ale także gwarantowały bezpieczeństwo jego byłemu sekretarzowi. Sama likwidacja niewygodnego człowieka nie załatwiała w tym wypadku sprawy. Najpierw trzeba zdobyć kompromitujące dokumenty. Jak je zabezpieczyć? Trzymać w Komorowie? Ryzykowne. Zawieźć do Anny do Gdańska? Nonsens. Więc co? Zrobił skrytkę w garażu, pod podłogą; zabetonował tam metalowe pudełko, zawierające papiery, których wartość ocenił na półtora miliona dolarów. Nie był zadowolony z takiego załatwienia sprawy, ale na razie nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Przy śniadaniu przeglądał wczorajszy „Ekspress”! Interesowała go specjalnie ostatnia strona. Lubił sport. Zwróciła jego uwagę notatka z toru wyścigowego. Pasjonowały go konie, hazard. Dosyć miał czytania kryminałów, które w większej ilości przywiózł z Rzymu. Znudziły go spacer po okolicznych lasach. „Pojadę - pomyślał z determinacją - niecił się co chce dzieje. Pojadę”. I pojechał.

Szcześnie mu sprzyjało. Obstawił dosyć wysoko kilka gonitw i wygrał około trzydziestu tysięcy. Był zadowolony.

Przyjemnie spędził czas, trochę się rozerwał, zapomniał o kłopotach. Nie wydawało mu się rzeczą prawdopodobną, żeby mógł go ktoś rozpoznać. Włożył duże, ciemne okulary, zmienił uczesanie a dc tego te wąsy, które starannie zapuszczał od przyjazdu do Polski. I ten tłum ludzi, żadnych hazardowych wrażeń. Nie, nie, żadnego ryzyka. Jedyne wóz. Może trzeba było przyjechać taksówką. A nie w tym tłoku.

Wracał z toru w dobrym nastroju, z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi. Zawsze bardzo cieszyła g: wygrana. Był wtedy niezmiernie pozytywnie nastawiony do świata i ludzi zapraszałby, fundowali płacił wysokie rachunki. Już nieraz w takich momentach nie tylko puścił całą wygraną, ale jeszcze sporo dołożył.

Na trawie siedział młody człowiek w połatanych džinsach. Twarz ukrył w dłoniach. Cała jego postawa wyrażała rozpacz. „Może się zgrał” - pomyślał Henryk i zrobiło mu się przykro. Dotknął ramienia chłopaka.

- Co panu jest? - spytał.

Tamten oderwał dłonie od twarzy i podniósł głowę. W jasnych oczach błyszczały łzy.

- Proszę mnie zostawić w spokoju - głos mu się łamał, nabrzmiały łkaniem.

- Co się stało? - nastawał Henryk. - Spłukałeś się? - przeszedł nagle na ty.

Chłopak pokiwał głową.

- Wszystko, wszystko przegrałem. Oszukali mnie, nabrali, namówili. Powiedzieli, że pewniak. Dranie, łobuzy, skurwysyny.

- Dużo przegrałeś?

- Piętnaści tysięcy. To nie moje pieniądze. Co ja teraz zrobię? Chyba się rzucę pod tramwaj.

Henryk ujął go mocno pod ramię.

- Wstawaj.

- Czego pan chce ode mnie? Niech mnie pan zostawi.

- Wstawaj. Chcę ci pomóc.

Zaprowadził chłopaka do wozu i otworzył drzwiczki.

- Wsiadaj.

- O, ferrari. Dobry wóz - powiedział z uznaniem młody człowiek, zapominając na chwilę o swoim nieszczęściu.

- Możesz go mieć na własność.

- Pan żartuje. Mnie nawet na syrenę nie stać.

- Wcale nie żartuję. Wsiadaj. Jak ci na imię?

- Paweł. Paweł Skawiński.

- A ja nazywam się Robert Konecki. Uścisnęli sobie dłonie. Henryk przyjacielsko poklepał chłopaka po ramieniu i uruchomił motor. Ruszyli.

- Dokąd mnie pan wiezie? - spytał po chwili Paweł.

- Do takiej ładnej miejscowości, która się nazywa Komorów.

- Sam pan tam mieszka?

Henryk wyczuł niepokój w tym pytaniu.

- Nie obawiaj się. Przepadam za ładnymi dziewczynami.

Chłopak odetchnął z widoczną ulgą.

- Jak pan się domyślił, że ja...

- Po prostu mam trochę doświadczenia.

Nie rozmawiali już więcej aż do Komorowa. Henryk zastanawiał się nad swym śmiałym planem, Paweł zaś gubił się w domysłach, co znaczy ta dziwna, tajemnicza historia.

Kiedy w Komorowie zajechali przed dom, Henryk wstawił wóz do garażu, a następnie zaprowadził swego gościa do mieszkania.

- Pan będzie łaskaw, panie Pawle - powiedział, otwierając drzwi.

- Do tej pory mówił mi pan po imieniu. Dlaczego...

- To było w żartach. Teraz porozmawiamy poważnie.

- Wołałem ten żartobliwy ton.

- Jeżeli sobie życzysz, możemy wypić bruderszaft.

- Bardzo chętnie.

Henryk wyjął z lodówki masło, szynkę, sardynki i ser tyłżycki, a z kredensu bułkę paryską, kieliszki i butelkę gruzińskiego koniaku. Z dużą wprawą zabrał się do robienia kanapek. Paweł pomagał mu jak umiał, ale szło mu niezbyt zręcznie.

Kiedy już zaimprovizowany poczęstunek był gotów, wypili bruderszaft i zasiedli w wygodnych fotelach.

- Jedz - zapraszał nowego przyjaciela Henryk. - Zaczekaj, zupełnie zapomniałem, że mam coś jeszcze. - Wrócił do kuchni i przyniósł krakersy i słone paluszki. - To nam będzie pasowało do koniaku - powiedział z uśmiechem. - Nie krępuj się. Jedz, pij, czuj się jak u siebie w domu. Ile masz lat?

- Dwadzieścia osiem.

- Z tą brodą wyglądasz poważniej. Dawno się nie golisz?

- Chyba ze trzy miesiące. Mnie bardzo szybko rośnie.

- Mnie także bardzo szybko. Często muszę się golić dwa razy dziennie. Powiedz mi, kochany, czym ty się zajmujesz?

- Różnie - odparł wymijająco Paweł.

- To znaczy? - nastawał Henryk.

- Próbowałem różnych rzeczy, ale tak naprawdę to nie mogę się na nic zdecydować. Skończyłem szkołę filmową. Byłem asystentem reżysera. Potem trochę kręciłem się w dziennikarstwie, trochę uczyłem się języków...

- Jakie znasz języki?

- Angielski, niemiecki, trochę włoski...

- Masz zdolności do języków?

- Chyba tak.

- Mógłbyś podciągnąć włoski?

- Jakby było trzeba. Dlaczego pan pyta?

- Jaki pan? Przecież jesteśmy po bruderszafcie.

- Zapomniałem. Przepraszam.

Henryk bardzo oszczędnie szafował koniakiem. Nie chciał, żeby cokolwiek zostało powiedziane czy zdecydowane pod wpływem alkoholu. Podsuwał raczej talerz z kanapkami. Po chwili zaczął wypytywać.

- Mieszkasz w Warszawie?

- Nie, we Wrocławiu.

- Sam czy z rodziną?

- Sam.

- A masz jakąś rodzinę?

- Mam tylko rodziców. Mieszkają w Malborku.

- Czym się zajmują?

- Matka prowadzi kiosk „Ruchu”, a ojciec jest mechanikiem.

- Jesteś jedynakiem?

- Tak. Co pan... co ty się tak mną interesujesz Henryk uśmiechnął się.

- Bo może miałbym dla ciebie pewną propozycję.

- Propozycję?

- Tak. Powiedz, mój drogi, jak to było z tą forszą którą przegrałeś na wyścigach?

Twarz młodego człowieka spochmurniała gwałtownie.

- To okropna historia. Jestem świnia. Jestem skończone bydlę. Przegrałem forszę mojego kumpla który leży w szpitalu.

- Nie bardzo rozumiem.

- Zwyczajnie. Mój kumpel miał operację na przepuklinę. Ponieważ jechałem do Warszawy, dał mi upoważnienie i prosił, żebym odebrał w wydawnictwie honorarium, które mu się jeszcze należało! Wszystko przegrałem. Co do złotówki. Nie mam pojęcia, co ja teraz zrobię. Facet leży tam bez grosza i liczy na te pieniądze.

- Pomogę ci - powiedział Henryk.

- W jaki sposób?

- Po prostu dam ci te głupie piętnaście tysięcy.

- Dlaczego? Za co? Tak za frajer nikt nie daje takiej forsy.

- Wspomniałem już, że chciałbym ci coś zaproponować. Oprócz tych piętnastu tysięcy możesz zarobić tysiąc dolarów, a niewykluczone, że jeszcze dorzucę ten wóz, który ci się tak podobał?

- Tysiąc dolarów - powtórzył osłupiały chłopak. - Skok na bank? A potem do pudła? Nie, nie idź na takie rzeczy. Nawet za dziesięć tysięcy dolarów.

Henryk sięgnął po butelkę i nalał jeszcze po odrobinie koniaku.

- Nie mam na myśli żadnego skoku na bank. To zupełnie inna sprawa. Żadnego ryzyka.

- Może mi wreszcie powiesz, o co chodzi. Bardzo chciałbym zarobić tę forszę, ale muszę wiedzieć...

- Oczywiście. Musisz wiedzieć, za co dostajesz pieniądze - przytaknął Henryk. - Posłuchaj więc. Mój serdeczny przyjaciel przebywa stale we Włoszech; jest obywatelem włoskim. Przyjechał na krótki pobyt do Polski i wrócił do Rzymu. Zależy mu jednak na tym, żeby jego kumple, a może i żona byli przekonani, że przedłużył sobie pobyt w Polsce. Dlatego zostawił mi swój paszport i prosił, żebym mu znalazł kogoś, kto mógłby zastąpić go na tutejszym terenie. Musiałbyś tylko pokazywać się w rozmaitych restauracjach, pochodzić po nocnych lokalach, zamieszkać w którymś z warszawskich hoteli, jeździć tym wozem, który widziałeś, a który jest własnością mojego przyjaciela...

- To ten twój kumpel wrócił bez paszportu do Włoch? - spytał podejrziwie Paweł.

Henryk roześmiał się.

- Nie bądź dzieckiem. Czy sądzisz, że na Zachodzie to taka trudna rzecz mieć dwa paszporty? Wystarczy powiedzieć, że zgubiłeś albo że ci ukradli i wystawią ci nowy. To żaden problem.

Młody człowiek podrapał się za uchem.

- I uważasz, że taka mistyfikacja nie pociąga za sobą żadnego ryzyka? A jeżeli mnie wezwie milicja?

- A dlaczegoż u diabła, miałyby cię wzywać milicja? Nie pakuję cię przecież w żadną kryminalną aferę. W okresie letnim takie tłumy turystów przewalają się przez Warszawę i w ogóle przez całą Polskę, że nie mają możliwości zajmować się każdym cudzoziemcem. Zresztą gdyby nawet wszystko się wydało, co jest rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, to co ci mogą zrobić? Nic, absolutnie nic. Przecież nie będziesz udawał kogoś innego w jakichś przestępczych celach.

- Powiedzą, że rąbnąłem faceta i przywłaszczyłem sobie jego paszport, żeby zwać za granicę.

Henryk niecierpliwie machnął ręką.

- Bzdura. Jeżeli ktoś chce wiać za granicę, to wieje, a nie włóczy się po knajpach. A poza tym w razie czego zawsze możesz wskazać mnie, jako inspiratora tej całej hecy. I wreszcie za coś tę forszę dostaniesz. Właśnie za pewne minimalne ryzyko.

Rozumiem, że mógłbyś mieć obiekcje, gdybym cię namawiał do napadu na bank z bronią w ręku albo do zamordowania jakiejś majątnej staruszki. Ale przecież nie proponuję ci niczego takiego. Trochę się zabawisz na mój koszt, dostaniesz tysiąc dolarów i wrócisz spokojnie do Wrocławia. Facetowi zależy, aby jego żona była przekonana, że on ciągle siedzi w Polsce. Ma dziewczynę w Neapolu. Chce mieć wolną rękę. Rozumiesz?

- Prawie rozumiem - powiedział bez przekonania Paweł.

- No więc jak? Decydujesz się?

- No, chyba tak... Tysiąc dolarów to dla mnie majątek. Warto zaryzykować. Może mi teraz powiesz, jak się będę od dzisiaj nazywał.

- Będiesz się nazywał Henryk Moderski. Zaraz dostaniesz paszport i zanotujesz sobie dokładne dane, dotyczące życiorysu mojego przyjaciela. Musisz się tego dobrze nauczyć. Tak na wszelki wypadek. I jeszcze jedna sprawa: poducz się włoskiego.

ROZDZIAŁ III

Zamieszkał w hotelu „Forum”. Ten dziwny budynek koloru przyrumienionego herbatnika nie zrobił na nim sympatycznego wrażenia. Powiedziano mu jednak, że to jest obecnie najnowocześniejszy hotel w Warszawie. Zdecydował się. Chciał się urządzić wygodnie. Ostatecznie przecież płacił Marsano.

Pokój był dość duży, z łazienką. Radio, telewizor, telefon. Urządzenie wewnątrz przyzwoite. Zupełnie niezły standard europejski. Był zadowolony.

Pierwszego dnia po kolacji, która mu niezbyt smakowała, postanowił się trochę przejść, przeprowadzić wstępne rozeznanie terenu.

Podziemnym przejściem, wypełnionym silnym zapachem amoniaku, wydobywającym się z szaletu, przedostał się na drugą stronę ulicy. Szedł wolno, rozglądając się ciekawie.

Na lewo wznosiło się ogromne dziwaczne gmaszysko, zakończone niespodziewanie małą wieżyczką. Zaczepił parę osób, aż wreszcie natrafił na kogoś, kto znał angielski. Dowiedział się, że ta budowla to Pałac Kultury. Ruszył dalej, mijając bardzo niskie domy towarowe, których słabo oświetlone wystawy robiły prowincjonalne wrażenie. Na ulicach nie było prawie żadnego ruchu. Spojrzał na zegarek: dochodziła dziesiąta.

Na rogu Świętokrzyskiej czerwone światło. Zatrzymał się. Spojrzał w prawo i zobaczył neon „Pocztą”. To była pierwsza cenna informacja. Postanowił przyjść tu z samego rana. Chciał zajrzeć do ksiązek telefonicznych większych miast. Ruszył dalej. Znowu przeszedł ulicę i znalazł się w ciemnym ogrodzie. Przyjemnie tu było. Rozłożyste, stare drzewa, trochę powietrza bez spalin. Potem obejrzał Grób Nieznanego Żołnierza i skrzył w lewo. Na końcu dużego placu zobaczył gmach przypominający olbrzymi bunkier. Zaintrygowany obszedł „bunkier” dookoła i przekonał się, że z drugiej strony jest

wejście do opery. Z frontu gmach podobał mu się o wiele bardziej.

Poczuł zmęczenie. Uznał, że dosyć spaceru jak na pierwszy raz. Wrócił do hotelu.

W recepcji młody wysoki blondyn, mówiący dobrze po angielsku, spytał:

- Czy pan po raz pierwszy w Polsce?

- Dlaczego pana to interesuje?

- Była tu u nas dzisiaj pewna dziennikarka, która przeprowadza wywiady z cudzoziemcami, odwiedzającymi po raz pierwszy nasz kraj.

- Jestem w Polsce po raz pierwszy, ale nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać z dziennikarzami - mruknął niechętnie Rolson. Odwrócił się i poszedł w kierunku windy. Miał pokój na dziesiątym piętrze.

Wziął prysznic, włożył piżamę i z przyjemnością wyciągnął się na wygodnym tapczanie. Przywiózł sobie parę kryminalnych powieści z Paryża, ale czytanie jakoś mu nie szło. Nazbyt był zaabsorbowany swoją misją.

Doskonale zdawał sobie sprawę z oczekujących go trudności. To wcale nie było takie proste znaleźć tego człowieka, a następnie zmusić go do oddania dokumentów. Na pewno zrobił fotokopie. Jeżeli zdecydował się na taki numer, to nie można go lekceważyć i trzeba przewidzieć absolutnie każdą ewentualność. Prowadzenie otwartej wojny z Marsano i całą jego kliką było przedsięwzięciem niesłychanie ryzykownym. Mógł sobie na to pozwolić ktoś absolutnie zdecydowany na wszystko, a jednocześnie ufający swym umiejętnościom w prowadzeniu takiej gry. Jak go odszukać? Czy w ogóle jeszcze jest w Polsce? A może już dawno wyjechał do Francji, Szwajcarii, Belgii czy Anglii? To jednak było mało prawdopodobne. Dla takiego człowieka jak Moderski Polska stanowiła stosunkowo najbezpieczniejszy azyl. Na terenie całej prawie Europy Marsano miał zaufanych ludzi. Jedynie w krajach socjalistycznych nie miał powiązań gangstersko-mafijnych. Nawet ucieczka do Stanów Zjednoczonych czy do Ameryki Południowej nie dawała gwarancji bezpieczeństwa.

Tak. Polska była w tej sytuacji najbezpieczniejszym miejscem pobytu - szczególnie dla Polaka, mającego tu prawdopodobnie rodzinę, przyjaciół, znajomych. Czy Moderski domyśla się, że Marsano posłał kogoś za nim? Na pewno. Nie jest aż tak naiwny, żeby sądzić, że cała ta afera może przejść zupełnie gładko. Zresztą miał dosyć czasu, żeby dokładnie poznać swojego byłego szefa. A jeżeli jest przygotowany na przyjazd wysłannika pana Marsano, to niewątpliwie przedsięwziął już odpowiednie środki ostrożności.

Wstał i wyjął z walizki fotografię Moderskiego. Było to powiększenie z grupowego zdjęcia. Skrzywił się. Niewielka pomoc. Przez parę lat człowiek się jednak zmienia, a teraz Moderski na pewno dołożył wszelkich starań, żeby zasadniczo zmienić swój wygląd.

Fotografia wróciła na swoje miejsce na dnie walizki. Przy tej okazji Kolson z pewnym rozrzewnieniem dotknął pistoletu, owiniętego w niebieski szalik. Był zadowolony, że udało mu się przemycić broń, amunicję, tłumik i specjalną kaburę do noszenia pistoletu pod lewą pachą. Zdobywanie tych wszystkich rzeczy w Polsce mogło mu przysporzyć sporo kłopotu. A przecież musiał być przygotowany na każdą ewentualność.

Znowu próbował czytać. Nic z tego. Był zmęczony! Odłożył książkę, zgasił światło i prawie natychmiast usnął głęboko.

Rano obudził się wypoczęty, odświeżony, w doskonałym nastroju. Blask nowego dnia rozwiał wszystkie wątpliwości, niepokoje, wahania. Odzyskał wiarę w swoją szczęśliwą gwiazdę. Był pewien sukcesu. Nie takie akcje miał już na swoim koncie. Należało tylko wszystko dokładnie, spokojnie zaplanować, przewidzieć możliwe niespodzianki, wziąć pod uwagę każde ewentualne posunięcie przeciwnej strony. Był dobrym fachowcem, ale zdawał sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z człowiekiem sprytnym, inteligentnym, odważnym, wychowanym w dobrej gangsterskiej szkole. To nie żaden nowicjusz.

Na gimnastykę przeznaczył, jak zwykle, pół godziny. Tego nigdy nie zaniedbywał. Wiedział, że dobra forma fizyczna jest

jednym z podstawowych elementów jego zawodu. Potem wziął prysznic, zadzwonił i kazał sobie przynieść do pokoju śniadanie. Postanowił możliwie jak najrzadziej pokazywać się w kawiarni i restauracji hotelowej. Wczorajsza wiadomość o tej dziennikarce trochę go zaniepokoiła. Wolał się zbytnio nie afiszować. Jeszcze by tego brakowało żeby zaczęto publikować w prasie wywiady z nim.

Po śniadaniu, które zjadł z dużym apetytem, wyszedł na miasto. Znał już drogę na pocztę.

Wertowanie książek telefonicznych zabrało mu trochę czasu. Wreszcie w spisie gdańskich abonentów znalazł to, czego szukał. Anna Moderska. Teraz należało tylko stwierdzić, czy osoba ta ma coś wspólnego z byłym sekretarzem osobistym pana Marsano. Z pouczającej lektury książek telefonicznych dowiedział się, że pewne nazwiska powtarzają się wielokrotnie: Kowalski, Kozłowski, Malinowski, Majewski, Piotrowski itd... Wprawdzie nie odnosiło się to do nazwiska Moderski, ale nie można było mieć pewności, że owa Anna jest jakąś krewną Henryka Moderskiego. Należało to jak najszybciej ustalić. Postanowił zaraz polecieć do Gdańska.

Przechodząc koło dziwnej, okrągłej budowli, na której widniały duże litery PKO, zauważył w pobliżu biuro linii lotniczych LOT. Wszedł i kupił bilet do Gdańska na następny dzień. Miał zwyczaj działać szybko, nie odkładając na nieokreślony termin spraw, które musiał załatwić.

Potem włóczył się po mieście, oglądał wystawy, obserwował ludzi, zwiedzał ulice. Usiłował jak najszybciej nasiąknąć atmosferą Warszawy, utrwalić sobie w pamięci możliwe dużo szczegółów, które w przyszłości mogły mieć dla niego jakieś znaczenie. Wiedział z doświadczenia, że pozornie nic nie znaczące rzeczy w pewnych okolicznościach nabierają ogromnej wagi i mogą stać się przyczyną powodzenia albo niepowodzenia akcji. Błyskawicznie więc rejestrował w pamięci, że na przykład tu jest apteka, zaraz obok sklep z ubraniami, bar, a jeszcze dalej kwaciarnia i sklep z wyrobami chińskimi. Zauważył, że światła na skrzyżowaniach jest dużo i że na postojach taksówek ustawiają się długie kolejki

amatorów. Z tego natychmiast wysnuł wniosek, że w tym mieście nie można liczyć na taksówkę. To go zmartwiło. Musiał mieć możliwość szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nasuwało się pytanie, czy kupić wóz, czy też wynająć? Wynajęcie wozu wydało mu się i bezpieczniejsze, i wygodniejsze. Chyba nie dadzą mu jakiegoś grata. Chodziło mu o szybko i sprawną maszynę.

Nowy Świat spodobał mu się. Ładna, stylowa ulica. Doszedł do Krakowskiego Przedmieścia i minął kościół Sw. Krzyża. Przez chwilę przyglądał się pomnikowi Kopernika. W księgarni naprzeciwko Uniwersytetu kupił plan Warszawy i jakieś wydawnictwo w języku angielskim o Polsce. Chciał także nabyć rozmówki polsko-angielskie, ale machnął ręką. Nie miał czasu na naukę. Zresztą po co?

Na rogu sprzedawano ciastka i kawę. Hotel Europejski. Poczul zmęczenie. Na drugim rogu była kawiarnia. Wszedł.

Zadymiona, pełna ludzi sala. W głębi ktoś przygrywał melancholijnie na dawno nie strojonym fortepianie. Kelnerki poruszały się wolno, majestatycznie.

Usiadł, zamówił kawę i zamyślił się. Nie ulega wątpliwości, że musi działać szybko, a jednocześnie z wielką rozwagą, precyzyjnie. Przede wszystkim należało znaleźć obiekt, jak określał zwykle swą ofiarę. Nie było to rzeczą prostą, chociaż Polska nie zajmowała tak rozległego terytorium jak na przykład Związek Radziecki, Argentyna czy Brazylia. Jeżeli Moderska w Gdańsku okaże się krewną Henryka, to będzie już jakiś wstępny punkt zaczepienia. A jeżeli to zupełnie inna rodzina o tym samym nazwisku? Po głębszym namyśle, biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, doszedł do wniosku, że musi zwerbować sobie pomocników, a przynajmniej jednego pomocnika; Najpierw należało sobie odpowiedzieć na pytanie, z kim „obiekt” mógł się kontaktować po przyjeździe do Polski. Z rodziną, z ewentualnymi przyjaciółmi, ze, znajomymi? Szesnaście lat nie było go w kraju. Wątpliwe, żeby miał tu przyjaciół. Mógł mieć znajomych z którymi zetknął się we Włoszech. W swojej obecnej sytuacji raczej by jednak unikał spotkania z takimi przygodnymi znajomymi. Mogło to grozić

nieprzewidzianymi komplikacjami. Zapewne posługiwał się innym nazwiskiem, tym bardziej więc nie byłoby mu na rękę odnawianie dawnych kontaktów. Co innego najbliższa rodzina, brat, siostra matka.

Tak był zaabsorbowany swoimi rozmyślaniami, że dopiero po pewnym czasie zauważył siedzącą przy sąsiednim stoliku dziewczynę. Bardzo ładna, efektowna blondynka. Elegancka, jasnokremowa suknia, leciutkie pantofelki z wężowej skóry, dyskretne perełki podkreślały złotawą opaleniznę. Makijaż delikatny, ledwie dostrzegalny.

Piła kawę, paliła papierosa i pozornie nie zwracała na nikogo uwagi. Kiedy jednak oderwał od niej spojrzenie, wyczuł instynktownie, że dziewczyna obserwuje go ostrożnie. Podobała mu się. Więc dlaczego by nie? Wiele miał kobiet w życiu, różnych ras i różnych narodowości, Japonki, Arabki, Włoszki, Francuzki, Niemki, Angielki, Amerykanki, Dunki, Holenderki, Szwedki... Z Polką jeszcze nigdy go nic nie łączyło. To mogłoby być interesujące, interesujące i pożyteczne. Przecież Moderski na pewno szukał sobie towarzystwa jakiejś dziewczyny. Ale czy to Polka? Może cudzoziemka?

Skinęła na kelnerkę i zapłaciła kawę. Mówiła po polsku. Starannie, bez pośpiechu zamknęła torebkę i ruszyła ku wyjściu, zostawiając na stoliku „Pans Match”.

Spiesznie wcisnął kelnerce pieniądze do ręki, po chwycił „Paris Match” i wybiegł za nieznajomą.

Szła szybko. Dogonił ją dopiero przy sklepie z ciastkami.

- Przepraszam, ale zostawiła pani w kawiarni gazetę.

Spojrzała na niego. Miała duże, błyszczące oczy.

- Dziękuję. Bardzo pan uprzejmy - powiedziała po angielsku.

Nie miał zamiaru rezygnować. Wiedział przecież, że pozostawienie gazety na stoliku nie było przypadkowe.

- Czy pani bardzo się spieszy?

- Tak. Bardzo się spieszę - padła krótka, lakoniczna odpowiedź. Już na niego nie patrzyła.

- Jestem po raz pierwszy w Polsce i czuję się nieco osamotniony - brzmiało to przeraźliwie banalnie. - Czy byłaby pani skłonna zjeść obiad w moim towarzystwie?

- O której? - spytała rzeczowo. Stawianie zbyt zdecydowanego oporu uznała najwidoczniej za rzecz zanadto ryzykowną.

- Może o czternastej? - zaproponował.

- O czternastej piętnaście.

- Dobrze. Gdzie?

- W „Bristolu”.

- A gdzie jest „Bristol”?

- O tam. Po drugiej stronie ulicy. Przyspieszyła kroku i zniknęła na zakręcie. Po chwili zobaczył ją w przejeżdżającej taksówce. „Więc jednak można dostać w Warszawie taksówkę” - pomyślał.

Nie wątpił, że przyjdzie. To posunięcie z „Paris Match” było bardzo wymowne. Zaczął się zastanawiać, ile powinien przeznaczyć na tę znajomość. Jako: człowiek oszczędny i przewidujący liczył się z każdym dolarem. Nie znał jeszcze warszawskich cen.

Miał trochę czasu. Doszedł do Placu Zamkowego, obejrzał kolumnę Zygmunta, popatrzył chwilę na budowę Zamku, a potem skręcił w Świętojańską. Wszedł do katedry. Lubił kościoły. Majestatyczny spokój i cisza działały kojąco na jego nerwy. Spostrzegł człowieka klęczącego przy konfesjonale. Pomyślał mimo woli jak wyglądałaby jego spowiedź. Przypomniał mu się film z Fernandem - „Czerwona Oberża”.

Nie zatrzymał się długo w katedrze. Religijne nastroje jakoś mu tego dnia nie odpowiadały. Ruszył dalej.

Po staromiejskim rynku przechadzało się sporo ludzi. Była nawet większa wycieczka. Mówili po niemiecku. Oprowadzała ich przystojna dziewczyna w dżinsach i czerwonym sweterku.

Usiadł na ławce i patrzył na polichromowane stylowe kamieniczki. Podobały mu się.

Spojrzał na zegarek. Trzeba było wracać do „Bristolu”. Nie chciał się spóźnić.

Przyszła punktualnie. Zdecydowanie zaprowadziła go do sali restauracyjnej. Widać było, że dobrze zna teren.

Bez trudu znaleźli wolny stolik. Amatorów „bristolowego” obiadu było niewielu. Niewykluczone, że nawet cudzoziemców odstraszały wygórowane ceny.

Początkowo nastrój był trochę sztywny. Dziewczyna okazywała dużą powściągliwość, a i Rolson ostrożnie dawkował słowa. Dopiero po trzech wódkach rozmowa potoczyła się zwawiej. Przy połędwicy z groszkiem, do której kazał podać czerwone wino, dowiedział się, że jego przygodna towarzyszka ma na imię Monika, że ukończyła prawo, a teraz studiuje języki obce. Nie, nie jest mężatką. Trudno jej się zdecydować na małżeństwo. Ma bardzo duże wymagania, jeśli chodzi o mężczyzn. Mentalność rodaków niezbyt jej odpowiada. Są straszliwymi egocentrykami, nie rozumieją kobiet, brak im subtelnych uczuć, myślą wyłącznie o pieniądzach, o dorobieniu się.

- Słyszałem, że Polacy są bardzo rycerscy w stosunku do kobiet - powiedział Rolson.

Pociągnęła spory łyk wina i westchnęła melancholijnie.

- Och, to chyba kiedyś, bardzo dawno. Teraz o takich rzeczach czytuje się wyłącznie w powieściach historycznych. Nasi dzisiejsi mężczyźni nie mają w sobie żadnej z cech dawnych rycerzy. Im tylko w głowie Fiat 125. Zapewniam pana, że kobiecie wymagającej bardzo trudno znaleźć sobie u nas odpowiedniego męża. - Sięgnęła po butelkę i napełniła winem kieliszki. - Pańskie zdrowie, mister... mister...

- Proszę do mnie mówić po prostu Eddie - uśmiechnął się. - A czy pani była gdzieś poza granicami swego kraju?

- Tak. Przez półtora roku siedziałam w Londynie u ciotki.

- To dlatego mówi pani tak dobrze po angielsku. A jak się pani podobają Anglicy?

Pogardliwie wydeła wargi.

- Nie zachwycili mnie. Są zbyt flegmatyczni. Interesuje ich prawie wyłącznie klub, brydż i golf. To nie dla mnie. Och, przepraszam, może zrobiłam panu przykrość, może pan jest Anglikiem?

- Jestem Amerykaninem. To chyba można poznać po moim akcencie.

- Nie byłam pewna... Ach, Ameryka! Cudowny kraj. Pełen ludzi z szerokim gestem, z inicjatywą, przedsiębiorczych.

- Była pani w Stanach Zjednoczonych?

- Niestety, nie. Marzę tylko o tym.

- Czy to tak trudno tam pojechać?

- Dla mnie trudno. Trzeba mieć dużo dolarów.

- Dolary można zdobyć. Utkwiła spojrzenie w kieliszku.

- Co pan ma na myśli, mister Eddie?

- Prosiłem, żeby mówiła mi pani po imieniu, po prostu Eddie. Nie lubię tych wszystkich napuszonych form.

Podszedł do nich kelner i zabrał talerze.

- Czy państwo życzą sobie coś na deser? - spytał. - Może melbę dla pani?

Potrząsnęła głową.

- Nie, proszę tylko o lody i małą kawę.

Rolson zamówił kompot. Po chwili powiedział cicho, jakby sam do siebie: - Monika. Ładne imię, podoba mi się.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie. Była coraz swobodniejsza. Początkowa rezerwa zniknęła bez śladu.

- Cieszę się, Eddie, że ci się podoba moje imię. To ważne.

- Dlaczego ważne?

- Bo ważne. Mnie także podoba się imię Eddie. Dobrze, jeżeli podobają nam się imiona naszych przyjaciół.

Przez chwilę milczeli. Kiedy kelner przyniósł lody, kompot i kawę, Rolson powiedział:

- To dziwne, że jesteś tak krytycznie nastawiona do swoich rodaków.

- Dlaczego cię to dziwi?

- Bo miałem okazję zetknąć się z Polakami na terenie Stanów Zjednoczonych i Włoch. Przeważnie byli to bardzo mili, kulturalni ludzie, uczynni. Będąc w Neapolu zaprzyjaźniłem się z pewnym Polakiem, mieszkającym stale w Rzymie. Podobno jest obecnie w Polsce. Bardzo chciałbym go odnaleźć. Mam w stosunku do niego pewien dług wdzięczności...

- Znasz nazwisko tego Polaka?

- Właśnie, że nie pamiętam. Zapisalem na kartce, a właściwie na serwetce, podczas wspólnego obiadu. Oczywiście zgubiłem tę serwetkę. A wasze nazwiska są trudne do zapamiętania.

- Jak więc masz zamiar go odnaleźć?

- Nie wiem. Dałbym dużo, żeby mi w tym ktoś dopomógł.

- Ile? - spytała rzeczowo. Wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Może... może pięćset dolarów, może nawet tysiąc...

- O, widzę, że rzeczywiście zależy ci na odnalezieniu mojego rodaka. A jeżeli ktoś by się tym zajął, to...

- To co? - podchwycił Rolson.

- To jakich danych dotyczących jego osoby możesz dostarczyć?

- No cóż... Mogę dać jego dokładny rysopis. Wiem, że jest obywatelem włoskim i że jeździ wozem marki Ferrari koloru wiśniowego. Niedawno przyjechał do Polski. To chyba wszystko.

Otworzyła torebkę i wyjęła papierosy.

- Spróbuję ci to załatwić. Znam kogoś, kto chętnie zarobiłby parę dolarów. Podaj mi jego rysopis.

Rolson machnął niedbale ręką.

- Później. Pij kawę, bo wystygnie. Ostatecznie jeżeli go nie znajdę, to trudno. Myślałem tylko, że łatwiej kogoś odnaleźć w Warszawie niż w Rzymie.

Nie wracali już do tego tematu. Rolson uważał, że lepiej będzie, jeżeli zbagatelizuje sprawę „przyjaciela Polaka”. Kiwnął na kelnerkę, zamówił koniak i zaczął opowiadać o Stanach Zjednoczonych.

- Czy to prawda, że tam jest tylu gangsterów? - spytała w pewnym momencie Monika.

Uśmiechnął się.

- Te opowieści są ogromnie przesadzone. Filmy i książki kryminalne robią bardzo złą propagandę naszemu krajowi. Oczywiście w latach dwudziestych, w czasach sławnego Al Capone gangsterstwo było w rozkwicie, szczególnie w Chicago, ale dzisiaj... W każdym razie ja nigdy nie zetknąłem się z

żadnymi gangsterami. Mogę cię zapewnić, że jest w tym dużo legendy.

Spojrzała na zegarek.

- Miło mi się z tobą gawędzi, ale muszę już iść. Mam pewne sprawy do załatwienia.

Nie nalegał, żeby jeszcze zostali. I on także miał dosyć siedzenia przy restauracyjnym stoliku. Zapłacił i wyszli. W hallu spytał:

- Kiedy się znowu spotkamy?

- Nie wiem.

- Może wieczorem?

- Może.

- O której?

- O dziewiątej. Odpowiada ci?

- Bardzo. Więc o dziewiątej. Gdzie?

- Chwilowo zatrzymałem się u znajomych - skłamał. - Tam niestety nie mogę cię zaprosić.

- To może wpadniesz na chwilę do mnie. Dokończymy naszej rozmowy, dam ci dobrej herbaty. I do herbaty coś się znajdzie.

- Doskonale. Gdzie mieszkasz?

- Zanotuję ci mój adres i telefon. Masz kawałek papieru?

Wyjął z kieszeni zgrabny, podłużny notes, oprawiony w czarną skórę.

- Może usiadziemy tu na chwilę? - zaproponował, wskazując fotele, stojące wokół podłużnych stolików.

Rozejrzała się jakby z pewnym wahaniem. Usiadła i wyjęła z torby długopis.

„Czego ona się boi?” - pomyślał Rolson.

Zapisała adres, oddała mu notes i wstała spiesźnie.

- Wolę, żebyś mnie nie odprowadzał. Czekaam na ciebie o dziewiątej. Weź taksówkę. A teraz posiedź tu jeszcze chwilę. Ciao. - Oddaliła się szybkim, sprężystym krokiem.

Zgodnie z poleceniem Moniki posiedział chwilę. Ziewnął. Poczul ogarniającą go senność. Uznał, że nie może zrobić nic lepszego, jak wrócić do „Forum” i trochę się przespać. Wstał, podszedł do recepcji i zapytał, jakim ma pojechać autobusem.

Na przystanku czekało dużo ludzi. Ogarnęły go wątpliwości czy wciśnie się do autobusu. Na szczęście nadjechała taksówka. Zatrzymał ją i kazał się zawieźć do hotelu. Kierowca mówił niezłe po niemiecku.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Rolson zdjął ubranie i nie zwlekając wyciągnął się na tapczanie. Zasnął momentalnie. Całe życie znakomicie sypiał.

Obudził się przed szóstą. Wziął prysznic, ogolił się elektryczną maszynką, włożył elegancki garnitur z szarej flaneli i około siódmej zjechał windą na kolację. Nie liczył na to, że u tej dziewczyny dostanie coś solidniejszego do jedzenia.

Kolacja mu nie smakowała, tak samo jak wczoraj. Obiadem również nie był zachwycony. Warszawskie restauracje bardzo go rozczarowały. Ktoś mu kiedyś opowiadał, że w Polsce jada się dobrze i obficie. Nic podobnego. Porcje były małe, a jedzenie jałowe, bez smaku, beznadziejnie jednostajne. Cóż za porównanie z kuchnią zachodnioeuropejską, włoską, francuską...

Miał jednak co innego do roboty, niż zastanawiać się nad mankamentami polskiej gastronomii. Nie był pewien, czy dobrze robi wciągając do współpracy Monikę. Ale w końcu musiał zapewnić sobie czyjąś pomoc. Trzeba było zaryzykować. Dziewczyna sprytna, inteligentna. Może jednak na coś się przyda. Ostatecznie nie takie wielkie ryzyko.

Zapłacił i wrócił na górę. Miał jeszcze sporo czasu. Otworzył walizkę i spojrzał na pistolet. Zastanowił się: wziąć ze sobą czy nie? Potrząsnął głową. Nie. Liczył się z tym, że podczas herbatki u Moniki będzie musiał zdjąć marynarkę, a wtedy... Pistolet pod lewą pachą mógłby ją trochę zastanowić. Albo policjant, albo gangster. Obydwie wersje nie bardzo mu odpowiadały.

Parę minut po ósmej wyruszył na miasto w poszukiwaniu taksówki. Nie było to rzeczą łatwą. „Stanowczo muszę mieć wóz do dyspozycji - myślał błędząc po ulicach - bez tego nic nie załatwię”. Wreszcie w jakiejś bocznej ulicy, niedaleko baru kawowego znalazł to, czego szukał: postój taksówek.

Z westchnieniem prawdziwej ulgi wszedł do wozu i kazał się zawieźć na Narbuta. Ten kierowca także mówił trochę po niemiecku.

Lichy obiad, kiepska kolacja, pokój w przeciętnym hotelu, a teraz taksówka z bardzo zniszczonymi siedzeniami. Był przyzwyczajony do tętniących życiem, jaskrawo oświetlonych wielkich miast, do luksusowych lokali, do zrywnego sportowego wozu. Tutaj czuł się jakiś zdegradowany, pomniejszony, wcale nie taki ważny. To w jakimś stopniu odbierało mu pewność siebie, wpływało deprymująco. „Gotów jestem nabawić się kompleksu niższości” - myślał ze złością. Kierowca taksówki wprawdzie znał trochę niemiecki, ale za to prawdopodobnie od dość dawna nie mył szyi i nie golił się.

Zdawało mu się, nie wiadomo dlaczego, że ta ulica Narbutta jest gdzieś bardzo daleko. Ani się spostrzegł, jak zajechali na miejsce. Zapłacił i dorzucił hojny napiwek. Taksówkarz mruknął: - Danke schon - i zaraz odjechał.

Wszedł na trzecie piętro, zatrzymał się i spojrzął na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. Nie spóźnił się więc bardzo. Nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła mu Monika. Była w różowym, jedwabnym szlafroczku. „Dobrze, że nie mam pod pachą pistoletu” - pomyślał Rolson. - Wybacz, że przyjmuję cię w domowym stroju - powiedziała z uśmiechem - ale byłam taka zmęczona że chwilę zdrzemnąłam się. Nie gniewasz się?

- Ależ skądże znowu - zaprzeczył z ożywieniem. - Przepadam za ładnymi dziewczynami w szlafrokach. Wyglądasz czarująco. Czy można obejrzeć twoje mieszkanko? - Na wszelki wypadek wołał się upewnić, czy w kuchni i w łazience nie ma nikogo. Zawodowa rutyna.

- Bardzo proszę. Oglądaj moje apartamenty, a ja; tymczasem postawię wodę na gazie. Obiecałam ci dać dobrej herbaty.

Duży pokój z kuchnią. Bardzo szybko zorientował się, że są sami w mieszkaniu.

- Masz ochotę coś zjeść? Mogę ci zrobić kanapki z wędliną albo z serem.

Powiedział, że jest już po kolacji i że nie będzie nic jadł.

- A koniaku się napijesz?

- Kontyngent alkoholu wyczerpany na dzisiaj. Wolałbym ograniczyć się do herbaty.

- Widzę, że jesteś człowiekiem twardych zasad.

- Przywykłem do surowej dyscypliny:

- Czyżbyś służył w wojsku?

- Gorzej. Całe życie sam sobie narzucałem dyscyplinę. To o wiele trudniejsze.

Wydało mu się, że posłyszał jakieś skrzypnięcie.; Miał ogromną ochotę zajrzeć do szafy w przedpokoju. Zapalił papierosa i kiedy Monika wróciła z kuchni, powiedział:

- Bardzo tu u ciebie ciepło. Pozwolisz, że do herbaty zasiądem w koszuli?

- Nie krępuj się.

Zdjął marynarkę, wyszedł do przedpokoju i powiesił ją w szafie. Teraz był już zupełnie spokojny. Monika krajała babkę piaskową. Uśmiechała się.

- Przezorność nigdy nie zawadzi, prawda?

Zrobił zdziwioną minę.

- Nie rozumiem.

- Doskonale rozumiesz. Chciałeś zajrzeć do szafy, żeby się upewnić, czy ktoś tam sobie nie znalazł przytulnego schronienia.

Roześmiał się.

- Głupstwa pleciesz.

Spojrzała na niego wesoło i leciutko wzruszyła ramionami.

- Mniejsza z tym. Właściwie to ja lubię ludzi przezornych.

Czy musimy pić tę herbatę?

- Nie musimy.

- Świetnie. Wobec tego może skończysz się rozbierać. Ja tymczasem pościelę tapczan.

- Nie zapomnij zgasić gaz.

- Wcale go nie zapalałam.

ROZDZIAŁ IV

Anna wyłączyła odkurzacz i badawczym spojrzeniem obrzuciła widny, wesoło urządzony pokój. Tapczan nakryty barwną narzutą, zgrabne biurczko z jasnego drzewa, na półkach książki w kolorowych oprawach i trochę zabawek, na podłodze biały futrzak, a na ścianach parę sympatycznych obrazków.

Było jeszcze dużo czasu, ale od samego rana bała się, że nie zdąży doprowadzić mieszkania do porządku. Chciała, żeby było idealnie czysto na przyjazd Joasi. Jeszcze starannie wytarła ściereczką meble i poszła do łazienki umyć ręce.

Dzwonek.

Wybiegła do przedpokoju i przekręciła zatrask.

W drzwiach stał starszy, pochylony mężczyzna z siwymi wąsami i krótko przystrzyżoną brodą. Duże ciemne okulary zakrywały oczy.

- Bardzo przepraszam - powiedział po francusku - czy tutaj mieszka pan Moderski?

Była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czy pani mówi po francusku?

- Tak. Trochę... Rozumiem...

- A może woli pani rozmawiać po angielsku?

- Wolę po angielsku.

- To się świetnie składa - uśmiechnął się przyjaźnie. - Bo ja właśnie jestem Anglikiem, więc... Czy mogę zabrać pani chwilę czasu?

- Proszę. Niech pan wejdzie.

Wchodząc starannie wytarł buty o słomiankę, chociaż dzień był słoneczny i na ulicach ani śladu błota.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Tompson, Daniel Tompson.

Polacy ciągle jeszcze pozostają pod urokiem obcych języków i cudzoziemców. Anna nie była wolna od tej narodowej cechy. Autentyczny Anglik zrobił na niej pewne wrażenie, a poza tym była to doskonała okazja do popisania się dobrą znajomością angielskiego, który pilnie studiowała od kilku lat. Zaprosiła więc niespodziewanego gościa do swego pokoju, wskazując najwygodniejszy fotel.

Przybysz usiadł, nadal się uśmiechając. Spytał, czy może zapalić.

Przytaknęła skwapliwie, a kiedy wyjął papierosy, zaproponowała szklanę herbaty.

Odmówił bardzo uprzejmie, wyjaśniając, że właśnie niedawno pił herbatę w kawiarni, a lekarze zalecają, aby używał mało płynów.

Obserwowała jego muskularne, pokryte rudawym włosem dłonie. Wydało się jej, że dziwnie kontrastują z siwymi wąsami i szpakowatą bródką. To nie były dłonie starego człowieka.

Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i powiedział:

- Otrzymałem ten adres od pani brata. Spotkaliśmy się w Antwerpii. Mówił, że wybiera się do Polski i że właśnie w tym czasie będę mógł go tu zastać.

Przypomniała sobie rozmowę z Henrykiem. Stała się czujna.

- Mój brat nie mieszka w Polsce - powiedziała ostrożnie.

- To wiem, ale miał przyjechać.

- Zupełnie się nie orientuję w jego planach. Od dawna ze sobą nie korespondujemy. Możliwe, że miał zamiar przyjechać do Polski. Nic mi o tym nie wiadomo. Nie widziałam go.

- Och, to bardzo przykre - zmartwił się Anglik. - Bo widzi pani... sprawa jest tego rodzaju, że nie przekazano mi na czas pieniędzy i musiałem pożyczyć od pana Moderskiego pięćset dolarów. Umówiliśmy się, że mu tę sumę zwrócę w Polsce. Prowadzę w Londynie firmę wydawniczą i przyjechałem do Warszawy omówić pewne sprawy z Agencją Autorską. Chodzi o kontrakty na kilka pozycji. Przy okazji zwiedzam trochę wasz kraj. Przyjechałem do Gdańska, żeby zobaczyć się z panem

Moderskim i uregulować dług. Byłem pewny, że go zastanę u pani.

- Nie widziałam brata - powtórzyła Anna.

- Czy mógłbym zostawić u pani dla niego te pięćset dolarów?

Potrząsnęła głową.

- Nie chciałabym brać pieniędzy, których być może nie będę w stanie przekazać. Jak już wspomniałam, I nie kontaktujemy się. - Spojrzała na zegarek. - Bardzo pana przepraszam, ale trochę się spieszę. Moja córka przyjeżdża z kolonii i nie chciałabym się spóźnić na dworzec.

- To pani ma już taką dużą córkę? - zdziwił się uprzejmie mister Tompson.

- Joasia niedługo skończy osiem lat. Przeszła do drugiej klasy.

- Jeżeli odziedziczy urodę po mamie, to wyrośnie i na śliczną dziewczynę.

„Zaczyna mnie podrywać ten podstarzały Anglik” - pomyślała Anna i uśmiechnęła się. - Bardzo pan uprzejmy - powiedziała.

*

Siedząc w przedziale pierwszej klasy pociągu pospiesznego, Rolson wodził wesołym spojrzeniem po przesuającym się za oknem krajobrazie. Był zadowolony z siebie. Zdobywanie niezbędnych informacji poszło niespodziewanie łatwo. Za kilka dni dziewczynka pójdzie do szkoły, a wtedy... Wprawdzie jeszcze nie wiedział, czy Moderski jest w Polsce, ale był pewien, że signor Marsano ma dobre informacje i że nie ryzykowałby całej imprezy, gdyby nie miał pewności, że jego były sekretarz ukrywa się w ojczystym kraju. Teraz należało tylko znaleźć tę kryjówkę, a potem przystąpić do akcji. Ciekawe, czy Monika zdoła mu pomóc? Na wspomnienie tej dziewczyny poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Musiał przyznać, że była znakomitą partnerką.

Szybko otrząsnął się z romantycznych wspomnień. W tej historii było coś, co go od pewnego czasu niepokoiło. Czy słusznie postąpił, wciągając Monikę do współpracy? Czy to nie

było zbyt lekkomyślne? Dziewczyna sprytna, inteligentna, doświadczona. Wątpliwe, żeby się dała nabrać na te dosyć prymitywne bajeczki. Zacznie coś podejrzewać, węszyć, badać, wypytywać, może śledzić go. Nie, to zdecydowanie nie było najlepsze posunięcie. Z drugiej jednak strony musiał sobie kogoś dokooptować do pomocy. Nie znając języka nie dałby rady odnaleźć Moderskiego. W zamyśleniu co jakiś czas podnosił rękę do twarzy, chcąc pogładzić się po nieistniejącej już brodzie.

Natychmiast po powrocie do Warszawy zadzwonił z automatu do Moniki.

- Mam dla ciebie pomyślne wiadomości - powiedziała wesoło - kiedy chciałbyś się ze mną zobaczyć?

- Jak najprędzej.

- Jutro o jedenastej w „Gongu”. Wiesz, gdzie jest „Gong”?

- Oczywiście. Znam już prawie wszystkie kawiarnie w centrum Warszawy.

Źle spał tej nocy. Był trochę niespokojny. W Anglii, we Francji czy we Włoszech czuł się jak u siebie w domu. Polska była dla niego terenem dziwnym, egzotycznym, pełnym niespodzianek.

Wstał wcześniej, starannie się ogolił i włożył, jak mu się zdawało, najbardziej twarzowy krawat. Punktualnie o jedenastej był w „Gongu”.

Spóźniła się tylko o dziesięć minut. Jej złotawa opalenizna efektownie harmonizowała z lekką, białą sukienką. Wyglądała ślicznie. Patrząc na nią trudno było się domyślić, że jest to dziewczyna polująca na dewizowych turystów.

Siadła i obdarzyła swojego nowego przyjaciela czarującym uśmiechem.

- Można wiedzieć, z kim mnie wczoraj zdradzałeś?

- Nie myślałem o zdradzie. Wyjeżdżałem z Warszawy.

- Podróż krajoznawcza?

- Coś w tym rodzaju. Chciałem zobaczyć wasze morze.

- Podobało ci się?

- Bardzo. Szczególnie mewy.

- Jesteś bardzo cierpliwy.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Ponieważ nie dopytujesz się, jakie to wiadomości mam dla ciebie.
- Czekam, aż z własnej, nieprzymuszonej woli zdecydujesz się zdradzić mi tę tajemnicę.
- A więc słuchaj uważnie. Znalazłam twojego przyjaciela. - Słowo „przyjaciela” powiedziała ze specjalnym, wyraźnie dwuznacznym akcentem.
- Spojrzał na nią uważnie.
- Brawo. Działasz błyskawicznie. I gdzie on znalazł kwaterę?
- „Signor Henryk Moderski zamieszkał w hotelu Solec”. To na Powiślu. Czy mam cię tam zaprowadzić?
- Potrząsnął głową.
- Dziękuję. Nie chcę cię fatygować. Wezmę taksówkę i każe się zawieźć do tego hotelu.
- Osłodziła herbatę i zamieszała cukier łyżeczką tak ostrożnie, jakby się bała, że filiżanka pęknie.
- A jak z moim honorarium? Uśmiechnął się.
- Jestem solidnym kontrahentem. Po obejrzeniu towaru płacę gotówką.
- Nie wierzysz mi?
- W interesach jestem skrupulatny. Lubię sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Zmarszczyła brwi.
- Więc jak będzie?
- Wyplacę ci natychmiast po skontaktowaniu się z Moderskim.
- Jaką mam gwarancję, że nie znikniesz z mojego życia? Ty znasz mój adres, ja natomiast nie wiem gdzie cię szukać.
- Wyjął z kieszeni portfel.
- Dobrze. Zapłacę zaraz. Powstrzymała go ruchem ręki.
- Nie tutaj. Mam nadzieję, że mnie odwiedzisz. Czekam na ciebie dzisiaj wieczorem. Przyjdiesz?
- Do ciebie?
- Chyba najwygodniej.
- O której?

- Tak jak wtedy. O dziewiątej.

- Przyjdę i ureguluję dług. Widzę, że nagle nabrałaś do mnie zaufania.

- Zaryzykuję. A teraz pozwolisz, że cię pożegnam. Mam parę spraw do załatwienia. - Wstała i szybkim krokiem wyszła z kawiarni, zręcznie lawirując między stolikami. Z prawdziwą przyjemnością patrzył na jej smukłą dziewczęcą sylwetkę.

Zapalił papierosa i zamyślił się. Błyskawiczne odnalezienie Moderskiego wcale go nie zachwyciło. To było podejrzané, nawet bardzo podejrzané. Trudno uwierzyć, żeby człowiek tego pokroju, prowadzący tak niebezpieczną grę zatrzymywał się po prostu w hotelu pod swoim własnym nazwiskiem i beztrudnie czekał na dalszy rozwój wypadków. Dobrze przecież znał swojego dawnego szefa i nie mógł wątpić, że signom Marsano nie zostawi go w spokoju. To byłoby zbyt piękne. Więc wobec tego co oznacza to zamieszkanie w hotelu „Solec”? Przynęta? Chyba tak. Jedyne rozsądne wytłumaczenie takiego posunięcia. Podstawiony facet. Chodzi o rozszyfrowanie wysłannika paruj Marsano. Czy Monika jest wciągnięta w tę grę? Bardzo prawdopodobne. Nie można wykluczyć, że sypia z Moderskim. Byłby to oczywiście dosyć niezwykły zbieg okoliczności, ale takie rzeczy się zdarzają. Po chwili jednak pojawiła się refleksja. Chyba jednak Monika nie ma z tym nic wspólnego, bo w przeciwnym razie cała ta komedia nie miałaby sensu. Wystarczyłoby najzupełniej, żeby poinformowała Moderskiego, że tak wyglądający cudzoziemiec poszukuje go. Chyba, że prowadzą jeszcze jakąś bardziej skomplikowaną grę. Ale jaką? Trudno było zgadnąć. W każdym razie należało sprawdzić człowieka, który zamieszkał w hotelu „Solec”. A nuż Moderski jest tak pewny siebie, że zrezygnował z jakichkolwiek środków ostrożności?

Zapłacił za herbatę, wyszedł z kawiarni i poszukała budki z automatem telefonicznym. Znalazł ją przy tej dziwnej okrągłej budowli, ozdobionej napisem PKO.

Recepcjonista miał przyjemny głos i mówił dobrze po angielsku. Tak, mister Moderski mieszka w naszym hotelu, ale

w tej chwili nie ma go w pokoju. Czy mam mu coś przekazać? - Nie, dziękuję.

Monika więc mówiła prawdę. Jakiś człowiek podający się za Moderskiego zamieszkał w hotelu „Solec”. Teraz należało tylko ostrożnie zbadać, czy to jest autentyczny Henryk Moderski, czy też facet podstawiony na wabia. To nie było proste zadanie.

Resztę dnia Rolson spędził wałęsając się po mieście. Zjadł obiad w „Bristolu”, a potem miał ochotę pójść do kina, ale wszędzie przed kasami były takie kolejki, że zrezygnował. Chciał kupić kilka pomarańcz - także kolejka. „Albo wszystkiego jest tutaj za mało, albo to kraj bardzo bogatych ludzi” - pomyślał.

Wrócił do hotelu i położył się spać. Chciał wypocząć przed wizytą u Moniki.

Obudził się przed siódmą. Szybko narzucił ubranie, zapakował do małej walizeczki przybory potrzebne do charakteryzacji i zjechał na dół. W recepcji oddał klucze, poszedł do toalety i w kabinie przeobraził się w starszego pana z siwymi wąsami i szpakowatą bródką. Pochylony, opierając się na lasce i powłócząc lewą nogą wyszedł na ulicę. Nie zapomniał oczywiście o ciemnych okularach.

Taksówkę znalazł na Wspólnej. Znał już ten postój. Kazał się zawieźć do hotelu „Solec”.

Wszedł chwiejnym, starczym krokiem.

- Czy tutaj mieszka Herr Moderski? - spytał po niemiecku.

Recepcjonista skinął głową.

- Tak. Pan Moderski powinien lada chwila nadejść. Umówił się. Jakaś pani czeka na niego.

W hallu siedziała jasnowłosa piękność o ciemnych, aksamitnych oczach i klasycznym profilu. Staruszek z siwymi wąsami pozornie nie zwrócił na nią uwag. Kiedy jednak piękna pani pograżyła się w lekturze gazety, obrzucił ją szybkim, badawczym spojrzeniem. Od razu dostrzegł, że wszystkie szczegóły jej ubrania nie są polskiego pochodzenia. „Założyłbym się, że te buty kupiła we Włoszech” - pomyślał. Gazeta jednak była polska.

Po chwili wszedł młody, wysoki mężczyzna. Twarz ocieniała mu broda, zapewne od niedawna zapuszczana.

Rozmawiali po polsku. Łatwo można było się domyślić, że młody człowiek przeprosza za spóźnienia.

Starszy pan z trudem dźwignął się z fotela i po« dreptał pracowicie w ich kierunku.

- Bardzo przepraszam - zaskrzypiał po niemiecku zmęczonym głosem - czy pan Moderski?

- Tak. Nazywam się Moderski. Słucham pana.

- Pan Alfred Moderski?

- Nie. Henryk Moderski.

- Och, bardzo przepraszam. Pomyliłem się. Miał przyjechać do Warszawy siostrzeniec mojego przyjaciela, Alfred Moderski, i właśnie ten mój przyjaciel prosił mnie, żebym się zobaczył z jego siostrzeńcem. Takie tam rodzinne sprawy... Pan mnie rozumie?

Piękna blondynka przysła z pomocą swojemu towarzyszowi, który bardzo słabo znał niemiecki. Nieporozumienie zostało wyjaśnione i siwy staruszek drobnym kroczkiem ruszył w kierunku wyjścia, mocno ściskając w dłoni małą walizeczkę.

Nadchodziła dziewiąta. Trzeba było jak najprędzej, pozbyć się charakterystyki i pojechać do Moniki.

Po dłuższych poszukiwaniach Rolson znalazł wreszcie miejski szalet. Pospiesznie zamknął się w kabinie. Peruka, broda i siwe wąsy wróciły na swoje miejsce w czarnej, płaskiej walizeczce. Tęga kobieta w granatowym fartuchu spojrziała z nieukrywaniem zdumieniem na swego klienta i zrobiła taki ruch, jakby chciała przetrzeć zaspane oczy. Pomyślał, że była to z jego strony pewna nieostrożność, ale nie chciał ucharakteryzowany wracać do „Forum”, a tym bardziej nie mógł się tak pokazać Monice.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Był to eleganci, lśniący mercedes. „To jest rzeczywiście kraj wiecznych niespodzianek” - uśmiechnął się do siebie Rolson, obrzucając szybkim spojrzeniem kierowcę, który robił wrażenie raczej angielskiego dżentelmena aniżeli taksówkarza.

Pogrążył się w głębokiej zadumie. Rozwazał najrozmaitsze warianty dalszej akcji. Człowiek, którego widział w Hotelu „Solec”, mógł być autentycznym Henrykiem Moderskim. Rysopis mniej więcej się zgadzał. Niedawno zapuszczona broda sugerowała chęć kamuflażu. Nie można jednak było mieć całkowitej pewności. Takie beztrioskie zamieszkanie w hotelu wyglądało bardzo podejrzanie. Należało możliwie jak najprędzej zidentyfikować faceta i to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Ale jak się do tego zabrać? Zdjęcie dostarczone przez Marsana niewiele dawało. Twarz była wycięta ze zbiorowej fotografii, a poza tym od tamtej pory upłynęło ładnych kilka lat. Więc co? Praktycznie istniały dwie możliwości: sprawdzić, czy ten człowiek mówi biegle po włosku i ustalić, czy ma bliznę na plecach. Z językiem włoskim sprawa oczywiście łatwiejsza, ale nie dająca stu procent owej pewności. Blizna natomiast pozwalała na bezbłędną identyfikację. W tym celu jednak należało delikwenta obejrzeć bez ubrania, a to nie było proste. Chyba tylko wspólna kąpiel w basenie. Realizacja takiego planu wymagała bezpośredniego kontaktu, co kryło w sobie duże niebezpieczeństwo. Jeżeli bowiem klient hotelu „Solec” został podstawiony przez byłego sekretarza pana Marsano, to nawiązanie z nim znajomości pozwoliłoby autentycznemu Moderskiemu na zidentyfikowanie swego prześladowcy. W tym celu przecież zorganizował tę całą komedię. Trudno zaś było udawać zgrzybiałego staruszka, pałającego chęcią kąpieli w basenie.

Taksówka zatrzymała się na Narbutta. Rolson zapłacił, wysiadł i pobiegł na drugie piętro. Nie lubił się spóźniać, a było już prawie wpół do dziesiątej.

Nacisnął dzwonek. W mieszkaniu nikt się nie poruszył. Zadzwoił znowu. Bez skutku. Ujął za klamkę. Drzwi nie były zamknięte. W przedpokoju paliło się światło.

Monika leżała na tapczanie w tym samym różowym szlafroku. Wydawało się, że śpi. Podeszedł i dotknął jej ręki. Była zimna.

Nie miał wątpliwości. Zbyt często stykał się ze śmiercią. Błyskawicznie rzucił się do drzwi i zaczął zbiegać po schodach. Tak absorbować go myśl, żeby jak najszybciej znaleźć się na ulicy, że nie posłyszał kroków człowieka w butach na gumie. W pierwszej chwili jednak instynkt kazał mu się obejrzeć. Zrobił pół obrotu w lewo i nagle poczuł silne uderzenie w tył głowy. Stracił przytomność.

ROZDZIAŁ V

Błyskał flesz. Fotograf robił zdjęcia zwłok z różnych pozycji. Biegał, przykłękał, nastawiał pracowicie aparat. Był ogromnie przejęty swoją działalnością.

Lekarz szybko skończył oględziny zwłok. To nie było nic skomplikowanego.

- Zadałwienie - powiedział obojętnie i starannie zapakował swoje przybory do zniszczonej torby.

- Czas zgonu? - spytał Downar, oglądając szalik ze sztucznego jedwabiu.

- Dwadzieścia cztery godziny albo i więcej. Stężenie całkowite.

Downar ciągle obracał w palcach szalik. Spojrzał na Olszewskiego.

- Gdzie ten listonosz? - spytał z nieuzasadnionym zniecierpliwieniem w głosie.

- Czeka w kuchni.

Był to człowiek starszy, zbliżający się do wieku emerytalnego. Na jego chudej, pooranej zmarszczkami twarzy pozostał jeszcze ślad niedawnego przeżycia. Ręce mu drżały, gdy zapalał papierosa. Oczy miał wystraszone.

- To pan pierwszy znalazł zwłoki? - zapytał Downar.

Listonosz skinął głową.

- Chyba ja.

- Niech mi pan opowie, jak to się stało.

- Już powiedziałem panu sierżantowi.

- Nie szkodzi. Ja także chciałbym posłuchać.

- Przyniosłem list polecony. Dzwoniłem, stukałem” nikt nie otwierał. Zdziwiło mnie to, bo wiem, że ta pani, to znaczy nieboszczyka, tak wcześnie nie wychodzi z domu, to znaczy... nie wychodziła wcześnie. Nacisnąłem kłamkę, tak jakoś odruchowo, i wszedłem.

- Drzwi nie były zamknięte?

- Nie były. Tylko na klamkę.
- I co pan zrobił dalej?
- Cóż miałem robić? Wszedłem do mieszkania i zobaczyłem, że ona leży. Myślałem, że śpi albo pijana, albo chora. Dotknąłem ręki... sztywna. Rany boskie!
- Co potem?
- Potem zadzwoniłem na milicję. Przyjechali... no i tego...
- Ma pan przy sobie ten list polecony?
- Oddałem panu porucznikowi.
- Czy mógłby pan coś jeszcze dodać do swojego opowiadania? Coś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie?
- Listonosz wzruszył ramionami.
- Cóż ja mogę dodać, panie majorze? Powiedziałem wszystko jak było, dokładnie.
- Czy dawno przynosi pan listy do tego domu?
- Będzie już chyba z dziesięć lat.
- To pan musi znać tutejszych lokatorów.
- Lokatorzy się zmieniają, ale oczywiście niektórych znam.
- Co pan może powiedzieć o tej kobiecie, która została zamordowana?
- Ładna i bardzo elegancka.
- Co jeszcze?
- Pieniądzy jej chyba nie brakowało. Przyzwoicie mieszkała. Skąpa nie była.
- Często otrzymywała listy, przesyłki, przekazy pieniężne?
- Różnie. Czasami przeszło parę miesięcy i nic dla niej nie miałem, a bywało, że w jednym tygodniu trzy, cztery listy dostawała. Przeważnie zagraniczne. Nieraz prosiłem ją o znaczki, bo mój wnuk zbiera. Sprytny chłopaczek. Lepiej, że się takimi rzeczami zajmuje, niż miałby się chuliganić na ulicy. Bo to teraz różnie bywa z chłopakami, a i dziewczyny nie lepsze. Nie dalej jak wczoraj widziałem dwie. Miały może po piętnaście lat, albo i mniej. Piły wino na ławce z takimi łobuziakami, że żal było patrzeć. Dawniej, panie majorze...
- Może pan pamięta, skąd przychodziły te listy?
- Dokładnie sobie nie przypominam, ale wydaje mi się, że były z Anglii, z Francji i chyba także z Ameryki, a może i z

Włoch. Aktualnie panu nie powiem. Musiałbym się wnuka zapytać. On z pewnością będzie wiedział.

- Czy te wszystkie listy były polecone?

- Nie wszystkie, ale przeważnie lotnicze. Ja i te nie polecone odnosiłem jej do mieszkania, bo to zawsze parę złotych... Pan major rozumie...?

- O jakiej porze doręczał pan listy?

- Tak koło południa.

- I zastawał ją pan w domu?

- Nie zawsze, ale przeważnie była.

- To znaczy, że nigdzie nie pracowała.

- Chyba nie. W każdym razie rano do pracy nie szła.

- To z czego się utrzymywała?

Listonosz chrząknął i wyjął z kieszeni chusteczkę.

- Nie moja sprawa, panie majorze. Takie rzeczy mnie nie obchodzą.

- Bardzo słusznie - przyznał Downar. - Niech mi pan jeszcze powie, czy przynosząc listy nie spotykał pan tutaj kogoś, na przykład jakiegoś mężczyzny?

- Nie... nie spotkałem nikogo... - stary zawahał się. - Chociaż...

- Chociaż...? - podchwycił major.

- Teraz sobie przypomniałem. Kiedyś rzeczywiście otworzył mi drzwi taki młody...

- Jak wyglądał?

- Duży chłop, barczysty, długie włosy, jak to teraz modne.

- Brunet, blondyn?

- Tego nie pamiętam. Widziałem go tylko chwilę. Zaraz wyszła ta pani.

- I nie poznałby pan tego młodego człowieka?

- Nie. Twarzy nie pamiętam. Ale zaraz... zaraz... coś mi się przypomina.

- No... no... niech pan dobrze pomyśli - zachęcał Downar - to bardzo ważne.

- Zdaje mi się... zdaje mi się... - powtórzył w zamyśleniu listonosz - zdaje mi się, że miał rozciętą wargę. Chyba to on

miał taką rozciętą wargę. Prawie jestem pewien, że to on. Bo gdzieżbym widział faceta z rozciętą wargą?

- Jak to się stało, że pan akurat zapamiętał wargę tego człowieka?

Listonosz uśmiechnął się melancholijnie.

- Widzi pan, panie majorze, ja już mam swoje lata i... i nie zawsze dobrze słyszę. Teraz ludzie często mówią bardzo niewyraźnie, a szczególnie młodzi. Jak taki zacznie bełkotać, jakby miał kluski w gębie, to nawet jak kto nie głuchy, także nie może wyrozumieć o co się rozchodzi. Ja już mam takie przyzwyczajenie, że patrzę na usta i wtedy mi łatwiej zmiarkować, o czym mowa. Pewnie dlatego zapamiętałem tę rozciętą wargę.

- Ale to nie była jakaś świeża rana?

- Nie, nie. To taka głęboka blizna, oddzielająca kawałek wargi, dolnej wargi.

- Czy pan tylko wtedy widział tego młodego człowieka?

- Tylko wtedy.

- I nie wie pan, jak on się nazywa?

- Skądże mógłbym wiedzieć?

- A imię? Może ta dziewczyna zwracała się do niego po imieniu?

- Przy mnie nie rozmawiali ze sobą. On ją zawołał, ona przyszła i na tym koniec.

- Czy pan podał już swoje nazwisko i adres?

- Oczywiście. Pan sierżant zanotował. Downar doszedł do wniosku, że niczego więcej się nie dowie. Pozwolił listonoszowi iść do domu.

Rozmowy z dozorcą i z sąsiadami nie wniosły do sprawy nic specjalnie interesującego. Opinie były raczej zgodne: spokojna, grzeczna, z nikim się nie kłóciła, żadnych awantur, żadnych pijatyk. Czasami nastawiała telewizor albo adapter, ale zawsze niezbyt głośno, żeby nikomu nie przeszkadzać. Czy ktoś do niej przychodził? Owszem, przychodzili, przeważnie mężczyźni. Niezbyt często. Tak od czasu do czasu. Zdarzali się i cudzoziemcy, bo ten i ów słyszał na schodach obcy język. „Bywali u niej tylko bardzo przyzwoici faceci - twierdził z

przekonaniem dozorca - nie żadne łachudry ani chuligany, co to groszem nie śmierdzą. Wszystko eleganckie goście, jeden w drugiego”.

Wrócili do komendy. Obaj byli porządnie zmęczeni.

- Daj mi ten list - powiedział Downar. Olszewski sięgnął do kieszeni i wyjął pomiętą kopertę.

- Masz, czytaj.

Ze złożonej kartki papieru wysunął się banknot pięćdziesięciodolarowy.

- O, waluta - Downar uważnie obejrzał zielony papierek, odłożył go na bok i przeczytał list. Pismo było staranne, ale niezbyt wprawne, trochę szkolne.

„Kochana Niko! Odsyłam ci te pięć dych tak jak obiecałam. Być może, że w Warszawie będę w przyszłym miesiącu. Zadzwoń wtedy do Ciebie i zobaczymy się. Nie chcę się wtrącać do Twoich spraw, ale Mietek twierdzi, że ten Ryszard to cholerny bandzior, zdolny do wszystkiego. Prawdę mówiąc mnie także nie bardzo przypadł do gustu. Gdzieżeś Ty go wystraszyła? Uważaj, żebyś sobie nie narobiła jakichś głupich komplikacji. Potem trudno spławić takiego typu. Trzymaj się, kochana. Całuję Cię bardzo serdecznie, Twoja Tamara”.

Downar rzucił okiem na kopertę.

- Z Olsztyna. Nie tak łatwo będzie znaleźć w Olsztynie Tamarę i Mięcia.

- Dolary... - podsunął Oleszewski.

- Tak, oczywiście, to jest pewien ślad, ale bardzo słabiutki. Kto teraz nie ma w Polsce dolarów? Musimy skomunikować się z naszymi ludźmi w Olsztynie. Może będą coś wiedzieli o Tamarze, która listem poleconym wysyła obcą walutę. A propos. Ten banknot trzeba dać do sprawdzenia, czy nie fałszywy. Na moje oko nie, ale nigdy nic nie wiadomo. Coraz lepsi fachowcy biorą się do tych rzeczy.

Rozległo się pukanie. W drzwiach stanął Pakuła.

- Byliście w komendzie na Malczewskiego? - spytał Olszewski.

Sierżant skinął głową.

- Stamtąd jadę.

- Wczoraj wieczorem niedaleko tego domu na Narbutta dzielnicowy zatrzymał złodzieja. Znalazł przy nim walizeczkę, złotą Omegę i trzysta dolarów. Downar ożywił się.

- Ciekawe, Chciałbym zamienić parę słów z dzielnicowym.

- Tak też myślałem - uśmiechnął się Pakuła. - przywiozłem go. Czeka na korytarzu.

Sierżant Kucharski nie odznaczał się zbyt efektowną postawą, ale był krzepko zbudowany i pod milicyjnym mundurem wyczuwało się solidnie rozwinięte mięśnie. Twarz miał szeroką, mocno zarysowaną, oczy lekko skośne, o zdecydowanym spojrzeniu. Od czasu do czasu dotykał wierzchem dłoni gładko wygolonych policzków i przyglądał ciemną czuprynę obficie skropioną wodą brzoową. Najwyraźniej lubił się dobrze prezentować. Zdarzenia relacjonował krótko i rzeczowo.

Pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą dokonywał obchodu swego rejonu i wtedy zauważył na ulicy Narbutta biegnącego osobnika, niosącego małą podręczną walizkę. Zatrzymał go i od razu po jego zachowaniu zorientował się, że coś jest nie w porządku. Zatrzymany, niejaki Eugeniusz Dutkowski, nie potrafił wyjaśnić dlaczego tak się spieszy, jak również nie zdołał udzielić zadowolającej odpowiedzi na pytanie, co zawiera walizka. Sierżant Kucharski odprowadził go przeto do komendy. Znalezione przy zatrzymanym złotą Omegę oraz trzysta dolarów w małym skórzanym portfeliku. W trakcie szczegółowego przesłuchania zatrzymany Eugeniusz Dutkowski przyznał się do dokonania napadu rabunkowego na osobnika, który wydał mu się zagranicznym turystą.

- Gdzie dokonał tego napadu? - spytał Downar.

- Na klatce schodowej - wyjaśnił sierżant Kucharski.

- Na klatce schodowej tego domu, w którym zostało popełnione morderstwo - uzupełnił Pakuła.

Downar aż podskoczył na krześle.

- Dawajcie tu Dutkowskiego!

*

Downar błyskawicznie zorientował się, że ma do czynienia z małym, warszawskim cwaniaczkiem, którego nietrudno rozgryźć. To nie był typ człowieka zdolnego do popełnienia morderstwa. Ogłuszyć, obrabować, ukraść coś na dworcu kolejowym, zahandlować fałszywymi dolarami, ale zabójstwo... Nie, nie mało prawdopodobne. Nie można było oczywiście absolutnie wyeliminować takiej ewentualności, ale patrząc na obywatela Eugeniusza Dutkowskiego...

Toteż Downar nie łudził się ani przez chwilę, że ma przed sobą mordercę. Zainteresowała go inna sprawa i zaczął konsekwentnie atakować Dutkowskiego pytaniami.

- Czym uderzyliście tego człowieka? Gazrurką?

- Ależ skąd...? - oburzył się „obiecujący” młodzieniec. - Ja takich twardych przedmiotów nie używam. Guma. Kabelek gumowy. Leciutko, ledwie, ledwie...

- Śledziliście go?

- Przyuważyłem... Ale krzywdy mu nie zrobiłem. Leciutko...

- Dlaczego napadliście go akurat w tym domu na Narbutta?

- Tak mi pasowało.

- Czy już kiedyś dokonaliście napadu w tym domu, na tej klatce schodowej?

Zmieszał się.

- Słyszeliście pytanie? - nalegał Downar.

- Słyszałem.

- No to odpowiadajcie.

- Zdarzało się. Kiedyś mi Francuz podleciał. Nędza. Szkoda fatygi.

- Na tej samej klatce schodowej?

- Na tej samej.

- Dlaczego obraliście sobie akurat to miejsce do dokonywania napadów rabunkowych?

- Dziewczyna tam mieszka, do której przychodzą nadziani zagraniczni goście.

- Monika Rodedka? - spytał Downar. Dutkowski zdumiał się. Oczy wytrzeszczył, usta otworzył. W pierwszej chwili nie mógł powiedzieć słowa.

- Skąd... skąd pan wie...? - wykrztusił.

- Więc do tej dziewczyny przychodzili „nadziani zagraniczni goście”?

- Do niej.

- To wasza znajoma?

- Ale skąd! Ona z takimi jak ja nie rozmawia. Za dumna.

- Powiedźcie dokładnie, jak to było z tym zagranicznym gościem.

Dutkowski wzruszył ramionami.

- Zwyczajnie. Przyuważyłem, że przyszedł. Stałem na półpiętrze i czekałem.

- Długoście czekali?

- Właśnie, że nie. Z miejsca wyleciał z mieszkania, jakby go kto gonił. Aż się zdziwiłem. Musiała go wywalić na zbitą morde.

- Co dalej?

- Dalej? Nic takiego. Przeczesalem go tą gumą. Leciutko, żeby mu krzywdy nie zrobić.

- Zabraliście walizkę, zegarek i dolary.

- Nie będę się wypierał. Nie lubię kłamać.

- Skąd wiedzieliście, że on akurat tego wieczora odwiedzi tę dziewczynę?

- Wiedzieć nie wiedziałem. Miałem ją na oku. Jak raz przyszedł, to byłem pewny, że się na tym ni skończy. Monika to pierwszy sort.

- To znaczy, że ten zagraniczny gość nie po ra pierwszy ją odwiedzał?

- Był już u niej raz, także koło dziewiątej, ale ni doczekałem się. Pewnie wyszedł dopiero rano.

- Jak wyglądał ten człowiek, któregoście obrabo wali?

- Postawny mężczyzna. Elegancki. Widać, że za graniczny gość.

- Jak był ubrany?

- Szary garnitur. Flanela. Setka. Czarne okular, ładny krawacik. Szykowny facet.

Downar zwrócił się do sierżanta Kucharskiego?

- Byliście wczoraj na miejscu tego napadu?

- Ma się rozumieć, towarzyszu majorze. Pojecha liśmy radiowozem z komendy.

- I nie znaleźliście tego turysty?
- Nikogo już nie było na klatce schodowej.
- Leciutko - wtrącił się do rozmowy Dutków ski - pewnie zaraz się ocknął i poszedł do domu.
- Nikt nie zameldował o dokonaniu napadu? Sierżant Kucharski potrząsnął głową.
- Nie było żadnego meldunku.

*

Olszewski postawił na biurku płaską, czarną walizeczkę, usiadł i napił się wody.

- Zaglądałeś? - spytał Downar. Porucznik skinął głową.
- Oczywiście. Jak tylko zdjęli odciski palców. Broda, wąsy, peruka, klej, rękawiczki.

Downar otworzył walizeczkę i przez dłuższą chwilę przyglądał się przyborom do charakteryzacji. - Dziwne - mruknął. - Bardzo dziwne.

- Czy zauważyłeś, że walizka została kupiona w Paryżu? - spytał porucznik.

- Tak. Firma paryska. Ale mógł ktoś przykleić etykietkę. U nas można kupić podobne walizki.

- Na cholere ktoś miałby przyklejać paryską etykietę?

Downar wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Taką rzecz można zrobić albo przez snobizm, albo... Może to jakieś posunięcie strategiczne. W każdym razie musimy to wszystko przekazać do Zakładu Kryminalistyki. Niech sprawdzą.

- Czy zakładamy, że właścicielem tej walizki jest mężczyzna? - spytał Olszewski.

- Kobiety raczej takich walizeczek nie noszą. Chociaż nie możemy wykluczyć, że jakaś dama postanowiła wystąpić w charakterze brodatego staruszka. To rzeczywiście dziwna historia z tą brodą i z tymi wąsami.

- I z tą peruką - uzupełnił Olszewski. - Wygląda to na jakiś teatr amatorski. Trzeba by zebrać trochę informacji o tej dziewczynie.

- O właśnie - ożywił się Downar - chciałem ci zaproponować, żebyś się tym zajął. Weź do pomocy Pakułę.

*

Opinia wydana przez Zakład Kryminalistyki była następująca: banknot pięćdziesięciodolarowy autentyczny. Czarna płaska walizka produkcji francuskiej. Peruka, broda i wąsy pochodzenia zagranicznego, tak samo jak klej używany do charakterystyki.

Downar gubił się w domysłach. Z pobieżnego wywiadu przeprowadzonego przez Olszewskiego wynikało, że zamordowana dziewczyna bywała w najdroższych restauracjach, kawiarniach i nocnych lokalach w towarzystwie bogatych cudzoziemców. Oficjalnie była zatrudniona na ćwierć etatu w „Orbisie” i od czasu do czasu pilotowała zagranicznych gości. Nigdy nie była zamieszana w żadną aferę związaną z handlem walutą czy z przemytem. Nie miała do czynienia ani z milicją, ani z prokuraturą. O młodym człowieku z rozciętą wargą nikt nie słyszał i nikt go nie widział poza listonoszem.

- Co jest u diabła z tym cudzoziemcem, który się charakteryzował?

Olszewski wzruszył ramionami.

- Nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Może jakiś aktor. Ale to raczej wątpliwe. Aktor nie nosi się z przyborami do charakteryzacji. Zresztą ostatnio nie było u nas żadnego zagranicznego zespołu. Co mógł mieć z dziewczyną wspólnego facet, cudzoziemiec, w każdej chwili przygotowany do zmiany wyglądu?

- Właśnie - pokiwał głową Downar. - Co mógł mieć z nią wspólnego? A może to zwykły zbieg okoliczności?

- Zbieg okoliczności?

- No tak. Dlaczego właśnie upieramy się przy tym, że ta walizka wraz ze swą zawartością wiąże się w jakiś sposób z morderstwem? Stwórzmy sobie inną wersję. Facet umawia się z dziewczyną, przychodzi, zastaje ją zamordowaną i w popłochu ucieka.

- Można i tak - powiedział zgodnie Olszewski. - Ciągłe jednak nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie, w jakim celu ten ktoś przeobrażał się w siwobrodego staruszka?

- Rzeczywiście trudno na to w tej chwili odpowiedzieć, nawet fantazując. Być może, że to jakaś afera; nie mająca nic wspólnego z morderstwem. Zawiadomiłeś Olsztyn?

- Tak. Obiecali, że się rozejrzą. Downar uderzył dłonią w kopertę leżącą na biurku.

- Może warto by im posłać fotokopię tego listu, Niewykluczone, że będą mieli okazję porównać charakter pisma tej Tamary, która im będzie mniej więcej pasować. Jeszcze kilka spraw mamy do załatwienia. Przydałby się nam wykaz cudzoziemców, przebywających ostatnio w Warszawie. Specjalnie interesujący mogliby być turyści, którzy przyjechali z Paryża. Musimy się też porozumieć z celnikami. Może przypadkiem któryś z nich zwrócił uwagę na czarną, płaską walizeczkę. To bardzo mało prawdopodobne, ale spróbować można. Poza tym...

- A taksówkarze? - wtrącił Olszewski.

- Powoli. Nie denerwuj się - uspokoił go Downar. - Właśnie miałem mówić o taksówkarzach. Niewykluczone, że znajdziemy takiego, który zawiózł jakiegoś cudzoziemca na Narbutta.

- Czy to już wszystko, szefie? - spytał Olszewski, odkładając długopis.

- Na razie tak. Chyba, że chciałbyś jeszcze coś zaproponować.

Olszewski poskrobał się za uchem.

- Miałbym pewną propozycję.

- Mów. Nie krępuj się.

- Otóż tak... Ubierzmy kóregoś z naszych ludzi w tę siwą perukę, przyklejmy mu brodę i wąsy, włóżmy ciemne okulary i zrobimy zdjęcie. Następnie z tym zdjęciem warto byłoby obskoczyć wszystkie lepsze knajpy i hotele. Co ty na to?

- To jest myśl - powiedział Downar. - Widzę, że główka pracuje.

ROZDZIAŁ VI

Wolno otworzyła oczy. Słaby blask nowego dnia oświetlał kolorowe zasłony. Przez otwarte okno płynął daleki szum budzącego się miasta.

Wiedziała, że jest bardzo wcześnie, ale nie chciało jej się wyciągać ręki po zegarek i zobaczyć, która godzina. Czuła ogromny bezwład w całym ciele. Leżała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w suficie. „Dlaczego nie śpię? Powinnam jeszcze spać” - myślała. „Po takiej nocy powinnam spać długo, choćby do południa. Dlaczego...?”

I nagle uświadomiła sobie, dlaczego. Strach. Przez wszystkie te godziny narastał, drażył podświadomość, męczył.

Odwróciła się i przesunęła dłonią po włosach śpiącego obok mężczyzny. Były gęste, miękkie, teraz trochę wilgotne od potu. Ostrożnie, delikatnie zagłębiła w nich palce. Poczowała elektryczny prąd idący od tej ciemnej, zmierzwionej czupryny. To było bardzo przyjemne.

Przez długą chwilę patrzyła na muskularne, opalone ciało, na leciutko rozchylone usta, prosty kształtny nos i długie, jakby przyklejone rzęsy. Spał spokojnie, oddychał równo, uśmiechał się przez sen. Wydał jej się teraz o wiele młodszy, prawie dziecinny. - Kocham cię, bardzo cię kocham - powiedziała cicho i zamknęła oczy.

To było takie nagłe, takie niespodziewane. Ciągle nie mogła uwierzyć w realność tego co się stało. Przecież jeszcze przed kilku dniami nie wiedziała o istnieniu tego chłopca, a teraz...

Miała duże doświadczenie w miłości, przeżyła niejedną przygodę, niejednen romans. Dotychczas wszystkich mężczyzn, nie wyłączając własnego męża traktowała z cynicznym wyrachowaniem. Byli dla niej nieważnymi, bezimiennymi istotami, z których usług korzystała, tak jak się korzysta z usług fryzjera, taksówkarza czy recepcjonisty w hotelu. Pozwalała się adorować, obsypywać kosztownymi podarunkami, pozwalała

łaskawie płacić za siebie wysokie rachunki w luksusowych restauracjach, w domach mody, i u jubilerów. Nikt jednak nigdy nie zdołał obudzić w niej żywszego uczucia, zainteresować tak, żeby przypadkowa, przelotna znajomość rozwinęła się w miłość. Spotykała się nawet z zarzutem, że jest kobietą zimną, niezdolną do miłości. Sama zaczynała w to wierzyć. I nagle...

„Przecież to nonsens, zupełny nonsens” - próbowała przemówić sobie do rozsądku. „Nie po to przyjechałam do Polski, żeby wdawać się w jakiś idiotyczny romans. Mam konkretne zadanie do wykonania. Muszę mieć umysł trzeźwy, myśleć logicznie, opracować dokładnie plan działania, przewidzieć z precyzyjną dokładnością każde posunięcie przeciwnika, rozpracować teren i głównych bohaterów tej sensacyjnej powieści...”

Znalazła go bez trudu. Po prostu wzięła książkę telefoniczną i zatelefonowała do wszystkich warszawskich hoteli. Nawet nie bardzo liczyła na to, że znajdzie go w hotelu. To było zbyt łatwe i z jego strony zbyt lekkomyślne. Człowiek prowadzący tego rodzaju grę nie zatrzymuje się w hotelu. Musi się liczyć z rozmaitymi ewentualnościami.

Nawiązanie znajomości także nie było trudne. Zorientowała się w jego trybie życia, wiedziała, o jakiej mniej więcej porze wychodzi z hotelu, obejrzała sobie jego sportowy wóz z włoską rejestracją i któregoś dnia poprosiła, żeby ją podwiózł. Od razu spostrzegła, że włoski język trochę go speszył. To już wtedy dało jej do myślenia, zaraz na początku.

Teraz nie było wątpliwości. To nie Henryk Moderski. Nie miał blizny pod prawą łopatką.

Więc tamten podstawił chłopaka, któremu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Czy jednak ten amerykański „killer” da się nabrać na tę mistyfikację? Bardzo wątpliwe. To dobry fachowiec. Signor Marsano nie zaangażowałby do takiej roboty pierwszego lepszego dyletanta. Taki człowiek, jak Rolson, sprawdzi wszystko dokładnie, zanim zacznie działać. Musi przecież przewidywać taką ewentualność, że Moderski podstawia kogoś na wabia.

Takie rozumowanie trochę ją uspokoiło, ale nie na długo. Pojawiły się nowe wątpliwości, nowe niepokoje. Rolson musi nawiązać kontakt z tym chłopakiem, żeby go sprawdzić. Kto wie, jakie konsekwencje może pociągnąć za sobą ta znajomość, jak się to wszystko rozwinie. Rolson jest człowiekiem bezwzględny, zdecydowanym na wszystko, nie bawiącym się w żadne sentymenty. Zawodowy morderca. Jeżeli uzna to z jakichś względów za celowe, zlikwiduje chłopaka, choćby nawet wiedział że to nie Moderski.

Co robić? Ratować go, musi go ratować. Czy powiedzieć wszystko? Tak byłoby najlepiej, ale musiałyby odsłonić własne karty w tej grze. Byłaby spalona. Nie może tak ryzykować. Więc co?

Wstała z tapczana. Nago zaczęła przechadzać się po pokoju. Po dłuższej chwili poszła do łazienki i wzięła zimny prysznic. Świetnie jej to zrobiło. Zesztywniałe mięśnie wróciły do normy, umysł zaczął pracować prawidłowo, spokojnie. „Muszę się opanować, muszę się opanować - myślała - nie wolno mi działać pod wpływem chwilowego impulsu. Nie wolno mi poddawać się sentymentalnym nastrojom. Muszę być mocna, zimna, całkowicie opanowana”.

Nie było to jednak takie proste. Kiedy wróciła do pokoju, nowa fala tkliwych uczuć ogarnęła ją z ogromną siłą. Nigdy nie miała dziecka i teraz niewyżyta miłość macierzyńska połączyła się z miłością kochanki. Nie mogła być „zimna, całkowicie opanowana”.

Obudził się. Wyskoczył spod kołdry i chwycił ją w ramiona.

- Już wstałaś? Nic nie słyszałem. Spałem jak zabity.

Delikatnie oswobodziła się z jego objęć.

- Zostaw, kochanie. Muszę się ubrać. Jej ton speszył go. Sporzał niespokojnie.

- Co się stało?

- Nic, nic się nie stało - uśmiechnęła się z przymusem. - Po prostu chcę się ubrać. Czy to takie dziwne?

- Jesteś taka jakaś... inna. Co się stało? Powiedz. Proszę.

- Muszę z tobą porozmawiać poważnie.

- Porozmawiać poważnie? - był szczerze zdumiony. - Wcale nie jestem nastawiony na poważne rozmowy. Mam ogromną ochotę cię całować.

- Jesteś dziecinny.

- Czy uważasz, że w nocy zachowywałem się jak dziecko?

- Głuptas. Ja naprawdę chcę z tobą porozmawiać.

- Doskonale. Ale o czym?

- O tobie. O nas.

- Chcesz, żebym się z tobą ożenił? Jestem golów. W każdej chwili.

Podeszła do niego i pogładziła go delikatnie po twarzy.

- Pragnę, żebyś wiedział, jak bardzo cię kocham. Jeszcze nigdy żadnego mężczyzny tak nie kochałam.

Objął ją i zaczął całować.

- Przecież ja także, ja także. Chyba czujesz. Znowu się uwolniła.

- Dlaczego skłamałeś? - spytała wprost.

- Skłamałem? Ależ ja naprawdę bardzo cię kocham.

Potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu mokre włosy.

- Nie o tym mówię. Podąłeś się za kogo innego. Speszył się.

- Nie rozumiem.

- Doskonale rozumiesz. Ty nie nazywasz się Henryk Moderski.

Nic nie powiedział. Odwrócił głowę i zaczął się ubierać. Nagość zaczęła go nagle krępować. Zbliżyła się i zajrzała mu w oczy.

- Ty nie nazywasz się Henryk Moderski - powtórzyła.

Niechętnie wrzucił ramionami. Unikał jej wzroku.

- Daj mi spokój. Czy to nie wszystko jedno, jak się nazywam? A zresztą skąd ci przyszło do głowy, że ja się tak nie nazywam?

- Wiem.

- Skąd wiesz? Kto ci powiedział?

- Nieważne. Wystarczy, że wiem.

- A nawet gdyby, to co z tego? - próbował być agresywny. - Co cię właściwie obchodzi moje nazwisko?

- Boję się o ciebie.

- Boisz się o mnie? - roześmiał się, jakby pragnął zbagatelizować całą sprawę. - Daj spokój. Nie wymyślaj sobie powodów do zmartwień. Cieszymy się, że jesteśmy razem i że nam ze sobą dobrze.

- Grozi ci niebezpieczeństwo - powiedziała poważnie.

- Żartujesz.

- Wcale nie żartuję. Grozi ci ogromne niebezpieczeństwo. Wplątałeś się w paskudną sprawę.

Wykonał pełen zniecierpliwienia gest.

- Przestań. Nie zwracaj sobie głowy takimi głupstwami. Coś ci się chyba przyśniło.

Była już zupełnie ubrana. Wzięła szczotkę i zaczęła rozczesywać włosy.

- Czy ty rzeczywiście jesteś taki głupi i naiwny? Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz?

Żachnął się.

- A co takiego mam właściwie rozumieć? Nie bądź nudna.

- A ty nie bądź nieuprzejmy. Nie lubię tego Siadaj.

Chciał usiąść na tapczanie, ale pchnęła go w kierunku krzesła.

- Usiądź na krześle. Ja też usiądę na krześle.

- Uważasz, że tak będzie bardziej oficjalnie?

- Oczywiście. Tapczan nie jest meblem sprzyjającym poważnym rozmowom. A teraz powiedz mi, jak ci naprawdę na imię?

- Henryk. Przecież wiesz.

- Przestań kłamać. To nie ma sensu. Ty nie jesteś Henrykiem Moderskim.

- Skąd ta pewność?

- Bo Henryk Moderski ma szeroką bliznę pod prawą łopatką, a ty nie masz takiej blizny.

Po raz pierwszy spojrział na nią z niepokojem w oczach.

- Do diabła!

Ujęła w obie dłonie jego twarz i delikatnie pocałowała go w usta.

- Kochany, przecież ja chcę ci pomóc. Zrozum, chcę cię ratować.

- Ratować? Przed czym? - spytał cicho. Nie był już taki pewny siebie.

- Przed śmiercią. Roześmiał się niezbyt szczerze.

- Nie dramatyzuj. Potrząsnęła głową.

- Daleka jestem od tego. Przez całe życie zawsze trzeźwo oceniałam każdą sytuację. Wierz mi, rzeczywiście grozi ci bardzo poważne niebezpieczeństwo. Chcą z ciebie zrobić kozła ofiarnego. Ile ci obiecano?

Milczał.

- Zresztą to nie ma znaczenia - podjęła po chwili - ale błagam cię, zaufaj mi.

- Operujesz bez przerwy jakimiś tajemniczymi ogólnikami - powiedział niecierpliwie. - Może mi wreszcie wyraźnie wytłumaczysz, o co chodzi. Co znaczą te wszystkie przerażające wizje? Kto, według ciebie, nastaje na moje życie?

- Ten, kto ma zamiar zlikwidować Moderskiego. Czy to tak trudno zrozumieć? Podstawili cię na wabia, licząc, że morderca da się na to nabrać.

- Dlaczego ten ktoś miałby zamordować Moderskiego?

- Nie wymagaj ode mnie za wiele. I tak za dużo ci powiedziałam. A zresztą chcesz, to wierz, nie chcesz, to nie wierz. Jeżeli mi nie ufasz, to nic na to nie mogę poradzić. Chcę cię ratować. Pragnę, żebyś żył.

Siedział zaszępioty. Od początku ta mistyfikacja wydawała mu się bardzo podejrzana, a teraz...

- Jakieś gangsterskie porachunki? - spytał po chwili.

- Można to i tak nazwać. Pan Moderski komuś bardzo się naraził. Wie o tym i wpadł na pomysł, aby posłużyć się tobą. Wynajął cię. Zrozum wreszcie.

- A czy możesz mi powiedzieć, co ty masz z tą sprawą wspólnego?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie mogę i nie chcę. Zresztą im mniej będziesz wiedział o całej tej historii, tym lepiej dla ciebie. Musiałam cię ostrzec, bo zupełnie niespodziewanie wtargnąłeś w moje życie, stałeś się dla mnie drogi. Nie mogę dopuścić, żeby cię zniszczyli. Kocham

cię. Dlatego robię to, czego robić nie powinnam, bo mogę narazić siebie.

Dotknął jej dłoni.

- No dobrze. Jeżeli nawet jest tak, jak mówisz, to przecież ten tajemniczy morderca sprawdzi, czy mam bliznę pod prawą łopatką. Musi się upewnić, czy zabija właściwego człowieka.

- Nie znasz się na tych sprawach. To są rzeczy bardzo skomplikowane. Może na przykład będzie mu wygodnie, aby Moderski nabrał przekonania, że mistyfikacja udała się, że nikt nie ma wątpliwości. W tym wypadku zostaniesz zamordowany, choćby morderca miał pewność, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Rozumiesz?

- Chyba tak. Rozumiem i jestem ci wdzięczny. Dziękuję...

Położyła palec na wargach.

- Przestań. Nie chcę, żebyś mi dziękował. Przecież... A teraz powiedz mi wreszcie, jak ci na imię?

- Paweł - powiedział cicho. Czule pogładziła go po włosach.

- Paweł. Lubię to imię. Wolę, że jesteś Paweł, a nie Henryk.

*

Z samego rana zadzwonił telefon. Paweł poznał w słuchawce charakterystyczny męski głos. Rozmowa trwała bardzo krótko. Umówili się na lotnisku.

- Weź taksówkę. Pojechał więc taksówką.

Moderski czekał na niego w czerwonym fiacie.

- Wsiadaj - rozkazał rozejrzawszy się błyskawicznie dokoła.

Zaczęli rozmawiać dopiero po wydostaniu się z miasta.

- Dokąd jedziemy? - spytał Paweł. - Chyba nie do Komorowa?

- Już nie mieszkam w Komorowie. Gdzieżeś ty się podziewał do cholery? Szukam cię od dwóch dni.

Paweł milczał. Nie bardzo wiedział, jak to zgrabnie załatwić. Miał ochotę jak najszybciej wycofać się z tej afery. Nie chciał jednak nic mówić o Ninie ani o rozmowie z nią.

- Dokąd jedziemy? - powtórzył pytanie.

- Niedaleko - padła wymijająca odpowiedź.

Do Otwocka nie zamienili ze sobą ani słowa. Wjechali w jakąś boczną, wyboistą uliczkę i Moderski nacisnął hamulec.

- Wsiadaj.

Paweł zawahał się. Zaczynał się bać. Wczorajsza rozmowa z Niną fatalnie wpłynęła na jego system nerwowy.

- Wsiadaj.

Przeszli przez zapuszczony, porośnięty chwastami ogród. Mały domek, wtłoczony między stare drzewa, nie wyglądał zachęcająco. Przydałby się tu kapitalny remont. Tynk dawno poodpadał i ściany pokryły brudne liszaje, porośnięte tu i ówdzie mchem. Dach był w opłakanym stanie. Nigdzie nie było widać: jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności.

- Tutaj teraz mieszkasz?

- Nie. Nie mieszkam tutaj. To tylko chwilowe pied-a-terre. Chodziło mi o to, żeby nam nikt nie przeszkadzał w rozmowie.

Wnętrze domu prezentowało się dużo lepiej. Usadowili się w wygodnych fotelach. Niezbyt czystą podłogę przykrywał dość przyzwoity, duży dywan. Znalazły się nawet kieliszki i butelka „Martini Dry”.

- Ja nie będę pił. Nie mam ochoty na alkohol - zastrzegł się Paweł. - Jest za gorąco - doda i pragnąc uzasadnić odmowę.

Moderski wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Mam wprawdzie i lód, ale nigdy nikogo nie namawiam do picia.

Zjął marynarkę i zakasał rękawy koszuli, ukazując potężną muskulaturę. Następnie poszedł do kuchni, przyniósł lód, cytryny i syfon wody sodowej. Bez pośpiechu przyrządził sobie koktajl wyciskając dużo soku cytrynowego.

- Rzeczywiście nie masz ochoty się napić?

- Może trochę wody sodowej.

Postawił prze chłopakiem szklanekę i posunął syfon po stole. Sam zaś usiadł w fotelu i przez chwile w milczeniu popijał chłodny napój. Widać było, że mu to sprawia przyjemność.

- Co się stało? - spytał.

Paweł przełknął spory łyk wody sodowej.

- Nic się nie stało.

Moderski uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Nie próbuj ze mną takich głupich gier. Przecież widzę, że coś jest nie w porządku.

- Więc dobrze! - wybuchnął Paweł. - Powiem ci. Chcę się wycofać z tej całej afery. Mam dosyć. Gwiżdżę na twoje tysiąc dolarów, na twój wóz. Czy ty myślisz, że ja uwierzyłem w tę prymitywną bajeczkę? Czy uważasz mnie za takiego idiotę? Ty wcale nie nazywasz się Robert Konecki. To ty jesteś Moderski, Henryk Moderski. Chciałeś mnie nieźle wrobić, co? Chciałeś, żeby mnie ktoś kropnął zamiast ciebie. Ale ten numer nie przejdzie. Sam załatwiał swoje porachunki z gangsterami. Ja na to nie idę. Cześć. Już do hotelu nie wracam. Zabierz sobie swój wóz. A tu jest ten paszport.

Rzucił paszport na stolik i chciał wyjść, ale Moderski poderwał się i otwartą dłonią uderzył go w twarz z taką siłą, że chłopak zatoczył się i upadł na fotel.

- Ten numer także nie przejdzie - powiedział. Wyjął z kieszeni spodni pistolet i nałożył na lufę tłumik. - Widziałeś to kiedy? Może w kinie, co? To działa prawie bezszmerowo, a tutaj takie pustkowia, że nawet strzał bez tłumika nikogo by nie zaalarmował. Jak myślisz, dlaczego wybrałem takie zaciszne miejsce na naszą rozmowę? W piwnicy jest już wykopany dół. Akurat na twój wzrost.

W oczach Pawła malowało się przerażenie.

- Chcesz mnie zabić?

- A coś ty sobie wyobrażał, idioto? Za kogo ty mnie masz? Dostałeś piętnaście tysięcy na zapłacenie długu, piątkę na drobne wydatki, jeździsz luksusowym wozem, mieszkasz w przyzwoitym hotelu...

- Oddam ci tę cholerną forszę. Nie wiem skąd wezmę, ale oddam.

Moderski zbliżył się i dotknął lufą pistoletu szyi chłopaka.

- Nie chodzi o forszę. Przykro mi ale w tej sytuacji muszę cię zlikwidować. Chyba że...

- Chyba że co? - podchwycił z nadzieją w głosie Paweł.

- Chyba że się dogadamy.

- To znaczy...?

- To znaczy, że będziesz mi bezwzględnie posłuszny.

- Nie mam wyboru.

Moderski uśmiechnął się i schował pistolet do kieszeni.

- Pierwsze rozsądne słowa, które dziś od ciebie usłyszałem. Może więc zacniemy od tego, że opowiesz mi wszystko o tej historii. Nie próbuj tylko kłamać. Nie potrafisz tego robić, a ja nie należę do tych, którzy łatwo we wszystko uwierzą. Nie dasz rady.

- O czym mam opowiedzieć? Nie rozumiem. Na twarzy Moderskiego pojawił się wyraz zniechęcenia. Znowu wyjął pistolet.

- No cóż... Widzę, że muszę cię jednak zastrzelić. Sam tego chciałeś. Wstawaj. Idziemy do piwnicy.

- Nie! - krzyknął Paweł. - Nie zrobisz tego.

- To się okaże. Wstawaj. Chłopak skurczył się.

- Nie... Nie!

Moderski przyłożył mu lufę pistoletu do karku.

- No więc...?

- Powiem wszystko.

- No to słucham. A żeby ułatwić ci sytuację, będę zadawał pytania, a ty staraj się odpowiadać na nie możliwie precyzyjnie. Nie muszę ci wyjaśnić, że od tego zależy twoje życie. Poza tym wiesz lepiej ode mnie, że nikt się specjalnie nie przejmie twoim nagłym zniknięciem. Może po pewnym czasie zaczną cię szukać rodzice, ale...

Paweł westchnął głęboko.

- Pytaj.

- Więc przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kto ci naopowiadał tych bajeczek o gangsterach i o tym, że ja nazywam się Moderski.

- Dziewczyna. Moderski pokiwał głową.

- Domyśliłem się tego. Opowiedz mi o mej. Chłopak zawahał się.

- No, dalej. Jazda. Albo będziesz mówił, albo do piachu. Tracę cierpliwość.

Opowiedział o znajomości z Niną.

- Mówisz, że ona przyjechała z Włoch?

- Tak przynajmniej twierdzi.

- Hm. Ciekawe. A jakżeż ona na to wpadła, że ty nie nazywasz się Moderski?

- Powiedziała, że nie mam blizny pod prawą łopatką.
Moderski drgnął.

- O...!

- Z tą blizną to prawda? - spytał Paweł. Nie dostał odpowiedzi.

Przez chwilę milczeli. Moderski wrócił na fotel i wypił resztę koktajlu. Nie smakował mu ten letni płyn. Lód już dawno się rozpuścił.

- To znaczy, że z nią spałeś.

- Tak.

- Gdzie ona mieszka?

- Wolałbym tego nie mówić.

- Nic mnie to nie obchodzi, co byś wolał, a czego nie. Gadaj, a nie to kula w łeb. Dosyć mam już tej rozmowy z tobą.

- Mieszka na Mokotowie, na Balonowej - Paweł zajrzał do notesu i podał dokładny adres. Wiedział, że nie może postąpić inaczej. Chciał żyć, a nie wątpił, że ten człowiek w każdej chwili gotów jest go zastrzelić.

- To prywatna kwatera?

- Tak. Jacyś jej znajomi wyjechali i zostawili mieszkanie.

- Co dalej?

- Co chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, kto się tobą interesował.

- Nikt. W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- Przypomnij sobie. Może ktoś cię zaczepił? Może ktoś z tobą rozmawiał, choćby zupełnie przelotnie?

Paweł przeciągnął dłonią po czole.

- Daj mi się czegoś napić. Moderski napełnił szklanekę wermutem.

- No więc?

Chłopak pociągnął spory łyk.

- Tak. Coś takiego było. W hallu hotelowym. Teraz sobie przypominam. Podeszedł do mnie jakiś staruszek i spytał, czy jestem Moderski, ale podał inne imię. Nie Henryk, tylko Adolf czy Alfred. Już dobrze nie pamiętam.

- Staruszek?

- Tak. Z siwą brodą i wąsami.

- I tylko wtedy widziałeś tego staruszka?

- Tylko wtedy.

Moderski wstał i przeszedł się zamyślony po pokoju.

Po chwili zatrzymał się przed Pawłem i położył mu rękę na ramieniu.

- Posłuchaj. Postanowiłem, że cię nie zastrzelę. Chłopak odetchnął z ulgą.

- Co mam robić?

- Postanowiłem, że cię nie zastrzelę teraz, dzisiaj - mówił dalej Moderski. - Od ciebie zależy, jak dalej się potoczy nasza współpraca i czy będę musiał użyć pistoletu z tłumikiem. Chciałbym, żebyśmy się porozumieli i nadal pozostali przyjaciółmi.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko temu - zapewnił skwapliwie Paweł.

- To doskonale. W takim razie może wrócimy do naszej szczerzej rozmowy. Teraz ja będę w stosunku do ciebie zupełnie szczerzy. Doszedłem do wniosku, że w tej sytuacji masz prawo wiedzieć, jak sprawy rzeczywiście wyglądają. Szczerowość za szczerowość.

- Wdzięczny ci jestem za zaufanie - bąknął Paweł. Trochę się uspokoił, ale znowu pojawiła się niepewność. Nie wiedział, co się kryje za tymi „szczerymi” słowami.

- Więc tak - Moderski usiadł i nalał sobie nową porcję Martini. - Mogę cię zapewnić, że rzeczywiście nazywam się Robert Konecki. Natomiast tę historyjkę o Moderskim wymyśliłem. Sam czułem, że to nie wypadło zbyt przekonująco, ale tak naprędce nie wpadło mi do głowy nic lepszego. Moderski jest moim serdecznym przyjacielem i to prawda, że pewni ludzie chcą go zlikwidować. Przypuszczam, że nasłali tu na niego płatnego mordercę. Muszę się dowiedzieć, kto to jest i jak wygląda. Dlatego wpadłem na niezbyt fortunny pomysł, żeby ciebie zaangażować do tej roboty. Rozumiesz chyba, że w tej chwili nie mogę się z tego wycofać. Chociaż sytuacja trochę się zmieniła. Muszę pewne rzeczy sprawdzić, aby mieć całkowitą pewność, jak to wygląda. Chodzi o życie mojego przyjaciela.

- Dlaczego się nie zwrócisz o pomoc do milicji? Moderski wzruszył ramionami.

- Śmieszny jesteś. To ostateczność, która zawsze psuje i komplikuje każdą sprawę. Zresztą cóż mógłbym powiedzieć milicji? Że obawiam się o życie mojego przyjaciela? Że coś przypuszczam, podejrzewam? Musiałbym mieć jakieś konkrety w rękę. Zaczęliby mnie wypytywać. A odpowiedzi na pewne pytania mogłyby być dla mnie krępujące. Rozumiesz?

Paweł pokiwał głową.

- Rozumiem.

- Kontakt z milicją absolutnie odpada - mówił dalej Moderski. - A teraz wróćmy do twojej osoby. Otóż moja propozycja jest następująca: pojedziesz zaraz do Nowego Sącza. Tam zamelinujesz się w jakimś prywatnym pokoiku. Zameldujesz się już nie jako Henryk Moderski, ale jako Paweł Skawiński. Wrócisz do swojego nazwiska. Ale ostrzegam cię - żadnych posunięć na własną rękę, żadnych głupich numerów. To jest bardzo poważna gra, a stawką w tej grze jest życie twoje i twojej dziewczyny.

- Co mam robić w Nowym Sączu?

- Absolutnie nic. Chodź sobie na spacer, korzystaj ze świeżego powietrza, czytaj książki, doksztalcaj się. Trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki będziesz czekał na poczcie na mój telefon od godziny dwudziestej do dwudziestej pierwszej. To wszystko.

- A co z hotelem?

- Zatrzymasz pokój. Powiedz, że wyjeżdżasz na Wybrzeże, że chcesz zwiedzić Gdańsk, Szczecin, Gdynię.

- A wóz? Mam jechać wozem?

- Nic podobnego. W Nowym Sączu będziesz występował w charakterze ubogiego studenta. Wóz rozbijesz o jakieś drzewo i oddasz do naprawy.

- Rozbić taki wóz? Ależ to Ferrari! - oburzył się Paweł.

- Nie szkodzi. Rozbicie wozu, a raczej poważniejsze uszkodzenie należy do mojego planu. Wskażę ci warsztat, do którego oddasz samochód do naprawy. Adres tego warsztatu zostawisz w hotelu, w recepcji. Zrobisz to tak, żeby jak

najwięcej osób o tym wiedziało. I jeszcze jedno. Pod żadnym pozorem nie wolno ci telefonować do tej dziewczyny, ani z Warszawy, ani z Nowego Sącza. Nie napiszesz też do niej ani słowem.

- Nie mogę tak zrobić - zaproponował Paweł.

- Możesz i zrobisz. Ile razy mam ci powtarzać, że jeżeli chcesz żyć, musisz dokładnie wykonywać moje polecenia? Pamiętaj, że narażasz także i ją.

- Dobrze. Nie napiszę ani nie zatelefonuję.

- W porządku. Czy te pieniądze odesłałeś już swojemu koledze?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że nie pisałeś mu nic o mnie.

- Skądże.

Moderski wyjął z kieszeni paczkę papierosów i obracał ją w palcach.

- Więc mówiła o tej bliźnie?

- Tak. Po tym poznała, że nie jestem Moderski.

- A skąd w ogóle wie, że Moderski ma bliznę na plecach?

- Nie mam pojęcia. Nie mówiła mi.

- Nie ulega wątpliwości, że go zna. Musiała go spotkać albo na basenie, albo w łóżku.

- Nie mów tak.

- Pardon. Nie chciałem zranić twoich uczuć. Po prostu głośno myślę, rozważam rozmaite ewentualności. Bo skądże kobieta może wiedzieć, że mężczyzna ma bliznę pod łopatką? Mniejsza z tym zresztą. Chciałem ci jeszcze podać do wiadomości, że w Nowym Sączu będziesz pod stałą obserwacją. Jeden z moich bliskich przyjaciół pojedzie za tobą. Nie radzę ci więc wprowadzać jakichkolwiek zmian do moich planów.

ROZDZIAŁ VII

Rolson był wściekły. Po raz pierwszy w życiu zdarzyła mu się taka idiotyczna historia. Nie dosyć, że zupełnie niepotrzebnie wdał się w ten romans, to na domiar złego ogłuszył go na schodach jakiś przypadkowy opryszek, zabierając przybory do charakteryzacji, zegarek, trochę dolarów. Zupełna kompromitacja.

Codziennie podczas golenia miał ochotę plunąć na swoje odbicie w lustrze. „Albo się starzeję, albo tutejszy klimat mi nie służy” - myślał ze złością. Nie miał wątpliwości, że ciało Moniki zostało już znalezione i że milicja prowadzi dochodzenie. Na szczęście poza tym bandytą nikt go nie widział na schodach ani za pierwszym, ani za drugim razem. Tak mu się przynajmniej zdawało. Bardzo prędko został wyprowadzony z błędu.

Na trzeci dzień po tej niefortunnej wizycie na Mokotowie zadzwonił rano telefon. W słuchawce odezwał się zachrypnięty baryton.

- Czy to pan Rolson? - pytanie zostało zadane w języku niemieckim.

- Ja. Was wollen Sie?

- Chciałbym się z panem zobaczyć, Herr Rolson. W ważnej sprawie.

- Nie mam czasu na spotkania z nieznanymi. A kto mówi?

- Moje nazwisko nic panu nie powie. Sądzę, że spotkanie ze mną leży w pańskim interesie. Chodzi o Monikę.

- Nie wiem o czym pan mówi. Proszę mi nie zawracać głowy.

- Mówię o dziewczynie, która mieszkała na Mokotowie, na Narbutta i którą pan odwiedzał. Jeżeli pan woli, mogę w tej sprawie porozmawiać z milicją.

- Śmiesz mnie pan - Rolson całkowicie odzyskał zimną krew. - Opowiada pan jakąś dziwną historię, z której nic nie

rozumiem, ale przyznaję, że zdołał mnie pan zainteresować. Właśnie szukam jakiegoś ciekawego tematu do reportażu. Gdzie chciałby się pan spotkać?

- Proponuję park Łazienkowski. Wie pan, gdzie to jest?

- Oczywiście.

- To świetnie. Za godzinę koło pomnika Szopena. Ja będę w brązowym letnim garniturze i w ciemnych okularach. Noszę raczej długie włosy. A zresztą poznam pana. Ma pan tak charakterystyczną sylwetkę.

- Ali right.

Rolson bez pośpiechu skończył się ubierać, zjadł solidne śniadanie i piechotą poszedł do Łazienek. Wprawdzie wynajął poprzedniego dnia Fiata koloru dojrzałej wiśni, ale w tej chwili nie chciał się zbyt afiszować z tym wozem.

Pod pomnik Szopena trafił bez żadnych trudności. Już zupełnie dobrze orientował się w mieście i to nie tylko w centrum, ale także i w dalszych dzielnicach. Do jego zawodowej techniki należało dokładne zapoznanie się z terenem, na którym miał przeprowadzać akcję.

Mężczyzna w letnim garniturze z brązowego tropiku siedział już na ławce. Spostrzegłszy nadchodzącego Rolsona, wstał i skłonił się uprzejmie. Był wysoki, mocno zbudowany. Pół twarzy zasłaniały mu ogromne, ciemne okulary. Włosy miał długie, ale starannie utrzymane.

- To właśnie ja się z panem umówiłem, Herr Rolson - powiedział siląc się na uprzejmy uśmiech.

Rolson nie wyciągnął ręki na powitanie. Obrzucił młodego człowieka szybkim, badawczym spojrzeniem, zatrzymując wzrok nieco dłużej na jego dolnej wardze, której prawa część była oddzielona głęboką i dość szeroką blizną.

Usiedli.

Młodzieniec w brązowym garniturze poprawił okulary na nosie, strzepnął nie istniejący pyłek ze świeżo odprasowanych spodni i powiedział:

- No więc...

- Właśnie - podchwycił Rolson. - Może pan zechce mnie wreszcie poinformować, w jakiej sprawie chciał pan ze mną rozmawiać.

- W bardzo przykrej sprawie...

- Mianowicie?

- Widzi pan, tak się składa, że byłem przyjacielem dziewczyny, którą pan zamordował.

Rolson wzruszył ramionami.

- Opowiada pan jakieś idiotyczne historie. Ja nikogo nie zamordowałem.

- Nie? - zdziwił się nieco młody człowiek. - A mnie się zdawało, że to pan udusił ją szalikiem. Rozmowa z milicją może być dla pana ogromnie uciążliwa.

Rolson ani drgnął.

- Ja nie zamordowałem tej dziewczyny - powiedział spokojnie.

- W porządku. Może pan zdoła przekonać o tym milicję. Ale widzi pan, ci nasi milicjanci są strasznie podejrzliwi. Wątpię, czy tak od razu panu uwierzą.

- Ile? - spytał krótko Rolson.

- Dziesięć tysięcy dolarów - padła również lakoniczna odpowiedź.

Rolson uśmiechnął się.

- Straszna tu u was drożyzna.

- Dolar stracił na wartości. Dewaluacja.

- To prawda - przytaknął Rolson. - Ale cena wydaje mi się nieco wygórowana. Może mi pan udzieli jakiegoś rabatu przy transakcji gotówkowej.

Młodzieniec w brązowym garniturze machnął ręką.

- Niech już będzie osiem tysięcy.

- Ali right - powiedział po krótkim namyśle Rolson - zgadzam się. Ale jak zrobimy z gwarancją?

- Z jaką gwarancją?

- Niech się pan nie obraża, ale business is business. Muszę mieć gwarancję, że po wpłaceniu wspomnianej kwoty nie zażąda pan nowej raty po upływie pewnego czasu.

- Dam panu słowo honoru.

- W obecnych czasach słowo honoru nie jest notowane na giełdach światowych. Dewaluacja. Ja muszę mieć gwarancję bardziej konkretną.

- Jak pan to sobie wyobraża? Rolson pomyślał chwilę.

- Mam pewną propozycję. Napisze mi pan pokwitowanie na osiem tysięcy dolarów z wymienieniem przysługi, za którą pan otrzymał ode mnie te kwotę.

Młody człowiek przeciągnął dłonią po włosach.

- Sprytnie pomyślane. Czy pan uważa, że ja pójdę na taki numer?

- Jeżeli ma pan lepszą propozycję... - powiedział obojętnie Rolson. - Słucham.

- Pan mi da te osiem tysięcy bez żadnej gwarancji.

- Mylisz się, przyjacielu. Nie dam. A jeżeli sprawa oprze się o milicję, to całą naszą rozmowę dam im do przesłuchania. Pod marynarką mam magnetofon, który w odpowiednim momencie uruchomiłem. Ja będę miał pewne kłopoty, ale i twoja sytuacja nie będzie najlepsza. Nie sądzisz?

- Skurwysyn... - warknął wytworny młodzieniec. Rolson skrzywił się z niesmakiem.

- Nie lubię wulgarności - powiedział.

- No dobra - zdecydował się młody człowiek w brązowym ubraniu. - Napiszę ci pokwitowanie. I tak wyjeżdżam do ciotki do Kanady. Pewnie już tu nie wrócę. A ponieważ załatwiamy sprawę po przyjacielsku, możesz mi mówić po imieniu, Ryszard.

- Niejednemu draniowi mówiłem po imieniu, chociaż nie był moim przyjacielem - uśmiechnął się Rolson.

Ryszard puścił mimo uszu tę uwagę.

- Kiedy forsa? - spytał.

- Nie sądzisz chyba, że noszę w kieszeni osiem tysięcy dolarów.

- Więc kiedy?

- Spotkajmy się wieczorem. Może o ósmej.

- Dobrze. Niech będzie o ósmej. Nawet mi pasuje. Gdzie?

- Musimy wybrać jakieś spokojne miejsce, gdzie mógłbyś napisać to pokwitowanie.

- Przyniosę ci gotowe, już napisane. Rolson potrząsnął głową.

- Nie. Chciałbym widzieć, jak będziesz pisał.

- Nie ufasz mi?

- A ty wierzysz w swoją własną uczciwość?

- No, dobra, dobra. Więc gdzie? Możemy pojechać do mnie.

Masz wóz?

- Mam. A gdzie ty mieszkasz?

- W Aninie. To niedaleko. Brat wyjechał na parę dni. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Dobrze - zgodził się Rolson. - Czekam na ciebie przed Hotelem Europejskim, punktualnie o ósmej. Nie będę wchodził do kawiarni. Zaczekam w wozie. Wiśniowy fiat.

Rozstali się na placu Unii Lubelskiej.

Przed wieczorem zaczął padać deszcz. Początkowo niewielki, potem zerwał się wiatr, zawirował chmurami i lunęło potężnie. Ulicami popłynęła woda. Rozgrzany asfalt zaszklął się ciemną powierzchnią.

Rolson przyjechał na spotkanie za pięć ósma. Jego kontrahent zjawił się punktualnie. Miał na sobie jasny płaszcz z szerokim paskiem. W rękę trzymał parasol i rękawiczki. Widać było, że chce zadać szyku wobec cudzoziemca.

Rolson otworzył drzwiczki.

- Wsiadaj.

Ruszyli. Nikt na nich nie zwrócił uwagi. Przejechali Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem i wydostali się na most Poniatowskiego.

- Masz walutę? - spytał Ryszard.

- Oczywiście. A ty masz długopis?

- Znajdzie się coś do pisania.

Obaj nie mieli ochoty do rozmowy. Dopiero kiedy dojechali do Anina, Ryszard powiedział:

- Może teraz dasz mi kierownicę. Tutaj w tych uliczkach trudno trafić.

Rolson zahamował i zamienili się miejscami.

Dom, przed którym się zatrzymali, robił wrażenie starej rudery. Jedyne siatka otaczająca teren była porządna, najwidoczniej niedawno założona.

Po rozmiękłym, błotnistym gruncie dostali się na obrośnięty winem ganek. Ryszard dużym kluczem otworzył drzwi, zapalił w przedpokoju światło i zaprosił gościa do środka.

- Niech pan wejdzie, mister Rolson. Niech się pan czuje jak u siebie w domu. Nie mam pana czym poczęstować, ale kieliszek wódki chyba się znajdzie.

Rolson powiedział, że nie ma ochoty na alkohol. Usiadł na starej, wysłużonej kanapie i rozejrzał się po pokoju. Dawno tu nikt nie sprzątał. Stare gazety, tekturowe pudełka, resztki jedzenia, sznurki, gwoździe, kawałki drutu, różne części garderoby, sznurowadła. Wszystko to w malowniczym nieładzie porzucane było po meblach, które mogłyby zainteresować niejednego antyk wariusza.

Ryszard energicznym ruchem ręki zsunął ze stołu stopy najrozmaitszych gratów, a następnie wyjął z szuflady papier i długopis.

- Mieszkaś tutaj z bratem? - spytał Rolson.

- Tak. Edzio wyjechał do Krakowa. Ma wrócić pojutrze.

- I nikt więcej tu nie mieszka?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Przyszło mi na myśl, że przydałaby się wam tutaj jakaś kobieta.

- To fakt, że cholerny bałagan - przyznał młody człowiek - ale na razie żaden z nas nie ma zamiaru się żenić. A brać gospozię to krępujące. - Przysunął sobie krzesło, usiadł i wziął do ręki długopis. - No więc jak mam napisać?

- Właśnie się zastanawiam, jak to zgrabnie zredagować. - Rolson wyjął z kieszeni paczkę „Winstonów”. Podszedł do stołu. - Zapalisz?

- Chętnie. Co prawda nie palę już chyba od trzech lat, ale jednego przy takiej okazji...

Trzasnęła zapalniczka. Ryszard pochylił się nad chybotliwym płomykiem i nagle poczuł się jakoś dziwnie.

Zapalniczka zrobiła się bardzo mała i poczęła gwałtownie się oddalać. Był zaskoczony. Chciał się podnieść, ale nie miał sił. - Ratunku - wyksztusił z trudem i stracił przytomność.

Wtedy Rolson błyskawicznie wyjął z kieszeni strzykawkę, nałożył igłę i wbił ją w nogę szantażysty. Ostrożnie nacisnął tłok, a po zrobieniu zastrzyku wyjął z nieruchomych palców papierosa, zgasił światło i wyszedł. Błyskawicznie zmienił w wozie numer rejestracyjny, rozejrzał się uważnie dookoła, a nie spostrzegłszy nikogo w pobliżu usiadł za kierownicą i odjechał.

*

Wracali z koleżeńkiego spotkania. Było już po dwunastej. W głowie szumiała wódka, humory „szampańskie”. Z każdą chwilą rosła chęć dokonania czegoś niezwykłego.

- Te, Kazik - powiedział wyższy - może byśmy trochę narozrabiali?

Kazik wzruszył ramionami.

- Wypiłbym jeszcze setę.

- Ale skąd wziąć? - mruknął posępnie amator rozróby. - Wszystko pozamykane, a zresztą nie mamy forsy. Chyba, żebyśmy wstąpili do Ryśka. U niego zawsze jest coś do picia.

- Późno, pewnie już śpi.

- To się obudzi. Obywatelski obowiązek spragnionych kolegów napoić. Chodź, chodź. To przecież blisko, parę kroków. Nie bądź taki delikatny.

Poszli.

- Ciemno. Albo śpi, albo go w ogóle nie ma - powiedział Kazik. - Idziemy do domu.

- Ale chodź. Zobaczymy. Może śpi, a może ma jakąś dziewczuchę.

Weszli na ganek i zastukali do drzwi. Nikt się nie odezwał. Kazik nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Zapalił światło w przedpokoju i chwiejnym krokiem ruszyli w głąb mieszkania.

Towarzysz Kazika przekreślił kontakt.

- Rany boskie!

ROZDZIAŁ VIII

Downar przejrzał bieżącą korespondencję i miał właśnie zamiar zabrać się do napisania paru listów, kiedy do pokoju wpadł podekscytowany Olszewski.

- Co się stało?

- Dostaliśmy wiadomość z Anina, która powinna cię zainteresować. Znaleziono zwłoki mężczyzny z przeciętą dolną wargą.

Downar podniósł się znad papierów.

- Żartujesz.

- Wcale nie żartuję. Przed chwilą był telefon. Jedziemy?

- Oczywiście. Zmobilizuj całą ekipę.

- Już to zrobiłem.

Po upływie dziesięciu minut radiowozy milicyjne pędziły w kierunku mostu Poniatowskiego.

- Kto dzwonił? - spytał Downar.

- Sierżant Matraś.

- Znam go. Rozmawiałeś z nim?

- Tak. Powiedział, że zostali zaalarmowani przez lekarza pogotowia, który stwierdził zgon. Podejrzenie nadużycia narkotyków.

- Nazwisko denata?

- Ryszard Witelski.

- Witelski... Witelski... - powtórzył Downar i potrząsnął głową. - Nic mi to nie mówi. Z niczym mi się nie kojarzy.

W Aninie zastali sierżanta Matrasia i jeszcze dwóch milicjantów.

Downar przywitał się z kolegami i poprosił o zrelacjonowanie faktów.

- No więc tak - zaczął sierżant i odchrząknął - około pierwszej w nocy otrzymaliśmy telefon. Jakiś mężczyzna, trochę chyba na bani, poinformował, że jego kolega zasnął, nie wiadomo czy żyje. Myśleliśmy, że to po jakiejś popijawie.

Kazaliśmy mu dzwonić po pogotowie. Po jakimś czasie, było już chyba po drugiej, a może trzecia, zadzwonił lekarz pogotowia. Powiedział, że stwierdził zgon, że nadużycie alkoholu nie wchodzi w rachubę, że istnieje możliwość nadużycia środków odurzających, czyli narkotyków. Na wszelki wypadek pojechaliśmy na miejsce zdarzenia.

- Lekarz na was czekał?

- Czekał.

- Rozmawialiście z nim?

- Oczywiście.

- Czy mówił, dlaczego zaalarmował milicję?

- Tak jest. Powiedział, że sprawa wydaje mu się trochę podejrzana, że nie można wykluczyć otrucia.

- Trzeba było natychmiast zawiadomić komendę. Sierżant Matraś zmieszał się.

- Było już po trzeciej nad ranem, a właściwie to dochodziła czwarta. Nie chcieliśmy robić takiego alarmu. Zaraz z rana zatelefonowałem.

- No dobra - Downar zwrócił się do doktora Ziemby. - Chciałbym, żeby pan był łaskaw także dokładnie obejrzeć zwłoki.

- Robimy odciski palców? - spytał Olszewskie

- Oczywiście. I to bardzo starannie. Poza tym ślady bieżnika. Wczoraj wieczorem padał deszcz. Powinno to wyjść czytelnie. A teraz chodźmy obejrzeć zwłoki.

Leżały na podłodze koło stołu. Downar przyjrzał się uważnie przeciętej wardze i spojrzął na lekarza, który skończył oględziny i podniósł się z kłeczek.

- No i co?

Doktor Ziemba starannie otrzepał spodnie.

- No cóż... Nie jest wykluczone, że mój kolega z pogotowia miał rację. Nie mogę oczywiście powiedzieć nic pewnego przed sekcją.

Downar pokiwał głową.

- To zrozumiałe. Trzeba jak najszybciej zrobić sekcję. Dziękuję, doktorze.

Przystąpiono do zbierania materiału daktyloskopijnego. Downar kazał zabrać zwłoki i wyszedł przed dom. Rozejrzał się po terenie, a następnie wziął sierżanta pod rękę i pociągnął go w kierunku ławki, która kiedyś, bardzo dawno była pomalowana zieloną farbą.

- Siadajcie. Chciałbym z wami chwilę porozmawiać.

- Tak jest, obywatelu majorze.

- Znaliście denata?

- Poniekąd. Prawdę mówiąc to od jakiegoś czasu mieliśmy ich obu trochę na oku.

- Obu?

- Tak. Bo tu mieszka, to znaczy mieszkało, dwóch braci Witelskich. Ryszard, czyli nieboszczyk, i starszy Edward.

- A gdzie ten Edward?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem go. Może wyjechał.

- Dlaczego mówicie, że mieliście ich na oku?

- Bo to, obywatelu majorze, szumowina. Podejrzane typy. Nigdzie nie pracują. Czort wie z czego

- Bardzo wytwornie to tu nie żyli - powiedział Downar.

- Faktycznie - przyznał sierżant. - Chlew nie mieszkanie. Jak starzy tu byli, wszystko całkiem inaczej wyglądało. Ale ci dwaj to szkoda gadać...

- Jacy starzy? Rodzice?

- Tak. To byli całkiem inni ludzie. Ale matka zmarła, a ojciec wyjechał do Stanów Zjednoczonych, podobno do jakiejś rodziny. Zostali ci dwaj młodzi. O nic tu nie dbali. Ruina.

- Nie wiecie, czym zajmował się zmarły Ryszard Witelski? - spytał Downar.

- Nie mam pojęcia. Ale na mój nos to albo waluta, albo narkotyki, albo nawet i sutenerstwo. Widywałem go czasem z takimi dziewczynami, że nie daj Panie Boże.

- Myślicie, że się narkotyzował?

- Tego nie powiem, bo nie wiem. Wszystko możliwe. Lubił wypić, to fakt. Nieraz go widziałem na dobrej fali.

- Chciałbym pogadać z jego bratem. Gdzie go szukać?

- Diabli wiedzą. Może gdzieś wyjechał. Na noc me wrócił. Może przenocował u jakiejś dziewczyny w Warszawie.

- Przypilnujcie go. Jak się pokaże, to dostawcie mi go do komendy.

- Tak jest, obywatelu majorze. Przypilnuję. Downar wstał z ławki i obciągnął na sobie płaszcz.

- I jeszcze chciałbym was o coś zapytać. Czy oni mają wóz?

- Teraz nie. Mieli kiedyś syrenę, ale zdaje się, że ją gdzieś rozwalili, a może sprzedali. Dobrze się nie orientuję. Podszedł do nich Olszewski.

- Widziałeś ten stół? - spytał.

- Oczywiście. I papier widziałem, i długopis. Robi to na mnie wrażenie, jakby facet miał zamiar coś napisać, list, testament, podanie albo anonim.

- Jestem przekonany, że facet zgarnął te wszystkie rupiecie ze stołu na podłogę - powiedział Olszewski - żeby sobie zrobić miejsce do twórczej działalności. Zanim jednak zdążył coś napisać, wykorkował.

- Mógł ktoś zabrać to, co on napisał - zauważył Downar.

- Podejrzewasz morderstwo? Downar wzruszył ramionami.

- Nic nie podejrzewam. Rozważam rozmaite ewentualności. A w ogóle nie interesowałbym się tą sprawą, gdyby nie ta warga. Zresztą to, co mówił listonosz o tym młodym człowieku, pasuje tutaj. Niewykluczone, że morderstwo na Mokotowie łączy się w jakiś sposób z tymi dwoma braćmi. Musimy możliwie jak najszybciej odnaleźć Edwarda Witelskiego.

*

Sekcja zwłok przeprowadzona z drobiazgową dokładnością, wniosła do sprawy nowe elementy. Okazało się, że Ryszard Witelski zmarł na skutek ogromnej dawki morfiny. Stwierdzono również, że zastrzyku dokonano przez spodnie, o czym świadczyły mikroskopijne drobiny wełny przyssane w miejscu ukłucia oraz minimalna ilość krwi na wewnętrznej stronie nogawki. Denat był bardzo dobrze zbudowanym mężczyzną, silnym, atletycznie i proporcjonalnie umięśnionym.

Downar w zamyśleniu podrapał się po głowie. - No i co ty o tym sądzisz?

Olszewski, który w skupieniu przeglądał materiał daktyloskopijny, przerwał swą pożyteczną działalność i powiedział:

- Sądzę, że narkoman zazwyczaj nie bywa takim okazem zdrowia, a poza tym trochę trudno sobie wyobrazić, żeby we własnym domu wstrzykiwał sobie morfinę przez spodnie.

- O właśnie - podchwycił z ożywieniem Downar - to mało prawdopodobne. Taką rzecz może zrobić człowiek ogarnięty głodem morfinowym, będąc na przykład w kawiarni albo w jakimś innym miejscu publicznym.

- Z tego by wynikało, że ktoś zaaplikował Witelskiemu śmiertelną dawkę.

Downar z roztargnieniem spojrzął na porucznika.

- Tak... Chyba można by zaryzykować taką hipotezę, chociaż... To był silny, muskularny mężczyzna, wysoki, barczysty. Osiemdziesiąt osiem kilo wagi. Jak takiemu zastrzyknąć stężoną morfinę? Żadnych śladów gwałtu. Nie został ogłuszony. Nic nie wskazuje na to, żeby doszło do walki między mordercą a ofiarą. Witelski nie był pijany. Więc co? Środek nasenny? Sekcja by coś wykazała.

- Chloroform - podsunął Olszewski. Downar skrzywił się sceptycznie.

- Wątpliwe. W jaki sposób takiego chłopa uśpiasz chloroformem? Ale oczywiście jeżeli przyjmujemy, że zastrzyk zrobiono w celach zbrodniczych, to wchodzi w grę jedynie jakiś środek oszalamiający. Chyba, że dwóch krzepkich drabów trzymało go, a trzeci wbijał igłę, ale to mało prawdopodobne. Jakies ślady walki jednak by zostały.

- Czy jesteś skłonny łączyć tę sprawę z morderstwem na Mokotowie? - spytał Olszewski.

- W tej chwili jest tylko sprawa tej wargi, na którą zwrócił uwagę listonosz - odparł Downar. - Trzeba by porównać materiał daktyloskopijny. Zdaje się, że przerwałem ci zajęcie.

- Zgadza się.

- Wobec tego kończę naszą pogawędkę. Pracuj dalej, a jak natrafisz na coś interesującego to nie ukrywaj tego przede mną.

Olszewski wrócił do powiększonych zdjęć odcisków palców, Downar zaś usiadł za biurkiem i zagłębił się całkowicie w lekturze protokołów, raportów i zeznań świadków.

Zadzwonił telefon. Downar podniósł słuchawkę.

- Tak, tak, oczywiście. Dawajcie go tu. Znalazł się taksówkarz - zwrócił się do Olszewskiego. - Nie przeszkadzaj sobie. Ja z nim pogadam.

Był średniego wzrostu, dosyć tęgi. Dobiegał zapewne sześćdziesiątki. Włosy miał siwe, rzadkie, natomiast krótko przystrzyżone wąsy były gęste i podejrzanie kruczoczarne.

Downar wskazał krzesło.

- Proszę, niech pan siada. Taksówkarz usiadł i odsapnął.

- Ja właśnie w sprawie tego ogłoszenia. To znaczy ogłoszenia i zawiadomienia... Przeczytałem w „Życiu Warszawy”, usłyszałem przez radio, zobaczyłem w telewizji... No to sobie pomyślałem, że powinienem przyjść tutaj. Bo jeżeli można pomóc milicji, to właściwie dlaczego nie?

- Bardzo to ładnie z pańskiej strony - uśmiechnął się życzliwie Downar. - Czy mógłby pan podać swoje imię i nazwisko?

- Rzecz jasna. Eustachy Pawłowski.

- Pan jeździ taksówką?

- Jeżdżę. Warszawa stary grat. Chyba zrezygnuję bo już nie mam zdrowia do tych remontów. Zresztą i paliwo teraz tak skoczyło, że się nie kalkuluje. A jeszcze do tego podatek podnieśli. Sprzedam grata za byle co i wezmę się do czego innego. Może jaki warsztat założę, ale to też nie interes.

Downar cierpliwie wysłuchał tego przemówienia, nie chcąc zrazić swego rozmówcy. Wreszcie jednak udało mu się wtrącić pytanie:

- Co pan nam chciał zakomunikować, panie Pawłowski?

Taksówkarz odchrząknął.

- No, że tego... właśnie odwozłem wtedy na Narbutta pasażera...

- To znaczy kiedy? Pamięta pan dzień, datę?

- Skądże. Tylu pasażerów wożę... W jaki sposób mógłbym pamiętać, kiedy i kogo gdzie zawiozłem. Owszem, pamiętam,

że na Narbutta, ale kiedy to było, to w żaden sposób nie powiem. Wiem tylko, że to był jakiś cudzoziemiec. Gadał ze mną po niemiecku, a ja szwabską mową rozumiem, bo w czasie wojny u bauera pracowałem.

- Jak wyglądał ten pasażer? - spytał Downar.

- Elegancki gość. Wysoki, ładnie ubrany, przystojny, nosił ciemne okulary.

- Miał bagaż?

- Bagaż? Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... - Taksówkarz pogładził się po czarnych wąsikach. - Chyba miał. Chwileczkę... Ja na bagaż pasażera zawsze zwracam uwagę. Tak z przyzwyczajenia. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to miał taką niewielką, płaską walizeczkę. Jak to teraz modne.

- Poznałby pan tego człowieka?

- Bardzo wątpię. Wieczór był. Ciemno. Ciemne okulary. Chyba bym go nie poznał.

- Czy w ostatnich dniach zawoził pan kogoś na Narbutta?

- Nie. Nie pamiętam, żebym miał kurs w tamtym, kierunku.

Na tym rozmowa się skończyła. Downar zanotował jeszcze adres Eustachego Pawłowskiego oraz numery jego wozu, pochwalił go za spełnienie obywatelskiego obowiązku i na pożegnanie uściśnął twardą, spracowaną dłoń.

- Niewiele nam to daje - mruknął wracając do swoich papierów.

- Ja natomiast mam dla ciebie interesującą wiadomość - uśmiechnął się z triumfalną miną Olszewski.

- Co takiego?

- Odcisk palca wskazującego, pozostawiony na czarnej walizeczce jest identyczny z odciskiem palca wskazującego, znalezionym na poręczy kanapy w Aninie.

- Bomba! - wykrzyknął Downar. - To znaczy, że już teraz bez żadnych wątpliwości łączymy te dwie sprawy. Chyba, że byłby to jakiś niezwykle przypadek.

- Ten pokój w Aninie robił takie wrażenie, jakby bardzo dawno nie był sprzątny. Linie papilarne na poręczy kanapy mogły się dość długo przechować.

- Oczywiście - zgodził się Downar. - Nie ma to jednak większego znaczenia. Najważniejsze jest to, że obie sprawy łączy postać właściciela czarnej walizki. Warto by zrobić chociażby pobieżny przegląd cudzoziemców przebywających obecnie w Warszawie.

- Bardzo wielu naszych rodaków mówi dobrze po niemiecku - zauważył Olszewski. - Tą taksówką mógł jechać Polak, który chciał uchodzić za cudzoziemca.

Downar pokiwał głową.

- Nie można oczywiście wykluczyć takiej ewentualności. Ale taksówkarze na ogół mają dobre oko, na kilometr poznają zagranicznego gościa.

*

Nazajutrz pojawił się w komendzie sierżant Matraś.

- Doholowałem Edwarda Witelskiego, obywatelu majorze - oznajmił z dumą.

- Gdzie on jest?

- Czeka na korytarzu. - No to dawajcie go tu.

Edward Witelski, tak samo jak jego brat, był roslym, mocno zbudowanym mężczyzną. Nie nosił jednak długich włosów. Był ostrzyżony na jeża. Twarz mocno zarysowana, kwadratowa, miała w sobie coś bardzo niesympatycznego. Była to twarz człowieka bezwzględnego, zdolnego do czynów brutalnych, pozbawionego wszelkich skrupułów.

- Pan nazywa się Edward Witelski? - spytał Downar.

- Tak się nazywam. Pan przecież wie. Downar puścił mimo uszu agresywny ton.

- Pan oczywiście wie o śmierci brata.

- Wiem.

- Co pan o tym myśli?

- Nic nie myślę. Ryszard nie żyje i to wszystko.

- Pański brat zmarł na skutek przedawkowania morfiny.

Milczenie.

- Czy brat był morfinistą?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Mieszkał pan przecież razem z nim.

- Mieszkałem. I co z tego?

- Chyba by się pan orientował, gdyby pański brat używał narkotyków.

- Nie wtrącałem się do tego, co robił mój brat. Downar uważnie spojrzał w wąskie, ciemne oczy o twardym wyrazie.

- Istnieje podejrzenie - powiedział wolno - że pański brat został zamordowany.

Żadnej reakcji.

- Komu mogło zależeć na śmierci pańskiego brata? Jak pan sądzi?

Witelski wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Może pan jednak kogoś podejrzewa?

- Nikogo nie podejrzewam.

- Nie jest pan zbyt rozmowny - stwierdził Downar.

- Nie jestem - zgodził się Witelski.

- Odnoszę takie wrażenie, że nie przejął się pan specjalnie śmiercią brata.

Znowu wzruszenie ramion.

- Każdy musi kiedyś umrzeć. Jeden wcześniej, drugi później.

- Czym się zajmował pański brat?

- Grywał na wyścigach.

- Pytam o jego zawód. Witelski podniósł brwi do góry.

- Zawód? Hm... Jakby to powiedzieć...? Śpiewał kiedyś w zespole, ale już dobrych kilka lat, jak to rzucił. Podobno nie miał ani głosu, ani słuchu. Ja się na tym nie znam.

- No dobrze - Downar nie dawał za wygraną - ale co robił pański brat? Z czego się utrzymywał?

- Ja się do cudzych spraw nie wtrącam - w głosie Edwarda Witelskiego zabrzmiało zniecierpliwienie. - Nie interesowałem się tym, z czego się mój brat utrzymywał. Jakoś żył.

- A pan z czego się utrzymuje? - padło niespodziewane pytanie.

Witelski trochę się spieszył.

- Ja... różnie. Trochę handluję... trochę pośredniczę.

- Czym pan handluje? - naciskał bezlitośnie Downar.

- Raczej pośredniczę. Kupno, sprzedaż nieruchomości. Tak dorywczo. A poza tym... A poza tym piszę wiersze.

Downar nie ukrywał zdziwienia.

- Pisze pan wiersze?

- Właśnie. Bo ja... jestem poetą. Kiedyś nawet napisałem tekst piosenki. Widzę, że jest pan zaskoczony.

- Trochę - przyznał szczerze Downar.

Coś jakby cień uśmiechu przemknęło przez twarz Witelskiego.

- Już mi to niejedną mówił, że nie wyglądam na poetę.

Downar nie podtrzymywał tego tematu.

- Co pan robił przez ostatnich parę dni? - spytał.

- Jeździłem do Krakowa, do ciotki. Jeżeli panu chodzi o moje alibi, to mam pierwszorzędne. Mucha nie siada. Przy okazji chciałbym pana zapewnić, że nie zabiłem brata.

- Wcale pana o to nie podejrzewam - powiedział Downar. - I prawdę mówiąc trochę się dziwię, że pan w ten sposób podkreśla swoją niewinność. Zaprosiłem pana do nas na rozmowę, sądząc, że pomoże nam pan w znalezieniu ewentualnego mordercy brata. Niestety, pańskie zachowanie wydaje mi się trochę dziwne.

- Dlaczego dziwne?

- Ponieważ nie odniosłem wrażenia, żeby tragiczna śmierć brata wzbudziła w panu jakieś żywsze uczucia, jakiegokolwiek zainteresowanie.

Witelski skrzywił się pogardliwie.

- Czego pan właściwie chce ode mnie? Żeby tu płakał rzewnymi łzami?

- Tego od pana nie wymagam. - Downar robił wrażenie zmęczonego. - Chciałem po prostu, żeby pan chociaż trochę zorientował mnie w środowisku pańskiego brata, w sposobie życia, zarabiania pieniędzy.

Witelski poprawił się na krześle i wyjął paczkę papierosów.

- Można zapalić?

- Proszę.

- A pan?

- Dziękuję. Ja nie palę.

Witelski zapalił, zaciągnął się głęboko, wypuścił dym nosem i powiedział:

- Będę z panem zupełnie szczery, panie majorze. To prawda, że mieszkałem razem z bratem, ale nasze stosunki nie były zbyt dobre.

- Dochodziło między wami do jakichś krótkich spięć?

- I to dosyć często.

- Na jakim tle były te nieporozumienia?

- Najczęściej chodziło o forszę. Ryszard dużo wydawał, grał, ale przeważnie karta mu nie szła. Pożyczał ode mnie. Nie oddawał. Miał pretensje, że me chcę mu pożyczać tyle, ile mu potrzeba. I w ogóle...

- W jakim nastroju był ostatnio brat?

- Raczej chyba w dobrym. Spodziewał się większych pieniędzy. Mówił nawet przed moim wyjazdem do Krakowa, że niedługo odda mi wszystko, co jest winien, żebym miał trochę cierpliwości.

- Spodziewał się pieniędzy? - zainteresował się Downar.

- Tak. Twierdził, że lada dzień będzie bogatym człowiekiem.

- Czy nie wspominał coś na temat źródła tych niespodziewanych dochodów?

- Nie. Pytałem, go ale nic nie chciał powiedzieć.

- Co pan może powiedzieć o niejkiej Monice Rodeckiej?

Witelskiego najwyraźniej zaskoczyło to niespodziewane pytanie.

- Monika Rodecka? Nie, nie słyszałem takiego nazwiska. Nie znam.

- Pański brat nigdy nie wspominał o tej dziewczynie?

- Nie. W ogóle nie rozmawialiśmy o dziewczynach. Nie było zwyczaju.

Downar doszedł do przekonania, że niczego więcej się nie dowie. Pożegnał Edwarda Witelskiego. Po chwili do pokoju wszedł Olszewski.

- No i co? Dogadałeś się z tym facetem? Downar machnął ręką zniechęcony.

- Diabła tam. Można ochrypnąć, zanim człowiek wydobędzie z takiego typu jakąś sensowną informację.

Dowiedziałem się tylko tyle, że Ryszard Witelski spodziewał się większej forsy.

Olszewski usiadł i nalał sobie wody do szklanki.

- Jeżeli łączymy zamordowanie tej dziewczyny ze sprawą w Aninie, to może mamy do czynienia z szantażem. Co o tym myślisz?

- To nie jest wykluczone - przyznał Downar. - Witelski wiedział, kto jest mordercą tej dziewczyny, szantażował faceta i został przez niego zlikwidowany za pomocą strzykawki.

- Uważasz jednak, że to mężczyzna?

- Chyba tak. Dziewczyna została uduszona szalikiem. Kobiety raczej nie stosują takiej techniki. Na to trzeba dużej siły. Mogłaby wchodzić w grę jakaś sportsmenka, ale to mało prawdopodobne.

- Zastanawia mnie ta czarna walizeczka - powiedział Olszewski. - Ten szczegół nie daje mi spokoju. Bo jak to sobie właściwie wytłumaczyć? Facet przychodzi zlikwidować dziewczynę i przynosi ze sobą walizkę, a w niej przybory do charakteryzacji. Po co?

- Chwileczkę - przerwał Downar, machnąwszy energicznie ręką. - Dlaczego właściwie upieramy się przy tym, że właściciel czarnej walizki jest mordercą? A jeżeli przyszedł w odwiedziny i zastał już trupa? Przestraszył się i uciekł.

Olszewski słuchał uważnie.

- To możliwe - powiedział. - Należałoby ustalić, czy Witelski znał właściciela czarnej walizki.

ROZDZIAŁ IX

Długie, bezsenne noce. W ciemnościach wszystko wydaje się straszniejsze, bardziej skomplikowane, beznadziejne. Zapalała światło, chodziła po mieszkaniu, próbowała czytać. Wszystko na nic. Dręczący niepokój nie opuszczał jej ani na chwilę, dręczył, prześladował, zamieniał się w obsesję, od której nie było ucieczki. Zasypiała nad ranem po podwójnej dawce środka nasennego.

Budziła się około południa, zmęczona, z bólem głowy, w stanie skrajnej depresji.

„Co się stało? Dlaczego nagle zniknął? Dlaczego me dał znać? Dlaczego się nie odezwał? Dlaczego nie zadzwonił?”

Parę razy dziennie telefonowała do hotelu. Z podziwu godną cierpliwością odpowiadano jej, że pan Moderski wyjechał na Wybrzeże, że zarezerwował pokój zapłacił z góry za dwa tygodnie i zostawił część rzeczy. Nie, nie pojechał wozem. Pojechał pociągiem. Wóz jest w naprawie.

Nie chciała myśleć o tym, że może wysłannik pana Marsano wywiązał się ze swej misji i że już nigdy nie zobaczy Pawła. Były chwile, że chciała iść do hotelu „Forum” i rozmówić się z Rolsonem. Wiedziała jednak, że takie posunięcie mogło się dla niej skończyć tragicznie. Rolson nie zawahałby się zlikwidować ją i jeżeli Paweł jeszcze żył, przyspieszyłoby to niewątpliwie planowaną akcję. Opanowała się w ostatnim momencie; nie poszła do „Forum”.

Ktoregoś wieczoru, znajdując się w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego, postanowiła się upić. Włożyła szlafrok, wyjęła z szafy butelkę koniaku i ulokowała się wygodnie na tapczanie. Zaledwie jednak zdążyła wypić parę kieliszków, zadzwonił telefon. Zerwała się.

- Czy pani Nina Gobetti?

- Tak to ja. A kto mówi?

- Moje nazwisko nic pani nie powie. Chciałbym się z panią zobaczyć w sprawie Pawła - niski, dźwięczny głos brzmiał w słuchawce spokojnie, beznamiętnie.

- Czy Paweł... czy Paweł żyje?

- Chciałbym się z panią zobaczyć w sprawie Pawła. To ważne.

- Na miłość boską! Niechże pan mówi! Czy on żyje?

- Żyje, ale sytuacja jest skomplikowana. Czy mógłbym się z panią zobaczyć?

- Tak, tak... oczywiście.

- Kiedy?

- Zaraz.

- Dobrze. Będę u pani za pół godziny. Zaczęła gorączkowo krzątać się po mieszkaniu.

Schowała koniak i kieliszek, zdjęła szlafrok, włożyła szarą, wełnianą sukienkę, uczesała się, pospiesznie poprawiła makijaż.

Dokładnie po upływie pół godziny odezwał się dzwonek. Pobiegła do przedpokoju. Serce biło jej gwałtownie.

W drzwiach stał wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Miał krótko przystryżoną, spiczastą bródkę i małe wąsiki leciutko podkreślone do góry. Wyglądał na eleganta z końca dziewiętnastego wieku. Wrażenie to potęgowała jeszcze niemodna marynarka, żabot oraz bambusowa laseczka ze srebrną gałką.

Przybysz uklonił się z przesadną uprzejmością i spytał:

- Czy mam przyjemność z panią Gobetti?

- Tak, to ja. Proszę, niech pan wejdzie.

- Dziękuję. Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Emil Weissberg. - Mówił poprawnie po polsku, ale w jego głosie można było wyczuć cudzoziemski akcent.

Wyciągnęła rękę, którą on ucałował z namaszczeniem.

- Miło mi panią poznać.

Ruchem ręki zaprosiła go do mieszkania. Niecierpliwiła się. Chciała jak najprędzej dowiedzieć się czegoś o Pawle. Opanowała się jednak. Z pozorną obojętnością spytała:

- Napije się pan czegoś? Może odrobinę koniaku? Poprosił o koniak, usiadł i rozejrzał się po dużym, ładnie urządzonej pokoju.

- Bardzo interesujące ma pani płótna - powiedział, wskazując na zawieszone obrazami ściany. - Ciekawe, czy to wszystko oryginały?

Nie podjęła tego tematu.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś o Pawle.

- A tak. Oczywiście. Właściwie w tym celu tutaj przyszedłem. - Delikatnie umoczył wargi w złocistym płynie, przymrużył oczy i wolno poruszył językiem. - Zupełnie niezły koniak, zupełnie niezły.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o Pawle - powtórzyła. Zaczynała tracić zimną krew.

Pan Emil Weissberg odstawił kieliszek, pogładził końcami palców swą spiczastą, wypiełgnowaną bródkę i przez chwilę spoza okularów w złotej oprawie przyglądał się siedzącej naprzeciw niego kobiecie.

- Jestem serdecznym przyjacielem Henryka Moderskiego - powiedział wreszcie - i znalazłem się w bardzo kłopotliwej sytuacji.

- Ale co z Pawłem? Żyje?

- Proszę się uspokoić. Pani przyjaciel żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

- Co się z nim dzieje? Gdzie on jest?

- Znajduje się w bezpiecznym miejscu. Nic mu nie grozi. Przynajmniej na razie. Jak dalej rozwinie się sytuacja, trudno przewidzieć. Dużo zależy od pani.

- Ode mnie?

- Tak. Jeżeli pani pozwoli, to chciałbym zadać parę konkretnych pytań. Może pani oczywiście nie odpowiedzieć na żadne z nich. Ale jeżeli zależy pani na życiu tego młodego człowieka...

- Niech pan pyta.

Znowu sięgnął po kieliszek i przyglądał mu się pod światło, jakby jego zawartość była dla niego w tym momencie rzeczą najważniejszą.

- Czy pani przyjechała do Polski, aby zlikwidować Henryka Moderskiego?

Żachnęła się.

- Co panu przychodzi do głowy? Nic podobnego.

- I pani nie jest agentką pana Marsano?

- Nie jestem i nigdy nie byłam.

- Ale przyjechała tu pani w związku z Moderskim?

Zawahała się. Nie miała ochoty o tym mówić. Musiałaby odkryć karty.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

- Pani wahanie wystarcza mi za odpowiedź. Pani zapewne bardzo dobrze zna Henryka Moderskiego?

- Wcale go nie znam.

- Nie? - zdziwił się szczerze. - To skąd pani wie, że on ma bliźnię pod prawą łopatką?

- Otrzymałam taką informację.

- Od kogo?

- To już moja sprawa.

- Nie nalegam. Zapewne się pani orientuje, że Moderskiemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Wiem. I dlatego podstawił tego nieszczęśliwego chłopaka, Pawła. To miała być przynęta.

Emil Weissberg z powagą potrząsnął głową.

- To niezupełnie tak wyglądało. Paweł został rzeczywiście podstawiony, ale tylko po to, żeby wywabić z ukrycia mordercę działającego z polecenia pana Marsano. Tego człowieka nie znam ani ja, ani Moderski, co komplikuje jeszcze bardziej sytuację. Musi pani przyznać, że niełatwo jest bronić się, nie wiedząc jak wygląda prześladowca.

- Co macie zamiar zrobić z Pawłem?

- W tej chwili jest pod dobrą opieką, a jego dalsze losy całkowicie zależą od pani.

- To znaczy?

- Proszę mi wybaczyć, signora Gobetti, ale ciągle jeszcze nie mam pewności, czy pani nie bierze udziału w akcji zmierzającej do zlikwidowania Henryka Moderskiego.

- Jak mam pana o tym przekonać?

- W takich wypadkach jedynym przekonującym argumentem jest szczerza rozmowa.

- Jestem z panem szczerza.

- Może niezupełnie. W dalszym ciągu nie wiem, w jakim celu przyjechała pani do Polski i dlaczego interesuje się pani Moderskim. Nie chcę być brutalny, ale jeżeli nie wyjaśnimy sobie tych spraw, pani przyjaciel może rozstać się z tym światem. To byłaby bardzo przykra ostateczność, ale...

Jednym haustem opróżniła swój kieliszek. Czują instynktownie, że to nie są czcze pogrożki, że Pawłowi rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo.

- Powiedzmy, że działałam z ramienia konkurencji pana Marsano.

- To brzmi przekonująco - uśmiechnął się życzliwie Weissberg. - Prawdę mówiąc nie bardzo wierzyłem, żeby pani mogła być zawodowym mordercą. A teraz dosyć zasadnicze pytanie. Czy pani wie, kto tutaj przyjechał z ramienia pana Marsano?

- Wiem. Niejaki Rolson. Amerykanin. Zawodowy killer.

*

Moderski rozcharakteryzował się w wozie. Od kilku dni jeździł wynajętym fiatem. Doszedł do wniosku, że musi mieć środek lokomocji. W jego sytuacji szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce było nieodzowne.

Mieszkał teraz w Jabłonie, gdzie wynajął pokój w jednorodzinny domku. Gospodarze, ludzie starsi, spokojni, nie wtrącali się do życia swego lokatora. On hodował króliki i gołębie, ona zajmowała się domem i pielęgnowała ogródek. Byli sympatyczni, mówili niewiele i prawie się ich nie zauważało. Moderskiemu bardzo odpowiadało to mieszkanie, ale myślał już o przeprowadzce. Miał duże doświadczenie w rozgrywkach gangsterskich i wiedział doskonale, że jedynie częsta zmiana adresu może mu dać jakieś szanse.

Od pewnego czasu zaczął ulegać nastrojom depresyjnym. Źle sypiał, stracił apetyt, stał się pobudliwy i przewrażliwiony. Rola zwierzyny, ściganej przez bezimiennego myśliwego, wyczerpywała go nerwowo. Co innego stawić czoła

konkretnemu niebezpieczeństwu, a co innego bać się własnego cienia, w każdym przypadkowo spotkanym przechodniu widzieć swego mordercę. Pocieszała go jedynie myśl, że Marsano na pewno pragnie za wszelką cenę odzyskać te dokumenty, a w takim razie jego wysłannik musi nawiązać osobisty kontakt ze swą ofiarą.

Teraz sytuacja zmieniła się na jego korzyść. Natychmiast po rozmowie z Niną Gobetti zadzwonił z automatu do hotelu „Forum”, prosząc o połączenie z panem Rolsonem. Odpowiedziano mu, że pana Rolsona nie ma w pokoju, wyszedł na miasto.

Teraz pojawiły się różne wątpliwości. Czy signora Gobetti mówiła prawdę? Czy rzeczywiście pracuje dla konkurencji Marsano? To było prawdopodobne, ale nie musiało być prawdziwe. Może działa w porozumieniu z Rolsonem? A może Rolson w ogóle nie ma nic wspólnego z tą sprawą? Może jest tylko nic nie znaczącym figurantem, za którym kryje się właściwy „killer”?

Przez parę następnych dni Moderski zastanawiał się nad rozpracowaniem Rolsona. Gra trudna i niebezpieczna. Najmniejsze potknięcie groziło katastrofą. Nie można było mieć złudzeń, że signor Marsano wysłał w ślad za swoim byłym sekretarzem pierwszorzędnego fachowca i że nie żałował pieniędzy na to, żeby robota wykonana została precyzyjnie.

Przede wszystkim należało sprawdzić Rolsona, upewnić się co do jego roli w tej sprawie. Ale jak się do tego zabrać? Nawiązać z nim osobisty kontakt? Bardzo ryzykowne. Ciekawe, co on może wiedzieć o swojej ofierze? Ma dokładny rysopis, jakąś starą fotografię, wie o tej bliźnie. I co więcej? Właściwie nic. Szuka zupełnie po omacku. Jeszcze nie trafił na ślad. Rozwinąłby już do tej pory jakąś akcję. Nawiązałby kontakt. A tu nic... zupełna cisza.

Może zaatakować frontalnie? Zatelefonować i umówić się z facetem mając pod pachą odbezpieczony pistolet? Moderskiemu krew uderzyła do głowy. Lubił niebezpieczne imprezy, przepadał za hazardem. Był już gotów ładować pistolet i biec do „Forum”. Zreflektował się jednak. Takie

posunięcie należało obmyśleć z najdrobniejszymi szczegółami, przewidzieć wszystkie ewentualne reakcje przeciwnika. Głupia strzelanina nie rozwiązywała sprawy. Więc co? Czekać? Jak długo można występować w charakterze tropionej zwierzyny? Z każdym dniem stan nerwów będzie się pogarszał. Ręka stanie się mniej pewna.

Wypił szklanekę soku pomarańczowego i wyszedł przed dom. Pan Kruszecki pracowicie przycinał żywopłot.

- Dzień dobry. Staruszek obejrzał się.
- A, dzień dobry. Dawno pana nie widziałem.
- To prawda. Jakoś się rozmijamy.
- Podróżuje pan?

- Tak... trochę. Aha... dobrze, że pana spotkałem. Bardzo mi się tu miło u państwa mieszka, ale chyba będziemy musieli się rozstać.

- O! - zdziwił się starszy pan - okolica nie odpowiada?

Moderski uśmiechnął się.

- Okolica bardzo mi się podoba. Nie o to chodzi. Po prostu mój kuzyn zaprosił mnie do siebie i chciałbym pojechać na jakiś czas do niego, pod Nowy Targ.

- Kiedy chciałby się pan wyprowadzić?

- Za kilka dni. Nic pilnego. Może w końcu przyszłego tygodnia.

- Szkoda, wielka szkoda - Kruszecki frasobliwie pokręcił głową. - Czuliśmy się z panem bezpieczniejsi.

- Bezpieczniejsi?

- Tak. Bo widzi pan... grożą nam. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego, ale...

- Kto państwu grozi?

- Tutejsi chuligani. Chyba nie warto nawet o tym mówić.

- O cóż chodzi tym chuliganom?

- Kiedyś nakryłem ich, jak okradali kiosk. Dałem znać milicji. Zarządzili konfrontację. Poznałem tych opryszków. Bo to stąd, z Jabłonny. Wsadzili ich, posiedzieli, a teraz są już na wolności i odgrażają się, że się ze mną porachują. Jak pan tu mieszka, to zawsze raźniej.

- Niech się pan nie obawia - uspokoił Moderski strapionego staruszka - nie odważą się na żadne ekscesy. To by już była recydywa. Poważniejszy wyrok.

Kruszecki skrzywił się z powątpiewaniem.

- Tacy nie zwracają uwagi na wyrok. Im nie zależy, ile czasu posiedzą w więzieniu. Zresztą teraz siedzenie w więzieniu to podobno luksus, czytelnia, telewizja, różne kulturalne rozrywki. Jeść dadzą, ciepło. Czego więcej trzeba takim opryszkom?

- Nie wiem jak to jest. Nie siedziałem w polskim więzieniu - powiedział Moderski i zaraz ugryzł się w język. To sformułowanie „nie siedziałem w polskim więzieniu” nie było zbyt zręczne.

Starszy pan nie zwrócił jednak na to uwagi, albo udał taktownie, że nie spostrzegł mimowolnego potknięcia swego lokatora.

- Więc pan postanowił nas opuścić - powiedział z westchnieniem. - Będziemy oboje z żoną bardzo żałowali. Ale cóż zrobić? Każdy ma oczywiście swoje plany. W przyszłym tygodniu?

- Chyba tak - Moderski pokiwał głową. - Pod koniec przyszłego tygodnia.

- To dobrze, bo my z żoną wybieramy się do Sochaczewa na chrzciny naszego wnuka. Wyjedziemy w sobotę, to znaczy pojutrze, a wrócimy w niedzielę wieczorem.

*

Korzystając z nieobecności państwa Kruszeckich, Moderski przez niedzielę pracował w pocie czoła. Chciał pojeździć po okolicy i znaleźć sobie nową kwaterę. Trzeba było jednak zabezpieczyć dokumenty, którymi trzymał w szachu swojego byłego szefa. Skrytka w samochodzie nie była bezpieczna. Przy sobie także nie mógł nosić tego wszystkiego. Przesadnie wypchana marynarka wyglądałaby podejrzanie.

Początkowo chciał skonstruować schowek w piwnicy, tak jak to zrobił w Komorowie, ale zrezygnował z tego. Mając zamiar zmienić miejsce zamieszkania, nie mógł sobie zbyt komplikować sprawy. Skrytka pod podłogą wydała mu się

właściwsza. Szybko i bez większego hałasu mógł dostać się do swojego „skarbu”.

Złatwił to fachowo. Nawet wytrawny specjalista nie mógłby się domyślić, że pod deskami podłogi coś zostało ukryte. Na to jeszcze dywan i w porządku.

Kruszeccy wrócili w niedzielę późnym wieczorem. Starszy pan był w szampańskim humorze, szeroko rozwodził się nad urokami Sochaczewa i nieustannie wracał do znakomitej nalewki, przyrządzonej przez znajomego się na alkoholach zięcia.

- A jak tam się powodziło naszemu kochanemu lokatorowi?

Moderski powiedział, że przyjemnie spędził weekend w domowym zaciszu, rozkoszując się ciszą i świeżym powietrzem.

- Spokojnie tu było przez ten czas?

- Zupełnie spokojnie. Chuliganów ani śladu.

- Strachy na Lachy - roześmiał się podochocony i bojowo nastrojony emeryt - niech oni się nas boją, a nie my ich. Dobranoc.

Moderski długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał nad swoją sytuacją i nad tym, co powinien przedsięwziąć w najbliższej przyszłości.

Przede wszystkim postanowił zrezygnować z wypożyczonego fiata. Było to dosyć kosztowne, a przy częstej zmianie miejsca zamieszkania niewygodne, nawet niebezpieczne. Klient, który nieustannie podaje inny adres, staje się podejrzany. A nawet gdyby nie zawiadamiał o zmianie adresu, to mogło przyjść jakieś pismo w sprawie wozu i wtedy odpowiedź byłaby jeszcze bardziej podejrzana: adresat nieznany albo wyprowadził się nie wiadomo gdzie. Nie. Stanowczo lepiej kupić sobie używany wóz.

Druga sprawa, która nie dawała mu spokoju, to Anna. Przez wiele lat pracował nad tym, żeby pozbyć się jakichkolwiek uczuć, żeby z nikim nie być związanym i nigdy nie ulegać emocjonalnym odruchom. Uważał, że taki powinien być wizerunek mocnego człowieka i że tylko taki zimny, bezwzględny, nie poddający się żadnym sentymentom osobnik

może do czegoś dojść, czegoś w życiu dokonać. Zresztą obracał się w świecie takich właśnie ludzi.

Nie potrafił jednak przestać myśleć o Annie. Po rozmowach z nią czuł wyraźny niesmak. Pojawiło się coś, co w mowie potocznej można by nazwać wyrzutami sumienia. Nie chciał jednak tego tak formułować. Nie chciał być jednym z tych, którzy ulegają podobnie idiotycznym uczuciom. Tak zwane wyrzuty sumienia to słabość, którą pogardzał, której nienawidził.

Nazajutrz oddał wypożyczonego fiata, kupił „Życie Warszawy” i siedząc w kawiarni zagłębił się w studiowaniu ogłoszeń. Wynotował sobie parę telefonów i poszedł na Poczta Główną.

Szczyście mu sprzyjało. Właścicielka sympatycznie brzmiącego głosu powiedziała, że chce szybko sprzedać mercedesa w dobrym stanie. Cena przystępna.

Moderski nie wahał się. Pojechał na Bielany i po upływie dwóch godzin był właścicielem owego mercedesa. Wóz był rzeczywiście w bardzo dobrym stanie i kosztował stosunkowo niedrogo. Należało tylko przeprowadzić formalności związane ze zmianą właściciela.

Na kogo zarejestrować? Nie miał ochoty robić tego na swoje własne ani przybrane nazwisko. Jak najmniej śladów. To była dewiza, której hołdował od lat, którą wraz z innymi mądrościami życiowymi kładli mu do głowy doświadczeni fachowcy.

Wieczorem zatelefonował do Gdańska. Zastał Annę w domu. Tym razem była serdeczniejsza.

- Cieszę się, Heniu, że zadzwoniłeś - powiedziała. - Co porabiasz?

- Jakoś sobie radzę. Chciałbym się z tobą zobaczyć.

- Chyba to nie będzie takie trudne. Właśnie jutro wybieram się do Warszawy.

- To świetnie - ucieszył się - gdzie się spotkamy?

- Gdzie ci wygodnie.

Pomyślał chwilę. Nie chciał się zanadto afiszować z Anną.

- Umówmy się może na Dworcu Wschodnim. Potem znajdziemy sobie jakieś zaciszne miejsce, żeby spokojnie pogadać.

- Dobrze, ale chyba pojutrze. Jutro będę cały dzień zajęta. Takie tam zawodowe sprawy.

- Tylko bardzo cię proszę żadnych notatek w prasie na mój temat - zażartował. - I muszę się zastrzec, że nie udzielam wywiadów.

- Bądź spokojny. Nie mam takich zamiarów. Przez cały następny dzień Moderski krążył wokół Warszawy w poszukiwaniu nowego lokum. Nie chciał zamieszkać na dalekiej prowincji. W małych miasteczkach ludzie nazbyt interesują się swoimi bliźniami. Poza tym musiał orientować się w posunięciach swego prześladowcy i dlatego nie mógł tracić kontaktu ze stolicą.

I znowu przyszło mu z pomocą ogłoszenie w „Życiu Warszawy”. Mieszkanie na Młocinach. Feliks Wawrzycki, inżynier budowlany, uległ wypadkowi samochodowemu i leżał w szpitalu w Krakowie. Kuracja musiała potrwać kilka miesięcy. Żona postanowiła pojechać do chorego męża i zamieszkać przez ten czas w Krakowie u rodziny. Szukała lokatora, który mógłby od razu wpłacić większą kwotę i który zobowiązałby się podlewać pelargonie.

Moderski powiedział, że owszem, może zapłacić za kilka miesięcy z góry i że będzie podlewał pelargonie. Umowa została zawarta.

Późnym wieczorem wracał do Jabłonny. Postanowił przenocować jeszcze u Kruszeckich, powiedzieć, że wyjeżdża na Podkarpacie i rano przenieść się do nowego mieszkania.

Był zmęczony. Cały dzień za kierownicą, a poza tym te beznadziejne nudne, stereotypowe rozmowy w sprawie wynajęcia lokalu. Mizdrzenie się głupich bab... niechętnie pomrukiwania niezdecydowanych facetów, którzy sami nie wiedza, czy chcą, czy nie chcą wynająć. Wszystko to straszliwie wyczerpujące, wymagające ogromnej cierpliwości i taktu. No... ale wreszcie.

Marzył o ciszy, o kąpielu, o wygodnym tapczanie i lekkiej puchowej kołdrze. Kupił sobie parę książek, ale nie sądził, żeby miał dosyć siły na czytanie. Spać, tylko spać.

Nagle zobaczył w oddali dziwny, czerwony blask, „Co się tam dzieje - pomyślał niespokojnie - czyżby o tej porze palili suche liście?”

Nacisnął gaz i pochylił się nad kierownicą. Bardzo prędko zorientował się, że to nie śmiecie się palą. Pożar.

Straż ogniowa była w akcji, ale niewiele można było zrobić. Domek państwa Kruszeckich płonął jak wyschnięta choinka. Chodziło tylko o to, żeby zabezpieczyć sąsiednie budynki.

Przez chwilę patrzył tępo na rozlaną po niebie lunę. To, co miał przed oczami, było tak nierealne, tak niespodziewane, że wydało mu się, iż siedzi w sali kinowej i ogląda jakiś wojenny film w technikolorze.

Nagle myśli wróciły z gwałtowną siłą: - Dokumenty! Skrytka! Marsano! Santa Madonna!

W pierwszym odruchu chciał wyskoczyć z wozu, biec, ratować, wydobyć z płomieni. Natychmiast jednak ochłonął.

Włączył tylny bieg i wycofał się ostrożnie z terenu oświetlonego pożarem. Nie na rękę były mu rozmowy ze strażakami i z milicją.

Jadąc w kierunku Warszawy odzyskał zimną krew i spokojnie zastanawiał się nad tym zdarzeniem. Doszedł do optymistycznego wniosku, że właściwie nie ma powodu do rozpacz. Kto wiedział, że ukrył te dokumenty oraz wszystkie fotokopie pod podłogą w domku Kruszeckich? Absolutnie nikt. Wobec tego ten pożar nie ma właściwie żadnego znaczenia. W dalszym ciągu signor Marsano pozostaje w jego ręku i w dalszym ciągu „killer” Rolson będzie usiłował odzyskać kompromitujące papiery i zlikwidować niejakiego Henryka Moderskiego. Nic się nie zmieniło. Gra toczy się dalej.

*

Czekał cierpliwie, paląc papierosa. Przyjechał trochę za wcześnie i zdążył już obejrzyć dworzec. Podobał mu się. Wnętrze było funkcjonalne, uwzględniające potrzeby podróżnych. Dużo przestrzeni, dobrze zaopatrzony bufet,

kioski, czytelnie, liczne kasy biletowe, pozwalające uniknąć uciążliwych kolejek. Taksówek wprawdzie i tu nie można było dojrzeć, ale to go nie obchodziło. Miał przecież swojego mercedesa, który nut dobrze służył i z którego, jak dotychczas, był - zupełnie zadowolony.

Anna spóźniła się tylko piętnaście minut. Wyglądała bardzo atrakcyjnie. Jasny kostium podkreślał opaleniznę. Kasztanowe włosy spięła szeroką klamrą. W oczach miała wesołe błyski.

- Bellissima signora - powiedział na powitanie - dumny jestem z takiej siostry.

Jej uśmiech nie był pozbawiony zalotności.

- Nawet ty potrafisz powiedzieć coś miłego.

- Wątpiłaś w to?

- Jak dotąd nie zauważyłam u ciebie tego rodzaju skłonności. A może po prostu mało cię znam. Co robimy? Chyba nie będziemy siedzieli na dworcu?

- Jak byś się zapatrywała na wycieczkę za miasto?

- Chętnie. Masz wóz?

- Inaczej nie wysuwałbym tego rodzaju propozycji.

- Dokąd chciałbyś pojechać?

- Gdzieś niezbyt daleko. Choćby do Konstancina. Zdażyłem już wyszperać tam taką małą, zaciszną restauracyjkę. Posiedzimy, pogadamy, napijemy się wina. Co ty na to?

- Nie zgłaszam sprzeciwu.

Wyszli przed dworzec. Wrześniowe słońce wesoło świeciło nad miastem.

- Wspaniały masz wóz - powiedziała, kiedy wsiadali do mercedesa.

- Dostaniesz go ode mnie w prezencie.

- Żartujesz.

- Mówię zupełnie poważnie. Siadaj.

Ruszyli. Motor pracował sprawnie. Moderski prowadził z pozorną nonszalancją, ale wyczuwało się w każdym jego ruchu rutynowanego kierowcę.

Anna uśmiechała się do słońca, do pogodnego dnia, do ludzi, których mijali.

Był trochę zaskoczony jej optymistycznym nastrojem.

- Jesteś w znakomitym humorze - powiedział. Skinęła głową.

- To prawda. Dawno nie byłam taka szczęśliwa.

- Czy możesz mi zdradzić tę tajemnicę, tajemnicę szczęścia?

- Tak. Opowiem ci wszystko, ale gdy już zajedziemy na miejsce. Nie chcę ci przeszkadzać w prowadzeniu wozu.

Na szosie zwiększył szybkość. Minęli Powsin, Klarysew i dojechali do Jeziorny. Potem na prawo.

Moderski zwolnił i ostrożnie wprowadził mercedesa w ogrodzenie. Drewniane ściany parterowego domu rysowały się soczystym brązem na tle zieleni drzew.

Nacisnął hamulec.

- Otóż i sławna „świerkowa” - powiedział z uśmiechem.

Po chwili siedzieli w długiej, wąskiej salce i popijali czerwone wino, zagryzając serem i słonymi paluszkami. Oboje byli już po obiedzie.

Patrzył na Annę wyczekująco. Wreszcie nie wytrzymał i spytał. - I cóż cię wprowadziło w tak znakomity nastrój, że nawet wspomniałaś o szczęściu?

- Joasia - powiedziała cicho, dotykając odruchowo jego dłoni. - Wyobraź sobie, że ona ma talent, prawdziwy talent.

Nie ukrywał zdziwienia.

- Talent?

- Tak. Wszyscy tak twierdzą, profesorowie, fachowcy. Zdawała egzamin i zdała z odznaczeniem. Koniecznie chciała... Ja zawsze... zawsze marzyłam...

- Ale do czegoż ona ma talent? - spytał już trochę zniecierpliwiony.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to do czego? Do muzyki oczywiście. To ty nic nie wiedziałeś?

- A skąd mógłbym wiedzieć? Pokiwała głową.

- Prawda. Jakoś się wtedy nie zgadło. Mówiliśmy o czym innym. Tak, Joasia ma prawdziwy, duży talent do muzyki. Będzie grała na skrzypcach, będzie sławną skrzypaczką. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi brakuje tego, że nie mam żadnego talentu. Bo jeżeli człowiek zwiąże się ze sztuką, z

muzyką z malarstwem, z poezją, to ta sztuka wypełnia mu życie, staje się treścią istnienia. Niepotrzebni są inni ludzie. Nieważny jest niewierny mąż, podły kochanek czy nieszczerzy przyjaciel. Można się obejść bez tego całego balastu, który tak często łamie nam życie, zatruwa każdą chwilę, dręczy. I dlatego od urodzenia Joasi marzyłam, że może... że może ona zostanie obdarzona przez naturę tym, czego ja nie miałam. Chciała grać. Od małego dziecka chciała grać. Z początku nie brałam tego poważnie, bałam się ludzić, ale kupiłam jej dziecinne skrzypce. Zaczęła brać lekcje u jednej starej nauczycielki, która powiedziała, że trzeba Joasię oddać do szkoły muzycznej, że warto. I teraz... Och, Heniu, taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa. Już nawet nie potrafię mieć do ciebie urazy. Już ci wszystko przebaczyłam.

Nie zdołał wzbudzić w sobie entuzjazmu na wieść o utalentowanej siostrzenicy, ale był zadowolony, że Anna jest w dobrym humorze, że przestała się na niego bocyć, mieć pretensje. On sam nigdy nie miał nic wspólnego ze sztuką. Malarstwo, muzyka, literatura były dla niego pojęciami abstrakcyjnymi. Obrazy Picassa - tak, oczywiście, bo za nie można było dostać kupę forsy. Niektórzy piosenkarze także zrobili duży majątek na muzyce. Cenił to, co dawało pieniądze. Ale żeby sztuka sama przez się mogła stać się dla kogoś treścią życia - tego nie mógł zrozumieć i uważał za babską egzaltację. Nie chciał jednak Annie psuć humoru.

- Musisz mi kiedyś pokazać Joasię - powiedział. - Chyba wypada, żebym poznał siostrzenicę.

- Naprawdę? Chciałbyś?

- Oczywiście. Musimy to jakoś zorganizować.

- Ale jak? Przecież nie chcesz występować w roli mojego brata.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę. Wybacz Aniu, ale nie mogę. To mogłoby być niebezpieczne i dla mnie i dla ciebie. Przyjadę któregoś dnia do Gdańska i spotkamy się w kawiarni. Powiesz małej, że to twój znajomy, kolega z redakcji. To przecież nietrudne. A kiedy ty wyjeżdżasz, kto się zajmuje Joasią?

- Ta nauczycielka, u której uczyła się muzyki. Myślę, że zamieszka u nas na stałe. Mam dla mej wolny pokój, a przecież przy moim zawodzie muszę mieć dużo swobody. Często musiałam zrezygnować z wyjazdu na jakiś interesujący reportaż właśnie ze względu na Joasię. Nie miałam jej z kim zostawiać.

- Nie masz zamiaru wyjść za mąż? Roześmiała się.

- O, nie. Na ten numer już mnie nikt nigdy nie namówi. Raz się solidnie sparzyłam. Mam dosyć na całe życie. Ale nie mówmy na te tematy. To mi psuje humor.

Moderski napełnił kieliszki. Przez chwilę milczał, przyglądając się uważnie siostrze.

- Mam do ciebie pewną sprawę - powiedział i umoczył w winie słony paluszek - chciałbym zarejestrować na twoje nazwisko tego mercedesa. Kupiłem go okazjijnie.

- Dlaczego chcesz na mnie zarejestrować?

- Tak byłoby mi wygodniej. Dopóki będę tu siedział, będę nim jeździł, a potem dostaniesz go w prezencie. To dobry wózek. Na pewno ci się przyda.

Potrząsnęła głową.

- Nie mam ochoty.

- Ale dlaczego? Przecież to wygoda. Dziennikarz powinien mieć wóz.

- Nie orientujesz się w naszych stosunkach. U nas samochód ciągle jest luksusem. Jeszcze jakiś maleńki fiacik, ale mercedes... Zaraz zaczęto by mnie wypytywać, skąd wzięłam na to pieniądze. Nie, nie. Wolę już jeździć pociągiem albo autobusem. A poza tym kłopoty z garażem, z remontami. Bardzo ci dziękuję, ale nie skorzystam. Dlaczego właściwie zależy ci na tym, żeby nie rejestrować wozu na swoje nazwisko?

- Bo tak byłoby mi dużo wygodniej. Myślałem, że się zgodzisz.

Machnęła ręką.

- A zresztą dobrze. Zrobię to dla ciebie. Ale potem wozu nie wezmę. Zabierzesz albo sprzedasz. Nie chcę mieć kłopotów.

Pogładził ją po dłoni.

- Dziękuję. Jesteś bardzo kochana.

- Czy wzięłaś pod uwagę, że ja mieszkam w Gdańsku, więc i rejestracja będzie gdańska?

- Oczywiście. Nie mam zamiaru narażać się milicji drogowej, ale w razie czego powiem, że pożyczyłem wóz od znajomej czy od kuzynki. Mam międzynarodowe prawo jazdy. Jestem dewizowym gościem, cenionym turystą. Nie sądzę, żeby były jakieś kłopoty.

- Czy ciągle używasz nazwiska Konecki?

- Oczywiście. Robert Konecki, pamiętaj. Nic się nie zmieniło.

Nagle uderzyła się dłonią w czoło.

- Do licha! Byłabym na śmierć zapomniała.

- O czym mówisz?

- Przecież jakiś starszy gość dopytywał się o ciebie.

Moderski poruszył się niespokojnie.

- Dopytywał się o mnie? Kiedy? Gdzie?

- Był u mnie. Akurat tego dnia, kiedy Joasia wróciła z kolonii.

- Czego chciał ten facet?

- Mówił, że jest ci winien pieniądze, dolary i że chce zwrócić. Zdaje się, że chodziło o pięćset dolarów, a może mówił o tysiącu. Już dobrze nie pamiętam. Chciał nawet zostawić, ale nie wzięłam. Powiedziałam, że nie mam z tobą żadnego kontaktu.

- Jak on wyglądał?

Starszy, siwy. Z brodą i wąsami. Taki trochę staromodny.

- W jakim języku z nim rozmawiałaś?

- Po francusku i po angielsku. Moderski był bardzo poruszony.

- Niech to diabli. Niech to wszyscy diabli!

- Czyżbyś przypuszczał, że to ten twój tajemniczy prześladowca?

- Nie mam wątpliwości.

- Ten bodoty staruszek nie wyglądał zbyt groźnie.

- Jesteś skończona idiotka - syknął przez zęby - nigdy nie słyszałaś o przyprawieniu brody czy wąsów? Przepraszam cię -

dodał łagodniej - ale cholernie się zdenerwowałem. Czy możesz mi powtórzyć, co mówił ten facet?

- Bardzo krótko rozmawialiśmy. Powiedział, że spotkał się z tobą w Antwerpii czy w Amsterdamie, że zabrakło mu pieniędzy i że pożyczył od ciebie pięćset dolarów. To chyba wszystko. Aha, jeszcze powiedział, że prowadzi w Londynie firmę wydawniczą Spieszyłam się na dworzec po Joasię.

- Mówiłaś mu o Joasi?

- Tak. Przeprosiłam go, że nie mogę z nim dłużej rozmawiać, bo muszę jechać po córkę.

Moderski z trudem panował nad zdenerwowaniem.

- Psiakrew! Skąd on się dowiedział, że ty w ogóle istniejesz? Od kogo?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może z książki telefonicznej. Używam panińskiego nazwiska, więc jeżeli szukał Henryka Moderskiego...

- To możliwe.

Moderski zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Z wolna zaczynał się uspokajać. Wiedział aż nazbyt dobrze, że nie wolno mu wpadać w panikę. Spróbował się uśmiechnąć.

- No cóż... Trudno. Źle się stało, ale nic na to nie poradzimy. Nie przejmuj się. Jakoś to będzie. Mam nadzieję, że nic poważniejszego z tej wizyty nie wyniknie. Gdyby się coś działo, gdyby ewentualnie jeszcze raz cię odwiedził, daj mi zaraz znać.

- Gdzie cię mam szukać?

- Pisz na poste restante, na Poczcie Główną. Niezależnie od tego postaram się możliwie często do ciebie telefonować.

Pogodny nastrój zniknął bez śladu. Posiedzieli jeszcze chwilę, a następnie Moderski kiwnął na kelnerkę i poprosił o rachunek.

Kiedy siadali do wozu, Anna powiedziała:

- Aha, przypomniałam sobie. Ten starszy pan to Anglik. Przynajmniej tak mi się przedstawił.

Moderski kiwnął ręką.

- Nieważne. Może Anglik, może Amerykanin. Nie ma znaczenia. Długo jeszcze zostajesz w Warszawie?

- Wracam pojutrze.

Odwiozę cię. Chciałbym jak najszybciej załatwić sprawę tej rejestracji.

*

Tak był zdenerwowany rozmową z Anną, że zapomniał podlać pelargonie. Nie był nawet w stanie cieszyć się nowym, wygodnym mieszkaniem. Leżał na tapczanie, palił jednego papierosa po drugim, i rozmyślał.

Sytuacja była groźna. Nie chciał straszyć Anny, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że zarówno nad nią, jak i nad Joasią zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Znał aż za dobrze ludzi pokroju Rolsona i nie miał złudzeń co do ich metod działania. Każdy chwyt dobry, który prowadzi do celu. Nie można było wykluczyć nawet kidnaperstwa. Nie rozmawiał z Anną na ten temat, bo nie chciał, żeby wpadła w panikę. Zresztą jakiegokolwiek ostrzeżenia nic w tym wypadku nie znaczyły. Jeżeli Rolson postanowi porwać dziecko, to żadne środki ostrożności nie pomogą.

Zerwał się z tapczana i szybkimi krokami zaczął chodzić po pokoju. Decydując się na szantażowanie Marsano, wiedział, że gra jest bardzo niebezpieczna. Nie przewidywał jednak, że w tej grze nie tylko on będzie musiał ponieść ryzyko. Takiej ewentualności zupełnie nie brał pod uwagę. Był urodzonym hazardzistą i uważał, że ma prawo narażać siebie. A tymczasem...

Nie mógł nawet skapitulować. Nie mógł pójść do Rolsona i powiedzieć: „Masz, oddaję ci te dokumenty. Zawieź je do Rzymu, i połóż na biurku przed tym cholernym gangsterem i odbierz swoje honorarium”. Nie miał czym handlować. Nie miał podstaw do żadnych pertraktacji. Kto mu uwierzy, że te wszystkie przeklęte papiery spaliły się w Jabłonnie? Gdyby nawet fotokopie przechowywał gdzie indziej, to i tak Rolson zażądałby oryginałów. A któż zrobiły inaczej na jego miejscu?

Zabrać Annę i Joasię i wywieźć je. Ale gdzie? Jak taką rzecz zorganizować, dokąd jechać, gdzie szukać bezpiecznego

schronienia? Każdy kraj zachodniej Europy był znacznie bardziej niebezpieczny aniżeli Polska. Marsano to potęga. Jego agenty rozsiadane są szeroko. Jego ludzie to doświadczeni fachowcy w sztuce tropienia, torturowania, zabijania.

Zwrócić się o pomoc do milicji? Co to da? Musiałbym im wszystko powiedzieć, wyjaśnić, zdemaskować się. Kimże on w końcu jest? Gangsterem. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jest zwykłym gangsterem, jednym z gangu Marsano. Władze polskie wydałyby go natychmiast władzom włoskim. Nie trzeba także zapominać, że nie tylko Marsano, ale i on niejedno ma na sumieniu.

Otworzył walizkę i wyjął z niej pistolet. Doszedł do wniosku, że to jedyny argument w pertraktacjach z Rolsonem. Postanowił zaraz od jutra zacząć trenować strzelanie, żeby jak najszybciej odzyskać dawną technikę. Na szczęście udało mu się przeszmuglować dość dużą ilość amunicji.

ROZDZIAŁ X

Już pierwsze dwa uderzenia były najzupełniej przekonujące. Jakakolwiek próba oporu nie miała najmniejszego sensu. Leżał pod krzakiem jałowca i machinalnie ocierał krew z twarzy. W głowie czuł nieznośny szum. Postrzępione myśli wirowały bezładnie. Ciągłe jeszcze nie mógł uwierzyć, że ten dobrotliwy starszy pan, który zaofiarował się go podwieźć...

Napastnik pochylił się, chwycił swą ofiarę za kłapy marynarki i szarpnął z taką siłą, że postawił chłopaka na nogi jak manekin. Następnie otwartą dłońią trzasnął go w twarz.

- Spogliati - powiedział rozkazująco.

Paweł posłusznie zaczął się rozbierać.

Domniemany włoski turysta obejrzał nagie plecy i znowu zaczął bić. Robił to z wprawą dobrego fachowca. Uderzenia były bolesne, nawet bardzo bolesne, ale nie pozbawiały przytomności. Chłopak jęczał, próbował się bronić, ale to było zupełnie beznadziejne. Miał do czynienia z człowiekiem, który bezbłędnie wykonywał swój zawód. Chciał uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Tamten dopadł go błyskawicznie i w dalszym ciągu systematycznie pracował pięściami.

- Ty nie jesteś Henryk Moderski.

Paweł stał oparty o drzewo i pluł krwią.

- Nie - wykrztusił.

- Jak się nazywasz?

- Paweł Skawiński.

- Może wolisz rozmawiać po angielsku?

- Wolę.

- Dobrze. Będę mówił wolno, żebyś dokładnie rozumiał, o co chodzi. Odpowiesz na moje pytania czy jeszcze muszę cię zachęcić?

- Odpowiem.

- Ali right. Kto ci kazał udawać Moderskiego?

- Znajomy.
- Jak się nazywa?
- Robert Konecki.
- Gdzie mieszka?
- Nie wiem.

Twarda pięść wylądowała na zmasakrowanej twarzy chłopaka.

- Gdzie mieszka Robert Konecki?
- Nie wiem. Słowa honoru - jęknął rozpaczliwie Paweł - on mi nie mówi. On ciągle zmienia mieszkanie.
- Kim jest ta kobieta, z którą spotkałeś się w Warszawie w hotelu, z którą spałeś?

- Znajoma.
- Jej nazwisko i adres.

Paweł milczał. Nowa porcja ciosów nie odniosła żadnego skutku. Zaciął się. Mogło się zdawać, że już nie odczuwa bólu.

Wtedy „starszy pan” wyjął z kieszeni płaszcza butelkę.

- To jest kwas siarkowy - powiedział spokojnie. - Jeżeli nie powiesz, obleję ci twarz i Oczy także.

Paweł powiedział.

„Turysta” zapisał w notesie nazwisko, adres i numer telefonu Niny. Wiedział, że ten człowiek nie kłamie. Nie był już zdolny nawet do kłamstwa. A zresztą nazwisko Gobetti nie było mu obce. Zdjął okulary odsłaniając zimne, wypłowiałe oczy i uśmiechnął się.

- Uciekłeś. Myślałeś, że cię nie upilnuję. Razza di cretino! Ty i twój przyjaciel jesteście głupszy niż przypuszczałem. Ale mniejsza o to. Czas kończyć naszą rozmowę.

Cofnął się o parę kroków, błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni pistolet i nałożył tłumik.

- Nie! Nie! - krzyknął Paweł.

„Padł strzał. Rolson był pewien, że trafił w serce, ale na wszelki wypadek chciał strzelić jeszcze raz. Nie zdążył. Z głębi lasu rozległy się krzyki i nawoływania dzieci.

W paru skokach dopadł wozu i włączył motor.

Doktor Klimecki kończył myć ręce. Był bardzo zmęczony. Operacja trwała prawie pięć godzin. To nie było łatwe.

Siostra Maria raz i drugi spojrzała na młodego chirurga. Wreszcie spytała cicho:

- Jak pan myśli, panie doktorze...? Klimecki sięgnął po ręcznik i nieznacznie wzruszył ramionami:

- Któż to może wiedzieć? Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Stan ciężki, ale na szczęście kula nie uszkodziła aorty. Młody. Organizm zdrowy. Niewykluczone, że wyżyje... jeżeli nie będzie jakichś komplikacji z kręgosłupem.

- Będziemy robili drugą transfuzję?

- Oczywiście, ale nie zaraz. Za kilka godzin. Na razie potrzymamy go pod tlenem. Czy pani ma dzisiaj nocny dyżur?

- Tak.

- To dobrze. W razie jakichś nieprzewidzianych komplikacji proszę do mnie telefonować.

Na korytarzu czekał cierpliwie porucznik Miśniak.

- No i jak, panie doktorze? Będzie co z niego?

- W tej chwili trudno powiedzieć. Jeżeli przetrzyma noc...

- To strzał z pistoletu?

- Tak. Stosunkowo mała odległość. Kula oparła się o kręgosłup.

- Chcielibyśmy dostać tę kulę i zabrać ubranie, buty, bieliznę, wszystko...

- Bardzo proszę. Niech się pan zwróci do siostry. Do widzenia.

- Jeszcze chwileczkę, panie doktorze - Miśniak zawahał się.

- A jeżeli... a jeżeli ten facet da radę wyżyć, to kiedy ewentualnie można będzie z nim porozmawiać?

- O, jeszcze nieprędko, poruczniku. W tej chwili ten - człowiek znajduje się w stanie agonalnym. Stracił bardzo dużo krwi.

- Dziękujemy, panie doktorze. - Miśniak spojrzął na sierżanta Kamińskiego, który mu towarzyszył. - Zabieramy te ciuchy i do komendy.

Kapitan Grabowski niecierpliwie bębnił palcami po biurku. Był bardzo niezadowolony. Obawiał się, że ta idiotyczna sprawa zepsuje mu cały urlop. Już miał załatwione wczasy w Krynicy, chciał się trochę podleczyć, a tu ni z tego, ni z owego zabójstwo. Niech to jasny szlag. Z wyraźną niechęcią patrzył na siedzących przed nim kolegów, zupełnie jakby oni coś tutaj zawinili.

- Przesłuchaliście te dzieci?

- Jasne - odparł porucznik.

- No i co?

- I nic. Dzieci jak dzieci.

- Słyszały strzał?

- Nie. Zresztą co to ma za znaczenie... Faceta ktoś kropnął z pistoletu, a czy było słyhać czy nie, to chyba nieważne.

- Co jest ważne, a co nie, o tym ja decyduję - Grabowski podniósł głos, ale natychmiast zorientował się, że to bez sensu i dodał łagodniej: - A nauczycielka? Przesłuchiwaliście ją?

- Jasne.

- Widziała coś? Słyszała?

- Słyszała, jak jakiś wóz odjechał.

- Widziała ten wóz?

- Nie.

- Zabezpieczyliście ślady bieżnika na miejscu zdarzenia? - spytał Grabowski.

- Oczywiście - odparł porucznik.

- I kto w ogóle słyszał, żeby ciągnąć dzieci taki kawał od miasta w głąb lasu - zdenerwował się znowu Grabowski.

- Przecież nie poszli na piechotę. Pojechali nysą. Na grzyby.

- Jakie tam grzyby? Susza. Żadnych grzybów nie ma.

- Ale pojechali na grzyby - upierał się Miśniak.

- Faktycznie tak mówiła nauczycielka - poparł porucznika sierżant Kamiński.

Grabowski niecierpliwie machnął ręką.

- Grzyby nie grzyby. Mniejsza z tym. Rozmawiaicie z lekarzem?

Miśniak skinął głową.

- Rozmawiałem.

- No i co?

- Powiedział, że nic nie wiadomo, że się zobaczy. Może wyżyje, a może nie wyżyje.

Grabowski uderzył pięścią w stół.

- Cholera z tymi lekarzami. Żeby kiedyś któryś z nich coś wiedział.

- To ten „sam chirurg, który wam wycinał ślepą kiszkę - zauważył flegmatycznie Kamiński.

Kapitan ożywił się.

- Co wy mówicie? Doktor Klimecki? To świetny fachowiec. Zrobił mi takie artystyczne cięcie, że prawie nic nie widać. Parę centymetrów. Jeżeli on się wziął za tego faceta, to chyba wyżyje. Jak nazwisko poszkodowanego?

- Paweł Skawiński. Ostatnio meldowany we Wrocławiu.

- Przeszukaliście jego rzeczy? Miśniak skinął głową.

- Przeszukaliśmy. Kulę także zabezpieczyliśmy Oparła się o kręgosłup.

- W ubraniu znaleźliście coś ciekawego?

- Eleganckie rzeczy. Koszula zagraniczna za jakie sześćset, osiemset złotych, mokasyny także chyba komisowe, a na krawacie... Zaraz... chwileczkę...

- Porucznik wyjął z kieszeni notes. - Na krawacie firma: Spengler for Men. Także zagraniczny towar. Gość nadziany.

- A ten kwit...? - wtrącił się do rozmowy sierżant Kamiński.

Miśniak pośpiesznie wyjął z portfela kartkę papieru.

- Prawda. Zupełnie zapomniałem. Rachunek z warszawskiego hotelu „Solec”. Na nazwisko Henryk Moderski.

- Pokażcie - zainteresował się Grabowski, wyciągając rękę. - Rzeczywiście. Hotel „Solec”, Warszawa. Henryk Moderski. To ciekawe.

- Mnie także to się wydało ciekawe - pochwalił się sierżant.

- Bo dlaczego nosi przy sobie rachunki na inne nazwisko?

- Co jeszcze znaleźliście w ubraniu poszkodowanego?

- Normalne drobiazgi. Portfel, trochę forsy, książeczka PKO, scyzoryk, pilnik, grzebień, notes, długopis...

Grabowski kazał wszystko ułożyć na biurku. Dłuższą chwilę przeglądał notes i powiedział: - Trzeba zawiadomić Warszawę.

ROZDZIAŁ XI

Downar przez chwilę patrzył w milczeniu na zaróżowioną wzruszeniem twarz młodej kobiety.

- Pani nazywa się Tamara Sowińska?

- Tak.

- I mieszka pani w Olsztynie?

- Tak. Bardzo się przestraszyłam, ale... ja przecież...

- Czego się pani przestraszyła?

- Bo... bo kiedy milicja...

- Dlaczego miałyby się pani bać milicji? Przecież nic pani chyba złego nie zrobiła?

- Oczywiście, że nie... Skądże... Ja nigdy nic takiego, ale... zawsze ktoś może naplotkować. Ludzie są tacy niezyczliwi.

- Pani знаła Monikę Rodecką, prawda?

- Znałam. To straszne. Bardzo mi jej żal.

- Przyjaźniła się pani z nią?

- Bo ja wiem. Tak trochę. Kolegowałyśmy. Bo ja przedtem mieszkałam w Warszawie, ale jak się Miecio urządził w Olsztynie... Miecio to mój narzeczony.

- Obecnie nie ma go w Olsztynie.

- Wyjechał na wycieczkę do Bułgarii. Dostał urlop. Mieliśmy jechać razem, ale... Mnie nie chcieli puścić z pracy.

- A gdzie pani pracuje?

- W PKS. Przedtem pracowałam w komisie, ale mi się nie układało. Mietek jest kierowcą w PKS i wciągnął mnie tam do pracy. Jestem kasjerką. Ale chyba długo nie wytrzymam, bo mnie to męczy. Straszny ruch. Nie mam pojęcia, po co ludzie tyle jeżdżą. I na forszę trzeba uważać, bo łatwo się pomylić, a potem każą płacić.

- Znaleźliśmy list pisany przez panią do Moniki Rodeckiej. W liście tym były dolary.

Poruszyła się niespokojnie.

- Tak... właśnie... Pożyczyłam kiedyś od Moniki, bo chciałam sobie kupić coś w PKO. Takie tam głupstwa, kosmetyki, perfumy i coś jeszcze... Ale ja nie handluję dolarami. Broń Boże. Ani, ja ani Miecio. My I takich rzeczy nie tego. A te dolary dostałam od jednego cudzoziemca, w prezencie.

- Od cudzoziemca?

- Tak. Kiedyś były w Olsztynie takie konkursy konne i ja wtedy tam pracowałam, czasowo, pomagałam... tłumaczyłam.

- Pani zna języki?

- Poniekąd:..

- Jakie języki?

- No... polski... i trochę niemiecki. Nie bardzo dobrze, ale zawsze... Uczyłam się angielskiego, ale... ale mi nie bardzo szło.

Downar ze zrozumieniem pokiwał głową. Chciał, żeby się dziewczyna odprężyła. Ciągle była napięta nerwowo, czujna, nieufna.

- Tak - powiedział z uśmiechem - angielski dla nas nie jest łatwy. Ja także kiedyś próbowałem się uczyć i także mi nie szło. Najtrudniej zrozumieć, jak taki Anglik zaczyna mówić.

- O właśnie - pochwyciła z ożywieniem - strasznie belkocą. Jakby mieli gorące pierogi ruskie w ustach.

Downar uznał tematykę lingwistyczną za wyczerpaną.

- W tym liście, o którym wspomniałem, ostrzegła pani Monikę Rodecką przed niejakim Ryszardem. Czy pamięta pani jego nazwisko?

- Oczywiście. Ryszard Witelski.

- Na jakiej podstawie wyraziła się pani tak negatywnie o tym człowieku?

- Kiedyś Nika mnie z nim poznała. Bardzo mi się nie podobał. Wredny typ. Wszystkie kobiety traktował jak zwykłe kurwy. O, bardzo przepraszam - uderzyła się dłonią po wargach - chciałam powiedzieć, że pogardliwie odnosił się do kobiet. A ja bardzo tego nie lubię. A poza tym Miecio...

- Co Miecio?

- Miecio mi o nim opowiadał, bo go znał dawniej.

- I co opowiadał?

- Że to bandzior. W ogóle podejrzany facet.
- Czy jakoś to uzasadnił?
- No tak... Trochę. Bardzo go nie wypytywałam. Nie lubię się wtrącać w męskie sprawy. Podobno kiedyś namawiał Mięcia do kursu z trefnym towarem, kiedy jeszcze Miecio pracował w transporcie. Ale oczywiście nie zgodził się. To solidny chłopak. On na takie różne machloje nie pójdzie, nigdy w życiu.
- Czy Monika Rodecką była zakochana w tym człowieku?
Tamara wzruszyła ramionami. Czowała się już swobodniej.
- Bo ja wiem. To tak trudno powiedzieć. Mnie się zdawało, że ona się go boi.
Downar spojrział z zainteresowaniem.
- To ciekawe? A dlaczego pani uważa, że ona się go bała?
- Takie miałam wrażenie. Tak ją traktował. W jej oczach widziałam chwilami niepokój, a nawet strach. To trudno wytłumaczyć, ale to się jakoś wyczuwa.
- Czy Monika Rodecką była osobą, którą można łatwo sterroryzować?
- O nie. To była energiczna dziewczyna, z biglem. Byłe komu nie dałaby się zastraszyć.
- Ale ten Ryszard...
- To co innego... Jemu to chyba i ja dałabym się zastraszyć. Nic przecież do mnie nie miał, ale jak spojrział tymi swoimi cholernymi oczami, jak wysunął tę swoją przeciętą wargę... dreszcze mnie przechodziły. Zresztą jak mi pan nie wierzy, to niech pan zapyta Ludzi.
- Kto to jest Ludka?
- Taka jedna moja dawna kumpelka. Ryszard kiedyś z nią chodził, ale potem podobno powiedział, że ona jest nie na poziomie, że mu nie odpowiada intelektualnie i rzucił ją.
- Czy pani mogłaby mi podać adres tej swojej przyjaciółki?
- Nie wiem, gdzie ona teraz mieszka. Od dawna straciłam z nią kontakt. Nie zgadzałyśmy się. Myślę, że można by ją znaleźć w którejś kawiarni, w „Europejskim” albo w Grand Hotelu. Ona bardzo lubi chodzić po kawiarniach. To mi się właśnie u niej nie podobało.

Była jeszcze bardzo atrakcyjną dziewczyną, ale już zaczynała tyć. Krem sułtański, melba, torty, wyrób „Hortexu”... Ruchy pewne siebie, najmniejszego skrępowania, przyodziewek komisowy, makijaż przesadnie intensywny. Wyjęła z torebki paczkę „Winstonów”.

- Można zapalić?

- Proszę - powiedział Downar, podsuwając popielniczkę. - Pani nazwisko?

- Przecież pan wie. Ludmiła Kciuk.

- Czy pani znała Monikę Rodecką?

- Nie za dobrze. Żadna znajomość. Widziałam ją ze dwa razy. Słyszałam, że ją ktoś zaciukał.

Downar pominął to milczeniem.

- Ale Ryszarda Witelskiego znała pani dobrze?

- Tego łobuza? Jasne, że go znałam.

- Czy pani wie, że on nie żyje? Wzruszyła ramionami i dmuchnęła dymem.

- Żyje czy nie żyje, to mnie nie interesuje. Jednego drania mniej na świecie.

- Był pani przyjacielem?

- Takim od pompowania forsy.

- Wykorzystywał panią?

- On każdą wykorzystywał. To był mężczyzna wymagalny. Miał duże potrzeby materialne.

- I tak dobrowolnie dawała mu pani pieniądze?

- Jakie tam dobrowolnie? Z nirn nie było rozmowy. Jak kazał, to się dawało. Nie lubił dyskusji. Zaraz żyłetka albo nóż... On już niejedną pokroił...

- I żadna nie dała znać milicji?

- Co pan? Dziecko? Która chce, żeby ją z Wisły wyławiali? Każda woli plastrami się okleić i cicho siedzieć.

Zgasiła papierosa i założyła nogę na nogę, wysoko podciągając spódniczkę. W każdym jej ruchu wyczuwało się zawodową rutynę.

- Niech mi pani powie, czy Ryszard Witelski używał narkotyków?

- Narkotyków? - Ludmiła Kciuk była wyraźnie zaskoczona pytaniem. - Ależ skąd? To nie był ten rodzaj faceta. Rysiek się gimnastykował, uprawiał sporty, boksował, pływał, grał w piłkę nożną. Zawsze mówił, że grunt to dobra kondycja. Czasem sobie wypił, jak to każdy, ale rzadko i zawsze w miarę. Nigdy nie widziałam go pijanego. Tych, co się narkotyzują, uważał za głupie szmaty. Tak mówił.

- Czy można wiedzieć, dlaczego pani się z nim rozstała? - spytał Downar.

- To on się ze mną rozstał - odparła szczerze - rzucił mnie w czorty. Z nim się żadna dziewczyna nie rozstawiała. Albo chciał, albo nie chciał i kropka.

- Co pani może powiedzieć na temat Moniki Rodeckiej?

- Nigdy za nią nie przepadałam. Strasznie zadzierała nosa. Uważała się za Bóg wie kogo. Nie lubię tego. Ale muszę przyznać, że dziewczyna miała klasę. Niewiele takich w Warszawie. Obracała się w najlepszym towarzystwie. Znała obce języki. Miała styl. Na byle łachudrę nie spojrziała.

- A jednak związała się z Ryszardem Witelskim. Z tego, co pani powiedziała, wynika, że to nie był człowiek z „najlepszego towarzystwa”.

Skinęła głową i wyjęła nowego papierosa.

- Fakt. Ale widzi pan... Jakby to powiedzieć? Rysiek to był taki facet, że... Bandzior, oprych, alfons, to wszystko prawda, ale można było dla niego stracić głowę. Umiał, drań, pikantnie obejść się z kobietą. Pan rozumie? Nie każdy tak potrafi. A zresztą jak chciał, to dał radę i elegancko się znaleźć. Nie można powiedzieć. Postawił kolację w „Grandzie” albo w „Forum”. Forsy nie żałował. I wysłować się umiał. Chyba musiał mieć wykształcenie, bo czasem jak jakiś taki kawałek zasunął, to jak na uniwersytecie. Aż ciarki chodziły po plecach. Ubierał się także na medal. Facet był fasonowy. Tyle tylko, że bandzior. Monika się nie spostrzegła i zaczęła z nim kombinować. A z nim jak się zaczęło, to skończyć nie dawało rady. Chyba że sam chciał.

- Więc twierdzi pani, że Ryszard Witelski się nie narkotyzował.

- Wykluczone. Chyba żeby mu ostatnio szajba odbiła, ale wątpię. Za bardzo lubił imponować siłą, mięśniami. Silny był. To fakt. Mało kto mógł mu poradzić. A jak wyszedł na plażę, to wczasowiczki patrzyły w niego jak w obraz. Wystarczyło mu palcem kiwnąć. - Spojrzała na zegarek. - Czy pan jeszcze długo będzie mnie potrzebował, bo nie chciałabym się spóźnić?

- Chyba możemy już skończyć naszą rozmowę. Gdybym coś jeszcze od pani potrzebował, to skontaktujemy się.

Skloniła się wyreżyserowaną „dystynkcją” i wyszła kołysząc solidnie zaokrąglonymi biodrami.

Downar odetchnął z prawdziwą ulgę, przeciągnął się, wstał i podszedł do okna. Dzień był pogodny, pełen słońca.

Wszedł porucznik Olszewski.

- Telefonowali z Nowego Sącza - powiedział. - W lesie postrzelono z pistoletu jakiegoś młodego faceta. Stan ciężki. Znalaziono przy nim rachunek z hotelu „Solec”, wystawiony na inne nazwisko. Poza tym notes z warszawskimi telefonami i adresami.

- Ciekawe - zainteresował się Downar. - Proponuję maleńką wycieczkę na Powiśle. Pojedziesz ze mną?

- Nie protestuję.

- Cieszy mnie, że jesteś w takim zgodnym usposobieniu. Zanotowałeś wszystkie dane przekazane przez Nowy Sącz?

- Jasne.

*

Recepcjonista był nadzwyczaj uprzejmy. Robił wszystko, żeby przyjść z pomocą przedstawicielom władzy.

- Pan Henryk Moderski? Ależ oczywiście. Mieszka u nas. To zagraniczny turysta pochodzenia polskiego. Przyjechał z Italii. Obecnie przebywa na Wybrzeżu, pokój zarezerwował, zapłacił z góry. Powiedział, że wróci za kilka dni, ale to się jakoś przedłuża. Powinien przyjechać lada dzień. To bardzo sympatyczny i kulturalny pan.

- I powiedział, że wyjeżdża na Wybrzeże?

- Tak. Właśnie miał być w Gdańsku, w Gdyni, w Szczecinie...

- A nie wspomniał, że się wybiera do Nowego Sącza? - spytał Downar.

- Nie. Nic takiego nie słyszałem.

- A czy nazwisko Paweł Skawiński nic panu nie mówi?

- Absolutnie nic, panie majorze. Nie przypominam sobie, żeby taki gość się u nas zatrzymał.

- Hm... - Downar w zamyśleniu podrapał się w ucho - chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć o kontaktach tego włoskiego turysty. Z kim się widywał, kto do niego przychodził, dla kogo zostawiał jakieś polecenia...?

Recepcjonista zafrasowany pokręcił głową.

- Właściwie... właściwie to nic nie potrafię powiedzieć na ten temat. O ile się orientuję, pan Moderski nie przyjmował u siebie nikogo. Nikt też nie zostawiał dla niego żadnych listów.

- A kobiety?

- Kobiety go nie odwiedzały. Owszem, spotkał się z bardzo elegancką panią, ale tylko tutaj w hallu.

- Jak ta pani wyglądała?

- Młoda, bardzo ładna kobieta. Blondynka. Wszyscy tu na nią zwrócili uwagę, bo rzeczywiście i piękna, i elegancka. Chyba także przyjechała z zagranicy, bo jej stroje i w ogóle... Bardzo szykowna. Naprawdę.

- Poznałby ją pan?

- Oczywiście.

- W jakim języku rozmawiali?

- Po polsku.

- Zagraniczna Polonia - mruknął Downar, następnie zaś spytał: - Czy pan Moderski ma wóz?

- Tak. Piękna maszyna. Ferrari. Ale pojechał pociągiem, a wóz zostawił do remontu. Coś tam nawaliło. Nawet dzwonił z warsztatu, że już w porządku, żeby odebrać.

- Ma pan adres tego warsztatu?

- Tak. Gdzieś zapisałem.

- To niech pan poszuka.

*

- Panie, ja nie mam zdrowia do tego wszystkiego - denerwował się mechanik - już od dawna na chodzie, a nie ma

kto odebrać. Ja nie mam miejsca, nie mam gdzie trzymać tego grata. Co za ludzie, jak pragnę Boga. Przytaszczy taki idiota wóz do reperacji, a potem nie odbiera. Cholery można dostać.

- Niech pan nie ma do mnie pretensji - uśmiechnął się Downar. - To nie mój samochód.

Mechanik odsapnął i trochę się uspokoił.

- Ja przecież do pana majora nie mam żadnych pretensji. Skądże znowu. Tylko szlag ranie trafia, bo tu człowiek ma kupę zaległej roboty, wszystko zawalone, miejsca nie ma. Ani się ruszyć...

- Oczywiście, oczywiście - przytaknęła pospiesznie Downar w obawie, że znowu zaczną się narzekania. - Czy moglibyśmy zobaczyć ten wóz?

- Bardzo proszę. O, tam w głębi, na prawo.

- Piękna maszyna - powiedział z uznaniem Olszewski - nie obraziłbym się, żeby mi kto taki wózek podarował.

Downar obszedł samochód dookoła, zanotował rzymski numer rejestracyjny i zwrócił się do mechanika:

- To było jakieś poważniejsze uszkodzenie?

- Ale skąd. Drobiazg. Gość gdzieś zawadził o drzewo. Obtarł trochę błotnik i skrzywił reflektor. Roboty na godzinę, ale... Nie można zdążyć. Każdy chce już, a robić nie ma kim. E, szkoda gadać.

Kiedy wrócili do służbowej wołgi, Olszewski powiedział:

- Nie obejrzymy sobie pokoju tego faceta? Downar potrząsnął głową.

- Na razie chyba nie. Po pierwsze nie mamy nakazu, a po drugie, co jeszcze ważniejsze, nie wiemy na sto procent, czy to wszystko pasuje. Skąd masz pewność, że gość postrzelony pod Nowym Sączem rzeczywiście mieszkał w tym hotelu? Mógł na przykład Moderski na rachunku hotelowym zapisać coś swojemu znajomemu, przy którym znaleziono ten rachunek. Trzeba sprawdzić. Zrobiłeś coś z peruką, brodą i wąsami?

- Tak. Ucharakteryzowałem Pakułę. Wyszedł na zdjęciu bardzo przepięknie. Mógłby zagrać Wernyhorę w „Weselu”. Trzeba by mu tylko trochę brodę przedłużyć.

- Nie przejechałbyś się do Nowego Sącza? Olszewski nie miał zbyt zachwyconej miny.

- Specjalnie nie palę się do tej wycieczki, ale jak szef każe, to mówi się trudno.

- Szef każe - powiedział ze śmiertelną powagą Downar.

*

Olszewski nie tracił czasu. Już na drugi dzień wieczorem pojawił się w komendzie z dowodem osobistym na nazwisko Paweł Skawiński.

- Żyje? - spytał Downar.

- Żyje, ale cienko przedzie. Jeszcze nie odzyskał przytomności.

- Co mówią lekarze?

- Że powinien się wylizać. Podobno tęgi, mocny chłop.

- A co tamtejsza komenda?

- Zrobili, co mogli. Twierdzą, że morderca uciekł wozem.

- Wszystko to działo się w lesie?

- Tak.

- Zabezpieczyli ślady bieżnika?

- Zrobili odlewy, ale to słabo wyszło. Wóz stał dosyć głęboko w lesie. Igliwie, liście...

Downar pokiwał głową.

- Tak, tak... No, dobra. Jedziemy do hotelu. Dzwon po wóz.

Rozmowy z personelem hotelowym zajęły im sporo czasu. Jeżeli chodzi o fotografię z dowodu osobistego, to wszyscy zgodnie rozpoznali Henryka Moderskiego, gościa, który przyjechał z Italii i który pragnął odwiedzić rodzinne strony. Trudniejsza była sprawa z fotografią ucharakteryzowanego Pakuły. Nikt nie mógł sobie przypomnieć takiego starszego pana z brodą i siwymi wąsami. Wreszcie jeden z recepcjonistów uderzył się dłonią w czoło.

- Ależ tak - wykrzyknął nagle. - Pamiętam doskonale. Był taki starszy gość. Siedział dłuższy czas w hallu i czekał na pana Moderskiego. Mówił po niemiecku, a że ja znam niemiecki...

- Spotkał się z Moderskim?

- Tak. Spotkał się z panem Moderskim, na którego czekała także pewna młoda pani. Bardzo ładna, bardzo...

- Jak ta pani wyglądała?
- Elegancka, szykowna. Pierwsza klasa. Przyjemnie było popatrzeć.

- Nie zna pan jej nazwiska?

- Nie.

- Często odwiedzała pana Moderskiego?

- Widziałem ją parę razy. Ale nigdy nie chodziła do jego pokoju. Przynajmniej ja nie zauważyłem.

- Czy poznałby ją pan?

- Na pewno. Takiej kobiety się nie zapomina.

- O! - Downar uśmiechnął się - widzę, że naprawdę wpadła panu w oko. A co z tym staruszką?

- Czekał na pana Moderskiego, ale potem okazało się, że o jakiegoś innego Moderskiego mu chodziło. Przeprosił i poszedł.

- Czy widział go pan jeszcze kiedyś?

- Nie. Więcej się u nas nie pokazał. Przynajmniej ja go nie zauważyłem.

- Jak on wyglądał? Chciałbym, żeby go pan dokładnie opisał.

Recepcjonista nieznacznie wzruszył ramionami.

- Nic specjalnego. Podobny do tego na zdjęciu. Starszy gość, broda, wąsy. O ile dobrze pamiętam, to nosił ciemne okulary.

- I mówił po niemiecku?

- Tak.

Downar wyjął z kieszeni nakaz prokuratora.

- Chcielibyśmy obejrzeć pokój pana Moderskiego.

- Oczywiście. Bardzo proszę - powiedział skwapliwie recepcjonista, nie oglądając nawet urzędowego pisma.

Nie zabrało im to dużo czasu. Kilka drobiazgow, podróżna torba, w szafie jedno podniszczone ubranie, stare pantofle i dwie brudne chusteczki do nosa. Jedyne w szufladach stoliczka stojącego na łóżku Downar znalazł coś, co go zainteresowało. Samouczek języka włoskiego oraz zeszyt z włoskimi słówkami

- Zobacz.

Olszewski wziął książkę do ręki, obejrzał ją i pokiwał głową.

- Ciekawe. Facet przyjeżdża z Italii, jest włoskim obywatelem i uczy się włoskiego.

Downar jeszcze raz rozejrzył się po pokoju.

- Idziemy.

Przy pożegnaniu recepcjonista spytał:

- Czy będziemy mogli dać komuś ten pokój?

- Oczywiście - odparł Downar. - Rezerwujcie go, dopóki jest opłacony, a potem te trochę gratów do magazynu, w charakterze depozytu i możecie wynajmować. I jeszcze jedno pytanie. Czy pan Moderski rozmawiał z kimś po włosku?

Recepcjonista potrząsnął głową.

- Nigdy nie słyszałem, żeby mówił po włosku.

- Ani przez telefon?

- Ani przez telefon.

Wrócili do komendy. W drodze nie rozmawiali, pogrążeni w głębokiej zadumie. Olszewski włączył elektryczny imbryk.

- Napijesz się kawy?

- Pomysł znakomity - uśmiechnął się Downar. - Czuję, że mi trochę spadło ciśnienie. Trzeba odszukać kartę meldunkową i porównać ją z tym zeszytem. Co ty o tym wszystkim sądzisz?

Olszewski ustawił szklanki na biurku i zajął się poszukiwaniem łyżeczek.

- Jakaś cholerna mistyfikacja. Moderski nie nazywa się Moderski, tylko Paweł Skawiński. Zamieszkuje w hotelu jako obywatel włoski, ale nie zna włoskiego i na gwałt uczy się tego języka. Wyjeżdża do Nowego Sącza, informując wszystkich dokoła, że pragnie zwiedzić nadmorskie miejscowości.

- I wreszcie ktoś wali do niego z pistoletu - uzupełnił Downar.

- Właśnie. - Olszewski znalazł wreszcie łyżeczki i wyjął z szafy puszkę z kawą. - Pistolet był prawdopodobnie z tłumikiem - dodał po chwili, wsypując kawę do szklanki i spoglądając pytająco na imbryk, który zaczynał syczeć. - Ani żadne z dzieci, ani nauczycielka nie słyszeli strzału, a byli bardzo niedaleko.

Downar wyjął z biurka blaszane pudełko po herbacie „Jubileuszowej”, w którym trzymał cukier.

- No i co z tą kawą?

- Już się robi, szefie. Właśnie się woda zagotowała.

Po chwili siorbali z zapalem gorący, aromatyczny płyn.

- Za dużo tych zabójstw - mruknął Downar. - Uduszenie, zastrzyk morfiny, a teraz pistolet z tłumikiem. Ogromna różnorodność techniki.

- Przypuszczasz, że to wszystko wiąże się ze sobą? - spytał Olszewski.

Downar postawił szklanę z kawą na biurku i dosypał cukru.

- Istnieją pewne elementy, które... Odciski palców na tej czarnej walizeczce, zawierającej brodę, perukę i wąsy, zgadzają się z liniami papilarnymi znalezionymi na poręczy kanapy w Aninie. Starszy siwy jegomość, noszący brodę i wąsy, rozmawiał w hotelu z Moderskim, a raczej z Pawłem Skawińskim. Następnie tenże Moderski vel Skawiński zostaje postrzelony w lesie pod Nowym Sączem. Musisz przyznać, że mamy chyba jakieś podstawy po temu, żeby zaryzykować połączenie tych wszystkich faktów.

Żeby tylko facet nie wykorkował - powiedział z troską Olszewski.

- Albo żeby ktoś go nie wykończył w szpitalu. Olszewski aż podskoczył na krześle.

- Myślisz, że to byłoby możliwe?

- A dlaczegoż by nie? - uśmiechnął się Downar. - takie rzeczy zdarzają się wprawdzie raczej w powieściach kryminalnych i w filmach, ale w tym wypadku... Wszystkie te fakty robią na mnie wrażenie ogniw jakiejś większej międzynarodowej afery. Może narkotyki, może szmugiel waluty, a może gangsterskie porachunki...

- Porachunki...?

- Nie możemy wykluczyć takiej ewentualności - Downar skończył pić kawę i wytarł wargi chusteczką - Polska może być znakomitym schronieniem dla gangstera, który naraził się swoim kumplom.

ROZDZIAŁ XII

Rolson nie był z siebie zadowolony. „Albo się kończę - myślał z goryczą - albo to jakiś pechowy okres w moim życiu”. Ciągłe potknięcia. Idiotycznie dał się zaskoczyć na schodach jakiemuś bandziorowi, a teraz nie trafił w serce z małej odległości. Partacka robota. Taki nieudany strzał zdarzył mu się po raz pierwszy od początku jego kariery. Uważnie przyglądał się swoim rękóm, ruszał palcami, wykonywał różne ćwiczenia gimnastyczne. „Czyżby trzeba było już zrezygnować, przejść na emeryturę?” Wprawdzie dowiedział się pod jakim nazwiskiem ukrywa się Moderski, ale jeżeli ten chłopak wyżyje... Cała nadzieja w tym, że nie zdołają go uratować w prowincjonalnym szpitalu. W Ameryce, w Anglii, we Francji czy we Włoszech można było pokusić się o zlikwidowanie rannego, ale tutaj... Jak nawiązać kontakt nie znając języka? I czy w ogóle któraś z pielęgniarek poszłaby na to, nawet za dużą sumę?

Golił się wolno, zastanawiając się nad sytuacją i rozważając dalsze posunięcia. Plan akcji miał właściwie już dość szczegółowo opracowany, ale jeszcze zwlekał. Zdawał sobie sprawę z ryzyka. Poza tym brakowało kogoś do pomocy. To, co zamierzał zrobić, wymagało dużej precyzji działania. Jeden fałszywy krok mógł pociągnąć za Sobą nieobliczalne konsekwencje. Każdy najmniejszy szczegół musiał być opracowany z niezwykłą starannością. Należało przewidzieć wszystkie ewentualne niespodzianki. Nic na żywioł. Wszystko z matematyczną dokładnością.

Początkowo miał zamiar szukać Roberta Koneckiego, ale zrezygnował. Doszedł do wniosku, że Moderski sam, z własnej nieprzymuszonej woli będzie się starał z nim skontaktować.

Zadzwoił telefon.

Bez pośpiechu wytarł twarz ręcznikiem i podszedł do aparatu.

- Halo?

- Czy signor Rolson? - Mówiła po włosku. Miała niski głos o energicznym brzmieniu.

- Si. Chi parla?

- Mam ważną sprawę. Chciałabym się z panem zobaczyć.

- Niestety, jestem bardzo zajęty. Nie mam czasu na spotkania z nieznanymi paniami.

- Czy pana nie interesują wiadomości o Henryku Moderskim?

- Nie. Nie znam takiego człowieka i nie rozumiem, o co pani chodzi. Spieszę się. Do widzenia.

- Chwileczkę. Mam dla pana pozdrowienia od pana Marsano. Chciałabym je przekazać osobiście.

- Gdzie się spotkamy? - spytał krótko.

- Proponuję kawiarnię w Grand Hotelu. Za piętnaście trzecia. Tam o tej porze nie ma tłoku.

- Va bene. - Położył słuchawkę.

Zastanawiał się, czy się ucharakteryzować, ale zrezygnował z tego. „Jeżeli zna moje nazwisko i wie, gdzie mieszkam, to na pewno wie także jak, wyglądam” - pomyślał i zabrał się do porannej gimnastyki.

Wcześniej zjadł obiad, kupił „L’Unita” i już o wpół do trzeciej był w kawiarni. Znalazł w końcu sali pod ścianą wygodny stolik, nadający się do poufnej rozmowy. Zamówił kawę, coca-calę i zabrał się do przeglądania gazety. Nie interesowały go przestarzałe wiadomości prasowe, ale uważał, że to będzie dobry znak rozpoznawczy.

Okazało się, że był to niepotrzebny manewr i że, tak jak przewidywał, znała go z widzenia. Bez wahania podeszła do jego stolika. Podniósł się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Buongiorno, signora Gobetti - powiedział z uśmiechem.

Była zaskoczona, słysząc swoje nazwisko, ale nie dała nic poznać po sobie. Zachowywała się swobodnie. Rozejrzała się po kawiarnianej sali.

- Widzę, że pan jest dobrze poinformowany co do mojej osoby.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Nie lubię mieć do czynienia z zupełnie nieznanymi ludźmi, signora. Muszę znać przynajmniej nazwisko osoby, z którą umawiam się w kawiarni.

- To bardzo cenna zasada, szczególnie w pańskim zawodzie, signor Rolson.

- O jakież to zawód pani mnie posądza?

- Professional killer - powiedziała po angielsku. Pokręcił głową jakby z niedowierzaniem. Robił wrażenie człowieka, który się dobrze bawi. Poprawił na nosie ciemne okulary i powiedział wesoło:

- Wysoko mnie pani ocenia. Skąd taka opinia, jeśli wolno zapytać?

Podeszła kelnerka.

- Co dla pani?

- Mała kawa i woda mineralna albo sok pomarańczowy.

- Może jakieś ciasteczko? - zaproponował uprzejmie Rolson.

- Nie, dziękuję.

Przez chwilę milczeli, czekając aż wróci kelnerka. Kiedy kawa i sok pomarańczowy pojawiły się na stoliku, Nina powolnym ruchem wsyłała do filiżanki pół łyżeczki cukru, wyjęła z torebki papierosy, zapaliła i spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. Nie wydawał się jej aż tak niebezpieczny. Żałowała, że nie widzi jego oczu.

- Signor Rolson - powiedziała, przysuwając sobie popielniczkę - nie sądzi pan chyba, że chciałam się z panem spotkać wyłącznie w celu odbycia lekkiej, towarzyskiej pogawędki. Bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Bardzo mi przykro, signora, ale nie mam najmniejszego pojęcia, na jaki temat chciałaby pani ze mną porozmawiać.

- Bardzo chętnie to panu wyjaśnię - zgasiła niedopalonego papierosa - przedtem jednak chciałabym poprosić, żeby pan wyjął spod marynarki ten magnetofon.

- E, va bene - sięgnął pod marynarkę.

- Nie z tej strony - skorygowała go - z prawej. Z lewej nosi pan przecież pistolet.

Roześmiał się.

- Pani jest wspaniała. Co za dokładne informacje!

- Znam tej krójk marynarki. Ubiera się pan u dobrego fachowca. Wydaje mi się nawet, że wiem, jak nazywa się ten krawiec, który szył panu ten garnitur. Ale mniejsza z tym. Czy mogę prosić o magnetofon?

Położył maleńkie pudełeczko na stoliku.

- Podoba mi się pani. Mam wrażenie, że zostaniemy przyjaciółmi.

Nie zareagowała. Zręcznie wyjęła nagrany taśmę a na magnetofonie postawiła cukierniczkę.

- Zabierze pan, jak będziemy wychodzić. Japończycy naprawdę wyspecjalizowali się w produkowaniu takich rzeczy. A teraz możemy spokojnie i bezpiecznie porozmawiać, signor Rolson.

- Słucham z ogromnym zainteresowaniem, madame.

Wyjęła następnego papierosa i stuknęła nim o pudełko.

- Mam zamiar zaproponować panu współpracę.

- Nie bardzo rozumiem. O jakiej współpracy pani mówi?

Skrzywiła się.

- Niech pan przestanie udawać. Przecież to nił ma najmniejszego sensu. Wiem, że Marsano zaangażował pana do tej akcji i wiem, że interesuje się pan niejakim Henrykiem Moderskim, który obecnie występuje pod nazwiskiem Robert Konecki. Wszystko się zgadza, prawda?

Z kolei Rolson zaczął się bawić nie zapalonym papierosem. „Ładna kobieta, bardzo ładna. Szkoda. Trzeba ją będzie zlikwidować” - myślał, a jego twarz przybrała melancholijny wyraz. „Za dużo trupów. Stanowczo za dużo, jak na taki niewielki kraj”.

- Zapewne proponuje mi pan teraz przejażdżkę swoim wozem - powiedziała.

- Dlaczego miałbym pani proponować taką rzecz?

- Żeby mnie zastrzelić gdzieś za miastem, a ciało wrzucić do jakichś glinianek. Przywiązawszy oczywiście przedtem odpowiedni balast. Sądzę, że ma pan coś gustownego w bagażniku.

- Dlaczego mnie pani posądza o takie brzydkie zamiary?

- Dlatego, że panu przeszkadzam. Ale to się tak tylko panu wydaje. Ja nie tylko nie mam najmniejszego zamiaru nikomu przeszkadzać, ale mogę panu okazać ogromną pomoc.

- Pomoc?

- Oczywiście. Pod warunkiem, że zostaniemy współnikami. Oboje interesujemy się Henrykiem Moderskim i dokumentami, które ukradł i którymi szantażuje signora Marsano. Pomyślałam, że z ogromnym pożytkiem dla sprawy będzie, jeżeli połączymy nasze siły i zamiast się zwalczać, zaczniemy owocnie współpracować. Dlatego zatelefonowałam do pana. Pan chyba się orientuje, że Moderski ma siostrę, a ta siostra ma córkę, małą ośmioletnią dziewczynkę...

Ręka Rolsona, podnosząca zapaloną zapalniczkę, zatrzymała się w połowie drogi.

- Niektóre akcje bardzo trudno jest przeprowadzić pojedynczemu człowiekowi - mówiła dalej Nina udając, że nie spostrzega wrażeń, jakie wywarły jej słowa. - Nie zawsze można pracować samemu, signor Rolson, nie zawsze. Moja propozycja jest następująca. Pan otrzyma oryginały tych dokumentów a mnie wystarczą fotokopie. W Rzymie najpierw par zainkasuje swoje honorarium, a ja zaraz potem. Następnie pan na pewien czas wyjedzie z Włoch, a ja zapewne wybiorę się na Wyspy Kanaryjskie albo do Kalifornii. Jeszcze się namyślę. Muszę odpocząć.

Rolson zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. „To jest właśnie to, czego mi w tej chwili potrzeba - pomyślał z zadowoleniem - muszę skorzystać z okazji, a potem zobaczymy. Zawsze będzie czas zlikwidować niewygodną współpracę”. Głośno zaś powiedział:

- Interesuje mnie pani propozycja. Chciałbym tylko...

- Chwileczkę - przerwała mu Nina - zanim przejdziemy do omawiania szczegółów wspólnego działania chciałabym przedstawić panu warunek mojej współpracy.

- Warunek?

- Tak. Musi mi pan dopomóc w odnalezieniu tego młodego chłopaka, który odgrywał rolę Moderskiego.

Rolson pokiwał głową z melancholijnym wyrazem twarzy.

- To bardzo smutna i przykra sprawa... Zbladła gwałtownie.
 - Nie żyje?
 - Jeszcze żyje. Możliwe, że go odratują. Niech pani sobie wyobrazi, że Moderski postanowił się go pozbyć. Wysłał go do Nowego Sącza, a następnie pojechał za nim i... Na szczęście kula przeszła obok serca.
 - Gdzie on teraz jest?
 - W szpitalu w Nowym Sączu.
 - Skąd pan to wszystko wie? Uśmiechnął się.
 - Pani wybaczy, że nie zdradzę źródeł moich informacji, ale...
 - Natychmiast jadę do Nowego Sącza. Końcami palców dotknął jej dłoni.
 - Niech pani będzie rozsądna, signora Gobetti. Możemy oczywiście dowiedzieć się o zdrowie tego młodego człowieka, ale pani nie powinna pokazywać się na tamtym terenie.
 - Muszę go zobaczyć.
 - W tej sytuacji byłoby to rzeczą ogromnie niewskazaną. Paweł Skawiński został postrzelony z pistoletu. Milicja prowadzi dochodzenie. Zaczną panią przesłuchiwać, badać, może inwigilować. To zasadniczo pokrzyżowałoby nasze plany. Chory jest pod dobrą opieką lekarską. Pani nic mu nie może pomóc. Narazi się pani tylko na zupełnie niepotrzebne i być może niebezpieczne komplikacje.
- Skinęła głową.
- Przekonał mnie pan. Nie pojedę do Nowego Sącza.
- Wiedział, że to nieprawda, ale nie podtrzymał tego tematu. Udał, że wierzy.
- Cieszy mnie niezmiernie pani decyzja. A teraz może przejdziemy do omówienia naszej wspólnej działalności.

*

Rolson wrócił do hotelu. Rozmowa z tą kobietą zmęczyła go. Zdjął marynarkę i wyciągnął się na tapczanie.

Nie miał pewności, czy dobrze postąpił przyjmując propozycję współpracy. Zasadniczo koncepcja była bezbłędna. Właśnie do tej akcji niezbędna była mu pomoc, a kobieta

nadawała się idealnie. Potem przecież mógł się jej pozbyć. To nie problem. Tylko ten Nowy Sącz...

Zbyt dobrze znał kobiety, aby mieć wątpliwości, że i w tym wypadku rozsądek ustąpi przed uczuciem i że signora Gobetti pojedzie. Nie mógł temu zapobiec. Mógł tylko ostrzegać. Miał nadzieję, że jednak jego słowa nie poszły na marne i że pewne podstawowe środki ostrożności zostaną zachowane. Był zły na siebie, że odstąpił od swojej zasady działania w pojedynkę. Nigdy dotąd nie dokoptowywał sobie żadnego wspólnika, a jeżeli nawet korzystał czasem z przygodnego pośrednika, to zazwyczaj likwidował go dyskretnie po przeprowadzonej akcji. Tym razem jednak miał do czynienia z fachową siłą i był pewien, że Nina Gobetti bierze taką ewentualność pod uwagę i że nie omieszką się zabezpieczyć. Musiał się z tym bardzo poważnie liczyć.

Czy należało mówić jej o tym chłopaku i o Nowym Sączu? Ta wątpliwość nie dawała mu spokoju, powracając z nieznośnym uporem. Wreszcie jednak doszedł do wniosku, że nie mógł postąpić inaczej. Przecież ona na pewno od dawna szuka Pawła i doprowadzona do ostateczności zadzwoniła do niego, żeby się czegoś dowiedzieć. Gdyby jej nie opowiedział bajki o Moderskim, to mogłaby posądzić jego o zlikwidowanie tego durnia. Nie zawahałaby się skontaktować z milicją. Kobiety zakochane są przecież nieobliczalne. Potrafią zrezygnować nawet z miliona dolarów. Trudno, Niech jedzie do Nowego Sącza. Może jednak zachowa się inteligentnie. Ostatecznie jej także nie zależy na tym, żeby milicja się nią zainteresowała. Tak, nie mógł postąpić inaczej.

Uspokojony wstał i zabrał się do czyszczenia pistoletu. Zawsze dbał o to, żeby broń była w idealnym stanie. I znowu wrócił myślami do owego nieudanego strzału. Gdyby wtedy trafił, cała sytuacja wyglądałaby w tej chwili zupełnie inaczej. „Tracę formę. Najwyraźniej tracę formę. To przecież były dwa, trzy metry zaledwie”. I z tej odległości chybić. Właściwie nie chybił, ale kula przeszła obok serca. To był niewybaczalny błąd. Trzeba by poćwiczyć. Ale gdzie? Nie może przecież pójść na oficjalną strzelnicę.

Po chwili uspokoił się. To nerwy, to tylko nerwy. Trzeba się odprężyć, wypocząć, znaleźć sobie jakąś dziewczynę... Dziewczynę? Przypomniała mu się Monika. Głupia historia. Ciekawe, po jakiej linii idzie dochodzenie? A może znaleźli taksówkarza, który go wtedy zawiózł na Mokotów? To prawdopodobne. Ostatecznie w Warszawie taksówek nie ma tak dużo. Na upartego można przesłuchać nawet wszystkich kierowców, jeżeli się zatrudni odpowiednią liczbę ludzi. Ale taksówkarz niewiele im powie. Że wiozł jakiegoś cudzoziemca, z którym rozmawiał po niemiecku. A odciski palców? Porca miseria! Nie miał wtedy na rękach rękawiczek. Opierał się ręką o drzwi. Wspaniały obraz linii papilarnych. Czy tak postępuje dobry fachowiec o światowej reputacji? Kompromitacja, absolutna kompromitacja.

Kto zamordował Monikę? Czyżby to ten sam facet, który potem próbował szantażu? Nie można było wykluczyć takiej ewentualności. To był typ trzeciorzędnego alfonsa. Musiała mu powiedzieć, że spodziewa się odwiedzin bogatego cudzoziemca. Zresztą to teraz nie ma znaczenia.

Jak milicja oceniła śmierć tego szantażysty? Czy uwierzyli, że był narkomanem i przedawkował morfinę? A jeżeli nie? Jeżeli doszli do przekonania, że to było morderstwo? Po jakich śladach mogli dojść? Po żadnych. Zaraz zaraz. Jak to po żadnych? A wóz? Padał wtedy deszcz. Grunt był miękki. Opony powinny były zostawić wyraźny ślad. Bzdury. Nie są w stanie dojść, kto prowadził wtedy tego fiata. Dawno się go pozbył. Od tej pory wynajął już trzeci wóz, ciągle twierdząc, że coś tam nie w porządku z silnikiem. Jeżeli nawet utrwalili ślady bieżnika, to przecież nie zdołają sprawdzić wszystkich wozów, nie mówiąc już o tym, że tymczasem mogły być zmienione opony. Nie... tym stanowczo nie należało się przejmować.

ROZDZIAŁ XIII

Rolson popełnił błąd w swoim rozumowaniu. Okazało się bowiem, że „tym” należało się przejmować. Po prostu nie docenił przeciwnika.

Było z tym sporo roboty. Musieli opony trzystu kilkudziesięciu wozów porównać z odlewami gipsowymi wykonanymi w Aninie przed domem braci Witelskich.

- Dlaczego jesteś pewien, że morderstwa dokonał cudzoziemiec, który wynajął wóz? - pytał Olszewski.

Downar potrząsnął głową.

- Wcale nie jestem pewien. Działam w myśl teorii prawdopodobieństwa, jak zresztą zawsze w takich wypadkach. Pomyśl chwilę. Walizka, pruka, wąsy, broda... wszystko pochodzenia zagranicznego. Odciski palców na walizce...

- Także pochodzenia zagranicznego - uśmiechnął się Olszewski.

- Nie wygłupiaj się. Odciski palców na tej walizce pokrywają się z liniami papilarnymi znalezionymi na poręczy kanapy w Aninie. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że właściciel zagranicznej walizki i peruki zlikwidował Witelskiego. Te ślady bieżnika to w tej chwili jedyny nasz konkretny punkt zaczepienia.

- A jeżeli nie odnajdziemy tego wozu pomiędzy fiatami do wynajęcia?

Downar wzruszył ramionami.

- No cóż... wtedy pomyślimy o czymś innym. Olszewski poskrobał się za uchem.

- Ja bym osobiście radził, żebyśmy już teraz pomyśleli o czymś innym. Nie bardzo wierzę w te gipsowe odlewy.

Downar machnął ręką.

- Zdaje mi się, że jesteś dzisiaj w pesymistycznym nastroju. W coś trzeba wierzyć. Chociażby w gipsowe odlewy.

Mrówcza praca posuwała się konsekwentnie naprzód. Sprawę komplikował fakt, że przecież wiele wozów było w ciągłym ruchu. Należało więc czekać na odpowiedni moment, aby sprawdzić ogumienie.

Wreszcie „akcja Fiat 125p” dobiegła końca. Rezultat nie był całkowicie zadowolający, ale w każdym razie coś niecoś się wyjaśniło. Opony trzech wozów mogły ewentualnie pasować do gipsowych odlewów. Nie było oczywiście mowy o stuprocentowej identyfikacji, ale...

Downar wezwał do siebie Olszewskiego oraz sierżanta Pakułę, który orientował się w sprawie.

- Musimy konsekwentnie ciągnąć tę robotę - powiedział zaczynając naradę. - Jest to właściwie jedyny punkt zaczepienia w dochodzeniu. Przyznaję, że ponosimy pewne ryzyko i że wszystko to może okazać się zupełnie niepotrzebne, ale w tym momencie nie mamy wyboru. Zebrałem trochę dodatkowych informacji, dotyczących tej dziewczyny i Witelskiego. Oboje chętnie przebywali w towarzystwie zamożnych cudzoziemców. Witelski był podejrzany o handel narkotykami. Monika Rodecka nie zadawała się z byle kim. Starannie dobierała sobie przyjaciół wśród dolarowych turystów i handlowców. Nawet ten taksówkarz zeznał, że owego wieczoru zawiózł na Narbutta cudzoziemca, z którym rozmawiał po niemiecku. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że obydwaj zabójstwa są dziełem obcokrajowca.

- Mówiliśmy niedawno, że dziewczynę zlikwidował ten alfons - zauważył Olszewski.

Downar skinął głową.

- Tak. Oczywiście. Nie możemy tego wykluczyć, ale musimy także brać pod uwagę możliwość, że mordercą jest cudzoziemiec. Witelski mógł coś wiedzieć, albo nawet zaskoczył faceta na gorącym uczynku i szantażował go. Wydaje mi się to zupełnie prawdopodobne. Tamten pojechał do niego do Anina i zaaplikował mu potężną dawkę morfiny.

- Żeby te ślady bieżników dokładnie pasowały - westchnął Pakuła.

Downar uśmiechnął się.

- Ba! Oczywiście, że to by nam bardzo ułatwiło sprawę, ale nie wymagajmy za wiele. Po pierwsze deszcz trochę zniekształcił ślady w terenie, a po drugie wozy są w ciągłym ruchu, co także w pewien sposób wpływa na zmianę obrazu opon. A nawet gdybyśmy bez żadnych wątpliwości zidentyfikowali fiata, który wtedy był w Aninie i stał przed domem Witelskich, to i tak nie mielibyśmy stuprocentowej pewności, że człowiek, który przyjechał tym wozem, dokonał morderstwa.

- Co proponujesz? - spytał Olszewski ze znudzoną miną. Nie lubił wykładów.

- Proponuję - mówił dalej Downar udając, że nie dostrzega nastroju porucznika - proponuję, że, byśmy nie zmarnowali rezultatów tej gigantycznej pracy i żebyśmy szli po tej samej linii.

- To znaczy?

- To znaczy, że musimy ustalić, kto w dniu morderstwa w Aninie dysponował tymi wozami.

- Nic trudnego - powiedział Pakuła i pociągnął nosem - tylko co dalej?

- O tym porozmawiamy natychmiast po ustaleniu użytkowników wozów.

- Sądzisz, że to coś da? - mruknął Olszewski. Downar wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale nie mam wątpliwości, że musimy spróbować.

*

Nazajutrz wszyscy trzej znowu spotkali się w komendzie.

Downar przebiegł oczami leżącą na biurku kartkę papieru i spytał:

- Kto to jest ten Ahmed Zagara?

- Syryjczyk - wyjaśnił Olszewski. - Przyjechał do nas jakoby w celach handlowych. Odwiedził różne centrale handlu zagranicznego, ale jak zdążyłem się zorientować, nie bardzo wie, czym chce handlować i jego rozmowy są dosyć mętne. Ma pieniądze, mieszka w „Forum”. Nie jest wykluczone, że interesuje się narkotykami.

Downar wskazał palcem kolejne nazwisko.

- A Antonio Borettini?

Pakuła odchrząknął. Często zasychało mu w gardle, kiedy miał zamiar dłużej mówić.

- Włoch. Przyjechał z Rzymu. Podobno jego dziadek handlował przed wojną lodami w Warszawie. Szuka jakiejś swojej rodziny. Zwiedza Polskę. Ma kupę forsy. Nie żałuje pieniędzy na dziewczyny. Mówi, że to u nas taniocha.

- Skąd zdobyliście te informacje?

- Kelnerzy, recepcjoniści, prostytutki... Nie tak trudno się dowiedzieć. Pogada się z tym, pogada się z tamtym.

- Gdzie on mieszka?

- W „Europejskim”. Mieszkał w „Bristolu”, ale się przeniósł.

- Widzieliście go?

- Tak. Wygląda na lepszego kombinatora. Downar posunął palcem po papierze.

- I Rolson.

- To mój klient - uśmiechnął się Olszewski. - Amerykanin, podróżujący po świecie. Postanowił zwiedzić Polskę. Bardzo bogaty. Nie liczy się z pieniędzmi. Daje duże napiwki. Mieszka w „Forum”. Nikt nie zauważył, żeby interesował się dziewczynami. Zachowuje się najzupełniej poprawnie, nie upija się, nie robi żadnych awantur. W hotelu ma jak najlepszą opinię.

- Czyli nie wzbudza żadnych podejrzeń - powiedział Downar i schował kartkę z nazwiskami do szuflady. - Według schematów powieści kryminalnych właśnie on powinien być przestępcą. Ale żarty na bok. Wydaje mi się, że w tej sytuacji powinniśmy wszystkich trzech wziąć pod obserwację. Nie zawadzi trochę im się przyjrzeć.

- A gdyby ich przesłuchać? - zaproponował Pakuła.

- Wykluczone. Po pierwsze nie mamy żadnych podstaw po temu, żeby niepokoić zagranicznych gości, a po drugie - jeżeli rzeczywiście któryś z nich ma coś na sumieniu, to nie wolno go płoszyć. Po rozmowie z nami wsiądzie w samolot i tyle go będziemy widzieli.

- Na tego Włocha dobrze by było napuścić jakąś dziewczynę - powiedział Olszewski.

- O właśnie - przytaknęła z zapalem Pakuła - tak i ja sobie pomyślałem. Ogromny amator na te rzeczy.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju. Od długiego siedzenia bolały go wszystkie kości.

Zastanowię się nad tym. Może rozpracuje go któraś z naszych agentek. A kto się zajmie Syryjczykiem?

- Może ja - zaofiarował się Olszewski. - Ten facet mówi po rosyjsku i po francusku.

- W porządku. Zajmij się nim. Jeżeli natomiast Amerykanin zna niemiecki to ewentualnie ja bym go rozpracowywał.

Pakuła zadumał się głęboko, wzdychał, drapał się po głowie, wreszcie powiedział:

- Najtrudniej to będzie z tym Włochem, obywatelu majorze.

- Dlaczego?

- Bo on natychmiast babkę do łóżka ciągnie. Nie lubi długo flirtować.

Downar roześmiał się.

- Nie obawiajcie się. Każda z naszych dziewczyn da sobie radę. Aha, zapomniałem jeszcze zapytać, skąd przyjechał do nas ten Amerykanin. Z Ameryki?

- Z Paryża - wyjaśnił Olszewski. - Przyjechał pociągiem...

Downar wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Dziwne. Taki bogaty facet i tłucze się pociągiem, zamiast przylecieć samolotem.

- Może chciał sobie przywieźć coś do strzelania - powiedział Pakuła. - Pociągiem łatwiej. Na lotniskach teraz sprawdzają.

Downar z uznaniem spojrział na sierżanta.

- To zupełnie prawdopodobne.

Olszewski wsunął notatki do kieszeni i wstał.

Chyba już wszystko ustaliliśmy. Downar zatrzymał go ruchem ręki.

- Chwileczkę. Nie możemy zaniedbać tej sprawy w Nowym Sączu. Boję się trochę, żeby...

- Żeby ktoś nie wykończył faceta - dopowiedział Olszewski.

- Właśnie. Bo jeżeli chcieli go zlikwidować, to nie będą zachwyceni, kiedy wstanie z łóżka żywy i cały.

- Co proponujesz?

- Myślę, że poprosimy kolegę Pakułę, żeby przejechał się do Nowego Sącza. Do towarzystwa dodamy mu doświadczoną pielęgniarkę, która przypilnuje rannego.

- Pielęgniarka także musi spać - zauważył Pa-; kuła.

- To wy wtedy wystąpicie w charakterze pielęgniarza. Będziecie się zmieniać. A z dyrekcją szpitala; jakoś załatwimy tę sprawę w taktowny sposób.

ROZDZIAŁ XIV

Doktor Klimecki późno wrócił tego dnia ze szpitala. Był zmęczony i z przyjemnością myślał o szklance gorącej herbaty i wygodnym tapczanie. Niestety kolację musiał sobie przygotować sam. Żonę wysłał na kurację do Rabki i teraz, oprócz pracy zawodowej, zajmował się także zaopatrywaniem swojej skromnej spiżarni. Z pewnym rozczuleniem myślał, jak to miło jest przyjść do domu i zastać wszystko przygotowane, elegancko poustawiane na wesołym kolorowym obrusie.

Westchnął i postawił imbryk na elektrycznej kuchence. Następnie pokroił chleb i krakowską kielbasę. Wyjął z lodówki jajka i masło. Był głodny. W szpitalu miał tyle roboty, że nie zdążył nawet zjeść obiadu. Postanowił zrobić sobie jajecznicę z pięciu jaj z kielbasą.

Właśnie wybijał jajka do garnuszka, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. „Któż to może być? - pomyślał zdziwiony. - Chyba jakaś pomyłka”. Znowu zadzwoniono. Klimecki wytarł rękę w ścierkę i wyszedł do przedpokoju.

- Kto tam?

- Chciałabym się widzieć z doktorem Klimeckim - kobiecy głos brzmiał sympatycznie.

Odsunął zasuwę.

W progu stała elegancka, bardzo ładna blondynka. Miała na sobie świetnie skrojony beżowy, sportowy kostium. Dużą zamszową torebkę przewiesiła przez ramię. Na rękach brązowe, także zamszowe rękawiczki.

- Najmocniej przepraszam, że o tak późnej porze” ale...

- Czy pani ma do mnie jakiś interes?

- A czy mówię z doktorem Klimeckim?

- Tak, tylko że... - poczuł się nagle dziwnie za żenowany.

- Czy mogłabym z panem zamienić kilka słów? Odsunął się wpuszczając ją do przedpokoju.

- Proszę, bardzo proszę, niech pani wejdzie. Po chwili znaleźli się w dość dużym, robiącym niezbyt schludne wrażenie pokoju.

- Zechce pani wybaczyć ten bałagan - powiedział przepaszająco Klimecki - ale żona właśnie wyjechała na kurację i jestem słomianym wdowcem...

- Och, nic nie szkodzi - uśmiechnęła się czarująco. - Jestem przyzwyczajona...

Nie bardzo wiedział, czy jest przyzwyczajona do bałaganu, czy do słomianych wdowców, ale postanowił nie rozwijać tego tematu.

- Pani będzie łaskawa spocząć. Usiadła i wyjęła z torby papierosy.

- Można zapalić?

- Oczywiście, bardzo proszę. Czy można wiedzieć w czym mógłbym pani pomóc?

Wypuściła dym nozdrzami i spojrzała mu uważnie w oczy.

- Chciałabym pomówić z panem w pewnej poufnej sprawie, panie doktorze.

- Ja się nie zajmuję ginekologią - wyjaśnił skwapliwie.

Potrząsnęła głową.

- Ach, nie. Nie o to chodzi. Zdaje się, że to pan operował tego młodego człowieka, który niedawno został postrzelony w lesie? Paweł Skawiński.

- Tak. Ja go operowałem. Dlaczego pani się tym interesuje?

- Bo to jest ktoś bardzo mi bliski.

- Mogę panią zapewnić, że w tej chwili nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Odzyskał przytomność. Organizm silny, zdrowy. Zrobiliśmy kilka transfuzji. Wszystko będzie dobrze. Ożywiła się. Jej mizerna twarz nabrała rumieńców.

- Dziękuję za dobre wiadomości. Nie wyobraża pan sobie nawet, ile to dla mnie znaczy, że on żyje. Czy mogłabym się z nim zobaczyć?

Klimecki potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, ale w tej chwili jest to zupełnie niemożliwe. Chory jest tak skrajnie wyczerpany, że najmniejsze wzruszenie

mogłoby mu bardzo zaszkodzić. Musimy z tym jeszcze poczekać kilka dni.

Nie nalegała. Zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w podłodze, jakby tam szukała tematu do dalszej rozmowy. Klimecki zaczął się kręcić niecierpliwie na krześle, myśląc o jajecznicy z kiełbasą.

- Czym mógłbym jeszcze pani służyć? - spytał. Znowu spojrziała mu w oczy.

- Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję, panie doktorze?

- W pewnych okolicznościach lekarz jest związany tajemnicą, podobnie jak spowiednik - odparł wymijająco. Nie chciał się angażować w żadne przedwczesne przyrzeczenia. Cała ta wizyta wydała mu się trochę dziwna.

- Bardzo proszę, żeby to, co powiem, zostało między nami. Bo widzi pan, panie doktorze, ja się niepokoję o życie Pawła.

- Jeżeli ja panią zapewniam, że nic mu już w tej chwili nie grozi...

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie zrozumiał mnie pan. Ja nie mam zamiaru podawać w wątpliwość pańskiej diagnozy. Wierzę, że z punktu widzenia medycyny Pawłowi nic nie grozi, ale...

- Przyznam się, że nie bardzo rozumiem - powiedział zniecierpliwiony Klimecki..

- Zaraz to panu wytłumaczę, panie doktorze. Są pewne sprawy... Będę mówiła wprost. Otóż Pawła ktoś chciał zlikwidować i temu komuś będzie bardzo nie na rękę, jeżeli on wyżyje. Boję się po prostu, żel będą próbowali wykończyć Pawła w szpitalu.

Klimecki pokiwał głową.

- Rozumiem. Nie dopytuję się, o co tu właściwie chodzi. To już sprawa milicji, nie moja. Mogę jednak panią zapewnić, że pani przyjaciel otoczony jest najlepszą opieką i że nie widzę możliwości, żeby morderca mógł się dostać do szpitala.

Uśmiechnęła się smutnie.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale pan w tych sprawach nie ma doświadczenia. Rozumuje pan tutejszymi, polskimi kategoriami.

- Rzeczywiście. Jeśli chodzi o gangsterskie metody, to nie mam żadnego doświadczenia w tej dziedzinie - przyznał Klimecki.

- I dlatego miałabym do pana ogromną prośbę.

- Słucham? Wyjęła z torby plik banknotów i położyła na stoliku.

- To jest dwadzieścia tysięcy złotych. Błagam pana, panie doktorze, niech pan zaangażuje dwie, nawet trzy pielęgniarki, które będą dzień i noc pilnowały Pawła. Żeby nie dopuszczały nikogo z zewnątrz, żeby nie pozwoliły na czyjekolwiek odwiedziny i przekazywanie mu czegoś do picia czy do jedzenia. Niech pan nie sądzi, że to są z mojej strony jakieś histeryczne przywidzenia. Ja mam duże doświadczenie w podobnych sprawach, naprawdę bardzo duże. Proszę mi wierzyć.

Klimecki był tak oszołomiony tym wszystkim, że nawet nie zdążył zaprotestować, że za dużo tych pieniędzy.

- Zadzwońię do pana z Warszawy, panie doktorze. Bardzo dziękuję. - Wstała i skierowała się ku drzwiom. Odprowadził ją. Miał zamęt w głowie. Zapomniał o jajecznicy i o tym, że woda w czajniku już się zupełnie wygotowała.

*

Następnego wieczora doktor Klimecki podgrzewał sobie właśnie parówki, kiedy znowu pojawili się niespodziewani goście. Tym razem był to mężczyzna w średnim wieku, krzepki, szeroki w ramionach, o kwadratowej głowie pokrytej siwiejącym, krótko przystrzyżonym włosiem. Twarz miał szeroką, opaloną, wyrażającą spryt i inteligencję. Towarzyszyła mu wysoka, szczupła kobieta, której surowe spojrzenie mogło onieśmielić najodważniejszego.

Sierżant Pakuła pokazał legitymację służbową, a następnie przedstawił swoją towarzyszkę, jako siłę fachową w zawodzie pielęgniarstwie.

Klimecki ze zdumieniem przyglądał się przybyłym.

- Pan z milicji - stwierdził. Pakuła skinął głową.

- Tak, ale my jesteśmy z Warszawy, nie z tutejszej komendy. Ponieważ pan, doktorze, prowadzi oddział chirurgiczny...

- Zapewne chodzi o tego postrzelonego w lesie młodego człowieka. Niestety, nie można go jeszcze przesłuchiwać.

- My nie w sprawie przesłuchania.

- Więc o co właściwie chodzi?

Pakuła zaczął wyjaśniać całą rzecz. Klimecki słuchał uważnie, a kiedy sierżant skończył mówić, po wiedział:

- Dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy. Nie mogę sam w tej sprawie decydować. Musiałbym się porozumieć z moimi zwierzchnikami. Nie dalej jak wczoraj była u mnie jedna pani...

- Pani? - zainteresował się Pakuła. - Jaka pani?

- Jakaś z Warszawy. Zostawiła dwadzieścia tysięcy.

- Dwadzieścia tysięcy? A to po co?

- Żeby zaangażować pielęgniarke do pilnowania rannego.

- Ciekawe. Podała swoje nazwisko?

- Nie.

- Adres? Telefon? Miejsce zamieszkania?

- Także nie.

- I tak ni z tego, ni z owego odpaliła panu dwadzieścia patyków?

Klimecki skinął głową.

- No właśnie. Byłem tak zaskoczony, że nawet.

- Jak ona wyglądała?

- Młoda, bardzo ładna, elegancka. Robiła wraze nie cudzoziemki.

- Ale mówiła po polsku?

- Tak.

- Czy jakoś uzasadniła, dlaczego zostawia dwadzieścia tysięcy na pielęgniarke?

- Mówiła, że obawia się o życie tego młodego człowieka, że ci, którzy go postrzelili, będą chcieli wykończyć go w szpitalu. Sam nie wiem, co mam robić, panie sierżancie.

- To proste - powiedział bez namysłu Pakuła. - My będziemy tą obstawą, którą pan jakoby zaangażuje. Forse zatrzyma pan u siebie w depozycie, a my przystąpimy do

pielęgniarskiej pracy. Ja kiedyś byłem sanitariuszem w wojsku. Jakie takie pojęcie mam, a koleżanka Agata to fachowa siła.

Klimecki pomyślał chwilę.

- Dobrze, ale jeszcze będę się musiał porozumieć w tej sprawie.

Pakuła wyjął z kieszeni papierosy i przysunął sobie popielniczkę.

- Ja panu coś powiem, doktorze. Zależy nam, żeby cała ta historia nie nabrała zbyt dużego rozgłosu. Rozumiem, że chce nas pan sprawdzić...

- Ależ... - zaoponował Klimecki.

- Spokojnie - uśmiechnął się Pakuła - to bardzo dobrze, że pan jest ostrożny. Ostatecznie milicyjne legitymacje nie tak trudno podrobić. Podam panu telefon majora Downara. Zadzwoń pan do Warszawy i wyjaśni co trzeba. Do Wydziału Zdrowia niech pan nie telefonuje, bo to by wywołało za dużo niepotrzebnego szumu. My pacjenta weźmiemy pod opiekę. Może przy tej okazji coś nam ciekawego powie, a z forszą zobaczymy. Jak się babka nie zgłosi, to oddamy na Centrum Zdrowia Dziecka albo jakiś inny zbożny cel.

I tak sierżant Pakuła przywdział biały kitel i wraz z koleżanką po fachu, zwaną siostrą Agatą, roztoczył opiekę nad rannym.

Początkowo nie było mowy o nawiązaniu kontaktu. Chory nie otwierał oczu, przeważnie spał, a podczas krótkich przeblysków przytomności odwracał głowę do ściany i nie zdradzał najmniejszej ochoty do pogawędek.

Pakuła był wściekły. Nie miał żadnych predylekcji do zawodu pielęgniarskiego, a atmosfera szpitala napełniała go melancholią i zniechęceniem. Postanowił jednak dzielnie wytrwać na posterunku, spodziewając się, że może zdoła pozyskać zaufanie swojego podopiecznego.

Wreszcie po paru dniach Paweł spojrzął przytomniej. Widocznie jowialna, wesoła twarz „pielęgniarska” spodobała mu się, bo uśmiechnął się życzliwie.

- Jak się czujemy? - spytał troskliwie Pakuła.

- Lepiej. Pić mi się chce.

Sierżant podał choremu szklanę z sokiem pomarańczowym.

- Ostrożnie, pomalutku - upomniał. Paweł wypił parę łyków i odetchnął głęboko.

- Lepiej mi - powtórzył. - Dziękuję. Pierwszy kontakt został nawiązany. Pakuła powoli, z zachowaniem najwyższej ostrożności, zaczął zdobywać sobie sympatię i zaufanie rannego.

Paweł szybko odzyskiwał siły. Któregoś dnia powiedział cicho:

- Niech się pan przysunie bliżej. Pakuła spełnił jego prośbę.

- Ma pan jakieś życzenie?

- Czy mogę panu zaufać?

- Rzecz jasna. Jak własnemu bratu.

- Bo widzi pan... ja udaję słabszego niż jestem naprawdę.

Nie chcę, żeby mnie milicja męczyła pytaniami.

Pakuła ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Ma się rozumieć. To nic przyjemnego rozmawiać z tymi cholernymi glinami.

- Potrzebny mi długopis, kawałek papieru i koperta.

- Chce pan napisać list?

- Tak. Do jednej pani. Muszę ją zawiadomić. Ona nie wie, co się stało ze mną. Wrzuci pan ten list?

- Oczywiście.

Okazało się jednak, że chory jest jeszcze zbyt słaby, po kilku próbach wypuścił z palców długopis.

- Nic z tego. Nie mani siły. Jestem jednak piekielnie słaby. Podam panu adres i numer telefonu. Zadzwoń pan do niej, dobrze?

- Dlaczego nie? Zadzwonię.

- A jakby jej nie było w domu, to napisze pan kilka słów w moim imieniu. Że nie mogę jeszcze pisać, że jestem ranny, że leżę w szpitalu w Nowym Sączu. Zrobi pan to dla mnie?

- Jasne. Spokojna głowa. Zaraz zapiszę nazwisko, adres i telefon.

- Tylko niech pan z nikim o tym nie rozmawia. Bardzo proszę.

- Może mi pan zaufać. Gęba w kubel.

Jeszcze tego samego wieczoru Pakuła zadzwonił do Warszawy.

Downar z ogromnym zainteresowaniem wysłuchał raportu sierżanta.

- Przeliterujcie mi jeszcze to włoskie nazwisko - powiedział.

- Nina Gobetti.

ROZDZIAŁ XV

Moderski późnym, wieczorem wrócił do swego nowego mieszkania na Młocinach. Był w kinie, a potem zjadł kolację w „Bristolu”. Chciał się trochę rozerwać, posłuchać muzyki, zapomnieć o kłopotach i niepokojach.

Ostatnio nerwy zaczynały go zawodzić. Stał się pobudliwy, nieopanowany, z byle jakiego powodu wpadał w złość. Źle sypiał i miewał męczące sny.

Paweł nie odzywał się od dawna. Nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć. Podejrzewał, że chłopak po prostu zwiął. Czy jechać do Nowego Sącza? Nie warto. Szkoda czasu. Najprawdopodobniej ten idiota siedzi gdzieś na drugim końcu Polski.

A Rolson? Jak dotychczas nie dał znaku życia. Czyżby tej klasy fachowiec jeszcze nie wpadł na to, że Robert Konecki i Henryk Moderski to jedna i ta sama osoba? A jeżeli już go rozszyfrował, to dlaczego nie próbuje nawiązać kontaktu? Ta zupełna cisza i spokój były denerwujące. Wolałby, żeby coś się zaczęło dziać, żeby zaczęła się jakaś akcja. Nic tak nie wyczerpuje nerwów jak czekanie.

„A może ten killer wcale nie wpadł na mój ślad - próbował się pocieszać. - Tyle razy zmieniałem miejsce zamieszkania, wóz, teren działania, wreszcie wygląd”. Przypomniawszy sobie, w jak różnych wcieleniach pokazywał się na mieście. Nie było rzeczą prostą go wyśledzić, nawet dla fachowca.

Nastawił wodę na herbatę i włączył radio. Dochodziła jedenasta. Jeszcze tylko kilka taktów muzyki i wieczorny dziennik. Chciał poszukać innej stacji na falach krótkich, kiedy powstrzymały go słowa wypowiedziane przez spikera:

„Nadajemy komunikat. Pan Robert Konecki, przebywający obecnie w Warszawie albo w okolicach Warszawy, proszony jest o natychmiastowe skomunikowanie się z siostrą w ważnej sprawie rodzinnej. Powtarzam. Pan Robert Konecki”...

Moderski wyłączył radio i zerwał się z fotela. Anna! A więc stało się. Chwycił telefon, żeby natychmiast połączyć się z Gdańskiem, ale opanował pierwszy odruch. Niebezpiecznie było rozmawiać z Anną z tego aparatu.

Przeszedł się parę razy po pokoju, usiłując opanować nerwy. Następnie wyjął z szuflady pistolet, zarepetował i wsunął go do kieszeni marynarki. W łazience spryskał sobie twarz zimną wodą, wyszedł, starannie zamknął drzwi, wsiadł do mercedesa i pojechał na Poczta Główną.

Zamówił rozmowę błyskawiczną. Bardzo szybko otrzymał połączenie i usłyszał zmieniony głos Anny. Płakała.

- Co się stało?

- Joasia. Porwali ją. Ratuj! Błagam cię, Henryk, ratuj!

- Kto ją porwał?

- Jakaś kobieta.

- Zawiadomiłaś milicję?

- Nie. Boję się. Dzwonili do mnie. Powiedzieli, że jeżeli zawiadomię milicję, zabiją Joasię. Nie wiem co robić. Henryk! Ratuj!

- Kto telefonował? Kobieta?

- Nie. Jakiś mężczyzna. Mówił po francusku. Moderski w jednej chwili powziął decyzję.

- Wiem, kto porwał Joasię. Bądź spokojna, załatwię to. Na razie nie zawiadamiaj milicji. Zostaw to mnie. Zadzwoń do ciebie najpóźniej jutro wieczorem. Jeżeli nie zadzwonię, zawiadom milicję. Nie denerwuj się, Anno. Bądź dobrej myśli.

Odłożył słuchawkę. Zapłacił za połączenie i z drugiego aparatu zatelefonował do „Forum”.

- Pan Rolson wyjechał - poinformował go recepcjonista - ma wrócić jutro wieczorem. Nie, nie mówił dokąd jedzie.

Przez cały następny dzień Moderski łączył się z hotelem. Odpowiadano mu cierpliwie, że pan Rolson jeszcze nie wrócił.

Wreszcie około dziewiątej...

- Tak. Łączę pana. Proszę.

- Rolson - zabrzmiał w słuchawce twardy męski głos.

- Parła Moderski.

- A, buongiorno, amico. Come stai? Cieszę się, że pan do mnie zatelefonował.

- Gdzie się możemy zobaczyć? - spytał Moderski.

- Gdzie? - chwila wahania. - Może w Hotelu Europejskim, w hallu. Za dwadzieścia minut.

- Va bene.

Wychodząc z budki telefonicznej, Moderski odruchowo dotknął pistoletu, tkwiącego w kaburze pod lewą pachą. Był na Krakowskim Przedmieściu i do „Europejskiego” miał parę kroków. Przeszedł się wolno, przystając przed wystawami. Dotychczasowe zdenerwowanie zniknęło w jednej chwili. Stał się zimny, opanowany, zupełnie spokojny.

Pięć minut przed umówionym terminem siedział w hotelowym hallu i ze znużoną miną zamożnego turysty przyglądał się przechodzącym dziewczętom. Niektóre były ładne, dobrze ubrane i na pierwszy rzut oka trudno się było domyślić ich profesji. Zachowywały się dyskretnie. Tylko od czasu do czasu jakieś uważniejsze spojrzenie w kierunku samotnego mężczyzny, robiącego wrażenie dewizowego gościa.

Rolson przyszedł punktualnie. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur z granatowego tropiku. Oczy, jak zwykle, krył za ciemnymi okularami.

Moderski podniósł się z fotela. Był tego samego wzrostu co Rolson, ale szerszy w ramionach i mocniej zbudowany.

Przez chwilę mierzyli się taksującym spojrzeniem.

- Signor Rolson? - spytał Moderski, chociaż to już nie było potrzebne.

- Si. Może wyjdziemy trochę na świeże powietrze?

Moderski skinął głową.

- Va bene.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Rolson powiedział:

- Sądzę, że miasto zwiedzimy przy jakiejś innej okazji. Co pan proponuje?

- Właśnie chciałem pana o to zapytać - uśmiechnął się Moderski.

- Gdzie towar?

- Pomówimy o tym u mnie w mieszkaniu.

- A gdzie pan mieszka?
- Na Młocinach. To dosyć daleko.
- Pojedziemy taksówką? Moderski potrząsnął głową.
- Nie. Mam przed hotelem wóz.
- To bardzo przezornie - pochwalił Rolson. - Ja niestety nie mam wozu.

Rozmawiali swobodnie, wesoło. Robili wrażenie dwóch serdecznych przyjaciół, którzy wybrali się na wieczorny spacer.

- Nie jest pan głodny? - zatroszczył się Moderski. - Może zjemy coś w „Europejskim” albo w „Bristolu”. Moja spizarnia jest słabo zaopatrzona.

Rolson potrząsnął głową.

- Dziękuję. Jadłem kolację. Chciałbym jak najprędzej porozmawiać na konkretne tematy.

Moderski zawrócił, przyspieszył kroku i podprowadził swego towarzysza do Mercedesa.

- Proszę. Niech pan wsiada.

W drodze nie zamienili ze sobą ani słowa. Moderski jechał z dużą szybkością i musiał skoncentrować całą uwagę na kierownicy. Rolson siedział sztywny, wyprostowany, podobny raczej do manekina aniżeli do żywego człowieka. Ani razu nie zmienił pozycji, ani razu nie odwrócił głowy.

Zajechali na miejsce. Moderski ustawił wóz przed domem i wyjął z kieszeni klucze.

- Nie ma pan garażu? - spytał Rolson.

- Mam, ale nie chce mi się wprowadzać. Sądzę, że niebawem odwiozę pana do miasta.

- Molto gentile.

Rozmawiali po włosku, ponieważ Moderski nie mówił biegle po angielsku.

Weszli do mieszkania i Moderski zapalił stojącą lampę z pomarańczowym abażurem.

- Napije się pan czegoś?

- Dziękuję. Nigdy nie piję alkoholu rozmawiając o interesach. I palę wyłącznie swoje papierosy - dodał, widząc, że Moderski wyjmuje z szuflady paczkę „Winstonów”.

Usiedli, ale nie w wygodnych, głębokich fotelach. Obaj woleli zwykłe krzesła.

- To ty porwałeś dziecko mojej siostry - powiedział Moderski.

Rolson uśmiechnął się.

- Chyba nietrudno się domyślić.

- Jakie stawiasz warunki?

- To retoryczne pytanie. Chyba wiesz, o co chodzi.

- Słuchaj, Rolson, czy nie moglibyśmy razem pracować?

Amerikanin wstał, obszedł mieszkanie, zajrzał do każdego kąta, a następnie wrócił na swoje miejsce.

- Nie rozumiem.

- To chyba proste - uśmiechnął się Moderski. - w” pojedynkę nie każdą akcję można przeprowadzić. Dwóch takich jak my... Co ty na to?

- Oddaj te dokumenty i wszystkie fotokopie, jakie zdążyłeś zrobić. Jeżeli nie, jutro dziecko zostanie zlikwidowane. Nie wątpisz chyba, że mówię poważnie.

- Nie, nie wątpię - przyznał Moderski. - Ale widzisz, amigo, istnieje pewna trudność...

- Trudność?

- Tak. Trudność w załatwieniu tej transakcji. Wyobraź sobie, że przez pewien czas mieszkałem w Jabłonie i tamten dom spalił się razem z papierami, o które ci chodzi.

Rolson zaśmiał się.

- Nigdy nie przypuszczałem, że człowiek twojego pokroju obierze tak naiwną taktykę. Któż uwierzy w takie bajki, przyjacielu?

- Słowo daję, że to prawda - zapewnił pospiesznie Moderski. - Zdaję sobie doskonale sprawę, że to brzmi jak głupi wykręt, ale rzeczywiście spalił się dom, w którym mieszkałem, razem z tymi wszystkimi dokumentami. Dlatego proponuję ci współpracę. Marsano nie musi przecież o tym wiedzieć, że te dokumenty już nie istnieją. Zapłaci. A żeby twoja fatyga nie poszła na marne, dam ci procent. Trzydzieści procent od całej sumy, no, powiedzmy, czterdzieści.

- Jeżeli natychmiast nie dostanę tych dokumentów, dziecko twojej siostry jutro przestanie żyć - powiedział wolno Rolson i wstał.

Moderski stracił panowanie nad sobą. Krew uderzyła mu do głowy.

- Najpierw ty, draniu, przestaniesz żyć! - krzyknął i błyskawicznym ruchem wydobyl pistolet.

Rolson był szybszy. Strzelił tylko raz. Nie powtórzył. Widział, że kula nie ominęła serca. Były sekretarz pana Marsano nie żył.

*

Downar bardzo nie lubił płaczących kobiet.

- Niechże się pani uspokoi. Przecież w końcu to, nie był nikt bliski, nikt z rodziny.

Wyjęła chusteczkę z ogromnej torby i starannie wytarła nos i oczy.

- Tak się strasznie zdenerwowałam, tak się okropnie zdenerwowałam. Nie może się pan dziwić.

- Ja się wcale nie dziwię - powiedział łagodnie! Downar - to zupełnie zrozumiałe. Chciałbym, żeby mi pani to wszystko wolno i spokojnie opowiedziała!

- Już opowiedziałam.

- Tak. Wiem, ale mnie przy tym nie było. - Więc przyjechałam z Krakowa...

- Pani mieszka w Krakowie?

- Nie. Mieszkam tutaj w Warszawie, właśnie w tym domu. To nasze mieszkanie. A do Krakowa pojechałam do rodziny, bo mój mąż tam leży w szpitalu! Miał wypadek samochodowy. Ledwo go odratowali.

- I pojechała pani do Krakowa, żeby czuwać nad chorym mężem?

- Tak, w Krakowie mam siostrę i brata stryjecznego. Wynajęłam mieszkanie temu panu. Mój Boże. Taki był sympatyczny człowiek. Co to się teraz dzieje? Nikt nie jest pewny życia.

- Kiedy pani przyjechała? - spytał Downar.

- Dzisiaj rano. Całą noc jechałam. - Czy lokator spodziewał się pani przyjazdu?

- Nie, skądże. Powiedziałam, że wrócę najwcześniej w przyszłym miesiącu. Obiecał pilnować mieszkania, podlewać pelargonie. Ale widać nie podlewał, bo dużo pousychało. Mój Boże...

Tymczasem Olszewski, wspomagany przez sierżanta Małeckiego, przeszukał dokładnie mieszkanie. Przy zabitym znaleziono notes z adresami i numerami telefonów. Porucznik zagłębił się w lekturze. Sierżant Małecki poszedł obejrzeć wóz. Niebawem wrócił.

- Rejestracja gdańska, obywatelu majorze - zameldował - mercedes zarejestrowany na nazwisko niejkiej Anny Moderskiej.

Downar skinął głową. A zwracając się do pani Wawrzyckiej spytał: - Czy pani nigdy nie rozmawiała z panem Koneckim na tematy osobiste, nie zwierzał się pani z czegoś, z jakichś kłopotów?

Szeroko otworzyła oczy.

- Jakżeż mógł mi się zwierzać, proszę pana? Znaliśmy się tak mało, a zresztą ja zaraz wyjechałam do Krakowa.

- I nie bała się pani zostawić mieszkania zupełnie nieznanemu człowiekowi?

- No rzeczywiście. Ma pan rację, że to było trochę lekkomyślne, ale robił takie solidne wrażenie. Przyjechał eleganckim samochodem, zapłacił za pół roku z góry. Bardzo był sympatyczny, bardzo. Tak mi go żal.

Dalszą rozmowę przerwał Olszewski.

- Spójrz, czyj adres tu znalazłem - powiedział, pokazując palcem kartkę w notesie.

- Nina Gobetti! - wykrzyknął Downar. - To przecież... Sierżant Małecki zostanie tu jeszcze z grupą operacyjną, a my jedziemy na Mokotów. Powiedz żeby koniecznie znaleźli kulę. I oczywiście odciski palców bardzo dokładnie zebrać. Pojechali.

- Jeżeli i tym razem jej nie zastaniemy, otworzyć my sobie sami. Dostałeś nakaz prokuratora?

- Tak - Olszewski poklepał się po kieszeni.

- To dobrze, chociaż w tej sytuacji z nakazem czy bez nakazu musielibyśmy... - Downar urwał i zamyślił się.

- Jak ci poszło z tym Amerykaninem? - spytał Olszewski.

- Nic z tego. Zupełnie niekomunikatywny facet.

- Mówi po niemiecku?

- Tak. Nawet całkiem dobrze, ale nie zdołałem nawiązać z nim kontaktu.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Osadziłbym go bez wahania w gangsterskim filmie. Pasowałby znakomicie do „Francuskiego łącznika”. Boi się pokazać oczy. Nie zdejmuje ciemnych okularów. A co z twoim Syryjczykiem? Nawet nie zdążyłem zapytać.

- Zaprzyjaźniłem się z nim. Miły facet, ale głowy bym nie dał, że nie posługuje się nożem i pistoletem! Rozpracowuję go. Na to trzeba trochę czasu.

- Oczywiście. Coś mi się wydaje, że to morderstwo na Młocinach przyspieszy nam całą sprawę. Koniecznie musimy porównać kulę wystrzeloną pod Nowym Sączem i tę tutaj. Jeżeli to ten sam pistolet.

- Jesteśmy na miejscu, towarzyszu majorze - zameldował Sikora, naciskając hamulec.

Mieszkanie na Balonowej w dalszym ciągu było puste. Szybko uporali się z drzwiami.

- Ależ tu cholernie duszno - westchnął Olszewski. - Dawno nie wietrzono.

Otworzyli okna i rozejrzeli się ciekawie. Wszystko, było porządnie sprzątnięte, poukładane, każda rzecz na swoim miejscu. Nic nie wskazywało na pośpiech czy na ucieczkę w panice.

- Co się z nią mogło stać? - mruknął Downar. - Tyle czasu już próbujemy się z nią porozumieć. Gdzie się, u diabła, podziała?

- A może nie żyje? - sformułował Olszewski swoje wątpliwości, które od dawna go nurtowały.

Downar zachnął się.

- Daj spokój. Dosyć już chyba mamy trupów. Trzeba natychmiast sprowadzić chłopców od daktyloskopii. Będą tu

mieli trochę roboty. - Podszedł do stolika, na którym stał telefon, wziął do ręki książkę telefoniczną i zaczął ją przeglądać. Zaraz na pierwszej stronie u góry ktoś napisał drobnym, starannym pismem: „Eddie Rolson” oraz numer hotelu „Forum” i numer pokoju.

- Chodź. Pokażę ci coś ciekawego.

Olszewski podszedł, przyjrzał się i gwizdnął przeciągle.

- Zdaje się, szefie, że łamigłówka zaczyna nam się układać.

- Musimy natychmiast zarządzić ostre pogotowie na wszystkich dworcach i punktach granicznych - powiedział Downar. - Coś mi się widzi, że pan Rolson jest tym, którego szukamy. Zostań tu. Ja wracam do komendy. Przyślę ci ludzi do pomocy. To mieszkanie trzeba dokładnie zbadać.

Widząc biegnącego majora, Sikora natychmiast włączył motor.

- Ruch w interesie - powiedział z uśmiechem. Downar skinął tylko głową i kazał jechać do komendy.

Rozdzwoniły się telefony, poszły w ruch krótkofalówki i dalekopisy. Lotniska, komisariaty dworcowe, punkty graniczne, porty. Wszyscy otrzymali dokładne instrukcje, rysopis Rolsona oraz jego fotografie.

Downar liczył się z tym, że Amerykanin będzie się próbował charakteryzować, ale w takim wypadku miałby kłopot z fotografią w paszporcie. A może ma paszport na inne nazwisko? Na to nic nie można było poradzić.

*

Wszystko jednak obracało się ciągle w sferze domysłów, przypuszczeń, hipotez. Nie było właściwie konkretnych dowodów przeciwko Rolsonowi. Mógł to być równie dobrze ów Syryjczyk, Włoch czy też Nina Gobetti, której tajemnicze zniknięcie dawało dużo do myślenia.

Badanie pocisków przeprowadzone przez Zakład Kryminalistyki dało interesujące rezultaty. Z tej samej broni, z której strzelano pod Nowym Sączem do Pawła Skawińskiego, został zastrzelony Konecki. To już było poważne powiązanie obydwóch spraw.

Downar połączył się z Gdańskiem i z przywołaniem do aparatu majora Sarneckiego.

- Cześć, Michał. Co u ciebie? Wszystko w porządku? To fajnie. Słuchaj, mam do ciebie taką sprawę. Na Młocinach został zamordowany niejaki Robert Konecki. Nie jestem pewien, czy to jego prawdziwe nazwisko. Ale mniejsza o to. Jeździł mercedesem zarejestrowanym na Annę Moderską mieszkającą w Gdańsku. Sprawdź jak najszybciej. Tylko bardzo ostrożnie. Nie mów oczywiście, że ten facet został zamordowany. Dzwon do mnie natychmiast po rozmowie. Czekam. Cześć.

Wszedł Olszewski.

- Dobrze, że cię widzę - ucieszył się Downar - siadaj. Co z Rolsonem?

- Jeszcze jest w Warszawie. Podobno jutro wyjeżdża. Prosił o rachunek.

- Słuchaj, Stachu, mam dla ciebie bojowe zadanie. Musimy za wszelką cenę zdobyć odciski palców Rolsona. Zajmij się tym.

Olszewski uśmiechnął się filuternie.

- Już się zająłem, szefie.

- Co ty mówisz? No i co? Zdobyłeś?

- Oczywiście. Piękny komplecik linii papilarnych pana Rolsona. Właśnie przyszedłem, żeby cię o tym powiadomić.

Downar klepnął porucznika po ramieniu.

- Zuch z ciebie.

*

Drzwi otworzyła mu młoda, przystojna kobieta. Twarz miała bardzo mizerną, oczy zaczerwienione od płaczu i niewyspania.

- Czy pani Anna Moderska?

- Tak. Czego pan sobie życzy?

- Jestem z komendy milicji...

- Ach, jak to dobrze, że pan przyszedł - ucieszyła się - właśnie miałam...

Sarnecki był zaskoczony. Bardzo rzadko witano go z takim entuzjazmem.

- Nie bardzo rozumiem...

- Bo... widzi pan... - wybuchnęła spazmatycznym płaczem.
- Co się stało? Co pani jest? Z trudem się opanowała.
- Przepraszam, ale już dłużej nie mogę... niemogę.
- Co się stało? Niechże pani powie - nalegał Sarnecki.
- Dziecko... Porwali... porwali...
- Pani dziecko? Kto porwał?
- Jakaś kobieta podeszła do Joasi przed szkołą.

Powiedziała, że ja czekam i że ona zawiezie ją samochodem.

Dzieci słyszały.

- Może usiądziemy - zaproponował Sarnecki - i niech pani spróbuje mi to wszystko spokojnie opowiedzieć.

- Proszę... oczywiście. Przepraszam, że od razu pana nie poprosiłam, ale...

Przeszli do pokoju, usiedli i Sarnecki wyjął papierosy.

- Zapali pani?

- Dziękuję. Chętnie.

Głęboko zaciągnęła się dymem i trochę się uspokoiła. Nie spieszył się z zadawaniem pytań. Czekał cierpliwie.

Odetchnęła swobodniej, poprawiła włosy i przesunęła popielniczkę.

- Wybierałam się do panów. Miałam dzisiaj pójść do komendy.

- Kiedy zginęło dziecko? - spytał Sarnecki.

- Parę dni temu. Dokładnie już nie pamiętam. W głowie mi się mąci.

- Dlaczego natychmiast nie dała nam pani znać?

- Bałam się. Grozili, że zabiją Joasię. Nie mogłam się zdecydować.

Sarnecki zafrasowany pokręcił głową.

- Źle się stało, że pani od razu się z nami nie skomunikowała. Więc twierdzi pani, że córeczkę ktos uprowadził, kiedy wychodziła ze szkoły?

- Tak. Podobno jakaś bardzo ładna i elegancka kobieta. Tak przynajmniej dzieci opowiadały.

- I później ktoś do pani telefonował.

- Tak. Jakiś mężczyzna. Mówił po francusku. Myślę, że to ten sam człowiek, który u mnie już kiedyś był.

- Znajomy?
- Nie. Wtedy widziałam go po raz pierwszy.
- Czego chciał?
- Szukał mojego brata.
- Cudzoziemiec?
- Tak. Podawał się za Anglika.
- A pani brat gdzie mieszka? Zawahała się. Sarnecki zaraz to zauważył.

- Proszę pani - powiedział spokojnie, ale stanowczo - jeżeli pani chce, żebyśmy pani pomogli, proszę nic nie ukrywać.

- Mój brat przyjechał niedawno z zagranicy. Ten starszy pan, który mnie wtedy odwiedził, twierdził, że jest winien bratu pieniądze i że chciałby mu je zwrócić.

- Jak wyglądał ten starszy pan?

- Miał brodę, wąsy, siwe włosy. Nosił ciemne okulary. To było akurat tego dnia, kiedy Joasia wracała z kolonii.

- I temu starszemu panu w ciemnych okularach powiedziała pani coś na temat swojej córeczki?

- Tak, powiedziałam, że się spieszę na dworzec, bo właśnie Joasia ma przyjechać.

- Czy pani ma wóz? - spytał Sarnecki.

- Wóz? Nie, nie mam wozu.

- To dziwne, bo w Warszawie został odnaleziony mercedes, zarejestrowany na pani nazwisko.

Zmieszła się.

- Rzeczywiście... tak... ale właściwie... Właściwie to nie mój samochód.

- A czyj?

- Mojego brata...

- Jak pani brat się nazywa?

- Henryk Moderski... to znaczy... nie... Robert Konecki...

Sarnecki wstał.

- Bardzo mi przykro, ale jeżeli pani w dalszym ciągu upiera się przy tych dziwnych kłamstwach, to niestety nie będę mógł pomóc pani w odnalezieniu dziecka.

Chwyła go za rękę.

- Błagam pana... nich pan nie odchodzi. Powiem... powiem wszystko.

Tyle było determinacji w jej głosie, że usiadł z powrotem. Prawdę mówiąc wcale nie miał zamiaru odchodzić. Ta rozmowa nazbyt go interesowała.

- No więc... słucham panią.

Sarnecki słuchał w milczeniu, tylko od czasu do czasu zapisywał coś w notesie. Kiedy skończyła mówić, spytał:

- Czy brat pani wspomniał, że kogoś się obawia, że przed kimś się ukrywa?

Potrząsnęła głową.

- Nie. W ogóle nie chciał rozmawiać na ten temat. Pytałam go, ale powiedział, że lepiej żebym się nie orientowała w jego sprawach.

- Telefonował do pani?

- Tak. Parę razy. Widywaliśmy się nawet w Warszawie...

- Kiedy ostatni raz do pani telefonował?

- Zaraz po komunikacie radiowymi.

- I co powiedział?

- Powiedział, że jeżeli nie da mi znać następnego dnia wieczorem, to żebym poszła na milicję i powiedziała o porwaniu Joasi.

- I nie telefonował?

- Nie. Bardzo się o niego boję.

- Postaramy się pani pomóc. Proszę być dobrej myśli.

- Sądzi pan, że Joasia... Jezus Maria! Sądzi pan, że Joasia żyje?

- Na pewno. To dobrze, że mi pani wreszcie powiedziała prawdę. To nam bardzo ułatwi robotę. Jak tylko będę coś wiedział, natychmiast zadzwonię. Do widzenia.

Po powrocie do komendy Sarnecki natychmiast połączył się z Warszawą. Ucieszył się usłyszawszy w słuchawce głos Downara.

- Mam dla ciebie trochę ciekawych wiadomości.

ROZDZIAŁ XVI

Rolson uspokajał się. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś kojarzył jego osobę z zastrzeleniem Moderskiego. Nie był śledzony. Co do tego miał absolutną pewność. Uważnie przyglądał się ludziom, którzy go otaczali. Ani jedno spojrzenie, ani jeden ruch nie wzbudzał podejrzeń. Za każdym razem, kiedy wracał do pokoju, sprawdzał, czy nawet najdrobniejszy przedmiot leży na swoim miejscu. Wszystko było w idealnym porządku.

W pierwszym momencie chciał natychmiast wyjechać, ale po namyśle zrezygnował z tego. Uważał, że jeżeli nawet znajduje się pod dyskretną obserwacją, to taki nagły wyjazd może wydać się podejrzany. Nie wiedział też, kiedy znaleziono trupa Moderskiego, co miało dosyć zasadnicze znaczenie.

Akcja była jednym wielkim niepowodzeniem. Właściwie od samego początku wszystko mu się nie układało. Dwa zupełnie nie potrzebne trupy, Monika i ten głupi alfons z Anina. Wprawdzie dziewczyna nie była jego ofiarą, ale z łatwością mógł być posądzony o to morderstwo. A w lesie pod Nowym Sączem z paru metrów nie trafił w serce. Nie, stanowczo spartaczył robotę. Nawet na samym początku swojej kariery załatwiał lepiej takie rzeczy. Moderskiego musiał zabić. Działal w obronie własnej. Nie było wyboru.

Pojechał do Jabłonny i przekonał się na własne oczy, że spalili się tam dom. Dowiedział się, że mieszkał w nim pan Robert Konecki. Więc to, co mówił Moderski, było chyba prawdą. Niepotrzebnie postawił sprawę na ostrzu noża. Prawdę mówiąc propozycja Moderskiego była rozsądna. Wtedy jednak sądził, że to wszystko kłamstwo. Bo rzeczywiście historyjka o pożarze robiła wrażenie, naiwnego wykrętu.

Przyrzekł sobie, że już nigdy więcej nie podejmie się akcji na terenie państw socjalistycznych. W kraju, w którym nie można nawiązać rozsądnej współpracy z policją, trudno liczyć

na sukces. W Stanach Zjednoczonych, w Ameryce Południowej, we Włoszech czy we Francji sytuacja byłaby bez porównania łatwiejsza. Po prostu uczynni policjanci znaleźliby takiego Moderskiego. A tutaj...?

Pocieszał się tylko tym, że signor Marsano nie może mieć właściwie do niego pretensji. Moderski zlikwidowany, a jeżeli chodzi o dokumenty, to z zupełnie czystym sumieniem powie o tym pożarze. Spaliły się. Temu nie mógł zapobiec.

Niepokoił go trochę brak wiadomości od Niny Gobetti. Nie zastał jej w umówionym miejscu. Najwidoczniej była zmuszona przenieść się z dzieckiem do innej kryjówki. Ale dlaczego nie dzwoni? Dlaczego nie daje znaku życia? Czyżby milicja...? Mało prawdopodobne. Matka nie odważyłaby się zawiadamić milicji.

W dwa dni po zlikwidowaniu Moderskiego Rolson postanowił opuścić ten niegościnnie kraj, w którym tak pechowo wszystko mu się układało. Uregulował rachunek, porozdawał sute napiwki i zarezerwował sobie miejsce sypialne w pociągu odchodzącym do Paryża. Nina Gobetti przestała go interesować.

*

Z ostatniego spaceru po Warszawie Rolson wrócił do hotelu „Forum”. Miał jeszcze dużo czasu, ale musiał się spakować i chciał wcześniej pojechać na dworzec. Nie lubił w ostatniej chwili wskakiwać do pociągu. To zawsze kojarzyło mu się z ucieczką. Poza tym wychodził z założenia, że człowiek, który się bardzo spieszy, zwraca na siebie uwagę swych bliźnich. Lubił powtarzać starą maksymę, że prawdziwy dżentelmen nigdy się nie spieszy.

Załutwał ostatnie formalności, pogawędził chwilę z pogodnie uśmiechniętym recepcjonistą i poszedł do windy.

Pogwizdując arię z „Pajaców”, przekręcił klucz w drzwiach i nagle...

Chciał rzucić się do ucieczki, ale nie zdążył. Jeden mężczyzna stanął błyskawicznie przy drzwiach, uniemożliwiając odwrót, drugi pilnował okna, a trzeci trzymał pistolet gotowy do strzału.

- Hände hoch!

Rolson powoli podniósł ręce do góry. Wiedział, że nie ma żadnych szans.

Wyjęto mu pistolet z tylnej kieszeni spodni. Nieprzyjemnie szczyknęły kajdanki.

*

Ostatni etap pracy. Długie, wyczerpujące nerwy godziny. Przesłuchanie.

Materiał dowodowy był tak bogaty i tak nie budzący wątpliwości, że właściwie to wszystko nie wymagało czasu, a jednak...

Rolson nie zdradzał ochoty do rozmowy. Raczej słuchał, co mówił siedzący za biurkiem człowiek, w którym bez trudu poznał towarzysko nastrojonego turystę, proponującego mu przed paroma dniami wspólną przechadzkę po warszawskich lokalach. Wtedy nie skorzystał z jego towarzystwa, ale teraz, niestety, nie mógł odmówić.

Downar przedstawił podejrzanemu cały materiał daktyloskopijny, pragnąc uniknąć zbędnych dyskusji i ewentualnych sporów. Odciski palców na walizce pokrywały się z odciskami palców znalezionymi w Aninie na poręczy kanapy oraz z odciskami palców pozostawionymi w mieszkaniu na Młocinach. Nietrudno było ustalić, iż właścicielem tych linii papilarnych jest mister Rolson. Poza tym kula, która pozbawiła życia Henryka Moderskiego, została wystrzelona z pistoletu znalezionego przy Rolsonie. Z tego samego pistoletu został zraniony pod Nowym Sączem Paweł Skawiński.

Rolson nie próbował zaprzeczać. Nie lubił tracić czasu na zbędną gadaninę. Natomiast kiedy Downar zaczął mówić o Monice, energicznie potrząsnął głową.

- Ja nie zabiłem tej dziewczyny.

- A kto?

- Nie wiem. Przypuszczam, że to ten alfons, który mnie potem próbował szantażować.

- Ale do zastrzelenia Moderskiego pan się przyznaje.

- Działalem w obronie własnej. Musieliście znaleźć przy nim odbezpieczony pistolet.

Downar pominął ten szczegół milczeniem. W zaciśniętej dłoni Henryka Moderskiego vel Roberta Koneckiego rzeczywiście znaleziono pistolet.

- I strzelał pan także do Pawła Skawińskiego w lesie pod Nowym Sączem.

- Ten człowiek mnie napadł. Chciał mnie obrabować. Musiałem się bronić.

- Dlaczego pan w takiej sytuacji nie zawiadomił milicji? Rolson wzruszył ramionami.

- To zajęłoby zbyt wiele czasu. Spieszyłem się.

- A jak było w Aninie?

- Pyta pan o tego morfinistę, który mnie szantażował?

- Witelski nie był morfinistą.

- Wobec tego nie rozumiem, dlaczego sobie zrobił ten zastrzyk, po którym zmarł.

Downar uśmiechnął się.

- Obiera pan bardzo prymitywną linię obrony, Herr Rolson. Może nam pan powie w jakim celu przyjechał pan do Polski?

- W celach turystycznych. Wyłącznie.

- Czy rzeczywiście?

- Tak. Nigdy nie byłem w Polsce. Chciałem poznać wasz piękny kraj.

- A po co pojechał pan do Moderskiego?

- Poznaliśmy się przypadkowo w kawiarni. Zawiózł mnie do siebie. Potem się upił... wynikła sprzeczka... wyjął pistolet...

- Sekcja nie wykazała, żeby Moderski pił alkohol - powiedział Downar. - Ale mniejsza z tym. Czy pan mówi po francusku?

- Tak. Trochę.

- To może teraz porozmawia pan z kolegą, który włada tym językiem, a ja pójdę coś zjeść.

Na miejscu Downara usiadł Olszewski. Rozmawiali po francusku. Rolsona zdziwiło trochę, że porucznik nie stawia mu konkretnych pytań. Pogawędka miała raczej charakter czysto towarzyski.

Po pewnym czasie wrócił Downar.

- No i jak się wam rozmawiało? - spytał. Rolson nie odpowiedział.

Downar znów usadowił się za biurkiem i wyjął z kieszeni długopis.

- Może mi pan teraz powie, jak to było z porwaniem tego dziecka.

- Jakiego dziecka?

- Mam na myśli córeczkę Anny Moderskiej.

- Nic o tym nie wiem.

- Ale Annę Moderską pan zna?

- Nie. Nigdy w życiu nie spotkałem takiej osoby.

- Czyżby? - zdziwił się Downar. - Myślę, że przyda nam się małeńka konfrontacja. Włożymy panu perukę, przykleimy wąsy, brodę. Nie muszę chyba nadmieniać, że ta rozmowa w języku francuskim także została zarejestrowana na taśmie magnetofonowej. A przecież z panią Anną Moderską rozmawiał pan wtedy przez telefon po francusku, prawda? Pan ma bardzo charakterystyczny głos, Herr Rolson.

Rolson przygryzł dolną wargę.

- Czy dziecko uprowadziła niejaka Nina Gobetti?

- Nie wiem, o kim pan mówi.

- Mówię o pańskiej wspólniczce. Przecież razem to zaplanowaliście.

- Nie znam pani Gobetti.

- To się jeszcze okaże. Może jednak pan sobie z czasem przypomni. Czy dziecko żyje?

- Nie wiem o żadnym dziecku.

- Jeżeli dziecku coś się stanie, bardzo pogorszy to pańską sytuację. Kidnaperstwo jest surowo karane w naszym kraju.

*

Przez następne dwa dni przesłuchiwali Rolsona prawie bez przerwy. Podziwiali jego kondycję fizyczną; nie robił wrażenia zmęczonego.

- Niech trochę posiedzi. Może skruszeje - zaproponował Olszewski. - Wierysz w to, co on mówi? Downar starannie wytarł chusteczką spocone czoło.

- Niby w co mam wierzyć?

- No, w te wszystkie bajdy.

- Oczywiście, że nie wierzę. Jedno mi się tylko wydaje prawdopodobne: on chyba nie zabił tej dziewczyny na Mokotowie. Nie miał powodu.

- A Moderski?

- Rolson przyjechał tutaj po to, żeby zlikwidować Moderskiego. To dla mnie nie ulega wątpliwości. Jakieś gangsterskie porachunki. Może się kiedyś dowiemy, o co chodziło naprawdę, a może nie. To będzie zależało... Niewykluczone, że Rolson wreszcie puść farbę, kiedy się zorientuje, że nie ma żadnych szans. Teraz jeszcze próbuje grać, ale jak widzisz, nienadzwyczajnie mu to wychodzi.

- A Moderski wynajął tego durnia... - wtrącił Olszewski.

- Oczywiście. Przypuszczał, że ktoś za nim przyjedzie do Polski, ale nie wiedział kto. Chciał się przekonać i podstawił chłopaka na wabia.

- Cud, że uszedł z życiem. Postrzelony z tak bliska...

- Uratowała go wycieczka szkolna. Okazuje się, że grzybobranie to jednak pożyteczna rzecz.

*

Niedaleko domu, w którym mieszkała Anna, zatrzymał się zielony fiat.

- Światło się pali. Mama jest w domu. Biegnij, Joasiu.

- Nie wstąpisz do nas, ciociu? Zjemy razem kolację. Mamusia się ucieszy.

- Mama na pewno się ucieszy, kochanie. Ale ja nie zjem z wami kolacji. Dziękuję. I powiedz mamie, że nie było ci u mnie źle.

Dziewczynka zarzuciła jej rękę na szyję i mocno pocałowała.

- Do widzenia.

*

- Gute Reise, Frau Kellerman.

Paszport nie wzbudził żadnych podejrzeń. „Obywatelka austriacka” weszła spokojnym, równym krokiem na płytę lotniska. W żalobie było jej bardzo do twarzy.

Po chwili siedziała w samolocie, czekając na start. Trochę była niespokojna. Jeszcze w ostatnim momencie wszystko

mogło się zdarzyć. Ale nic nie nastąpiło. Zawarczały silniki. Maszyna ruszyła po pasie startowym.

Postanowiła nie wracać do Włoch. W każdym razie nie teraz. Czy żałowała, że nie wypełniła swej misji, że zawiodła zaufanie pana Carboniego? Nie. Niczego nie żałowała. Przeżyła w Polsce bardzo piękne chwile. Po raz pierwszy spotkała miłość. To było warte więcej niż tysiąc dolarów. Wiedziała jednak, że tak musiało się to skończyć. Ani ona nie mogła tu zostać, ani on nie mógł pojechać z nią. Zresztą kto wie, jak by to potem było. Lepiej zachować piękne wspomnienia.

Spojrzała w dół na kołyszące się pod samolotem obłoki.



KRAJOWA
AGENCJA
WYDAWNICZA

Cena zł 28,00

Człowiek, który siedział za kierownicą czarnego cadillaca, wyglądał na bogatego turystę. Aparat fotograficzny w futerale z jaszczurczej skóry, ciemne okulary w potężnej oprawie, ubranie z błękitnego tropiku i jasnoblond czupryna, nietypowa dla mieszkańców Italii. Na siedzeniu obok leżał rozłożony plan okolic Rzymu z oznaczoną czerwonym ołówkiem trasą. Ktoś podróżujący w celach turystycznych zachowuje się jednak zupełnie inaczej...

Ali-Baba